Stanisław Tyczyński, szef RMF-u okradziony przez Leszka Millera?

PRZEKRÓJ

r 42 / 3043 • 19 października 2003 • cena 4 zł
/w tym 7% VAT/

• NAJSZTUB: JEST PAN NAJBARDZIEJ NIEKOMPETENTNYM MINISTREM TEGO RZĄDU? WICEPREMIER MAREK POL: NIE PODZIELAM TEGO POGLĄDU. – MOŻE PAN CIERPI NA MANIĘ WIELKOŚCI? – NIE CIERPIĘ. • CZY POTRAFI PAN SAM Z SIEBIE SIĘ ŚMIAĆ? – TAK MI SIĘ ZAWSZE WYDAWAŁO. • A OSTATNIO ROBI PAN TO CZĘŚCIEJ? – NIE ZAUWAŻYŁEM. s. 28.

Oni zabiją ARAFATA! IZRAELSKIE KOMANDO JUŻ ĆWICZY ZAMACH NA PALESTYŃSKIEGO PRZYWÓDCĘ s. 32.

SYLWIA GRUCHAŁA

FURIATKA Z FLORETEM

Czy nienawiść odebrała jej złoty medal? s. 44.

ISSN 0033-2488 42
9 770033 248038
Indeks 371424

Najczystsza forma sztuki

Zainspiruj się sztuką. Oto arcydzieło do sprzątania: ART. by Miele. Perfekcyjne połączenie funkcji i formy. Doskonale spełnia swoje zadania i wciąż zachwyca atrakcyjnym wzornictwem. Wzbogać nim swoje wnętrze.

Miele Sp. z o.o.
ul. Ostrobramska 101,
04-041 Warszawa
Telefon: (022) 813 77 23/ 29
E-mail: agd@miele.com.pl

Miele w internecie: www.miele.pl

ART. by Miele

RACZKOWSKI *na Czwartek*

PRZE KRÓJ

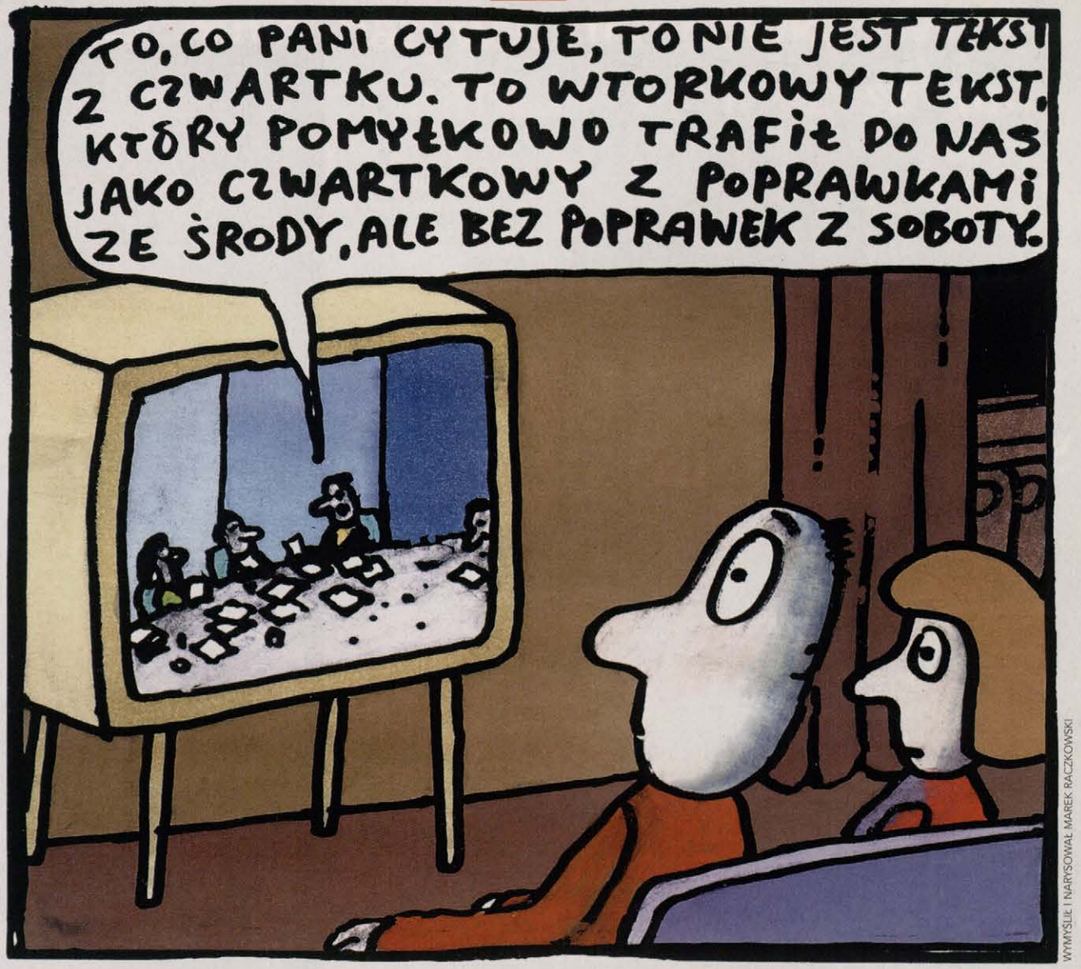

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o tym, że Telewizji Polskiej nie ufa prawie co trzeci Polak (29 proc.), a ponad połowa z nas nie ufa Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji (51 proc.). Bo i co z tego? Wiadomo, że prezesowi Kwiatkowskiemu nie o zaufanie chodzi, lecz o oglądalność. Jak to zwykł mawiać sekretarz Czarzasty: „Pan ma rację, a ja mam większość".

...o wykrytych przez dziennikarzy „Rzeczpospolitej" tajnych kontach byłych szefów PZU Władysława Jamrożego i Grzegorza Wieczerzaka. Bo budzi naszą nieufność ufność właściwych służb, że ich robotę zawsze odwalą dziennikarze.

...o wymyślonej przez policyjnych informatorów „aferze dializowej" w łódzkim szpitalu. Media im zaufały i sprawę nagłośniły, przy okazji mieszając z błotem niewinnych ludzi. Policja postawiła i upubliczniła zarzuty bez udziału prokuratury i jakiejkolwiek sensownej procedury kontrolnej. Bo jak tu ufać, że policja należy do „właściwych służb"?

...o oświadczeniu złożonym przez Aleksandrę Jakubowską na zakończenie przesłuchania przed komisją śledczą, w którym zwróciła się do dziennikarzy, mówiąc m.in.: „Jestem głęboko dotknięta tym, że moja osoba usiłuje być wplątana w tzw. aferę Rywina. (...) Pomimo tego, że mogę mieć poczucie krzywdy, poczucie braku solidarności zawodowej, takiego obiektywizmu, to nie wpływa na mój stosunek do dziennikarzy. W dalszym ciągu uważam się za jedną z dziennikarek". Bo mamy nadzieję, że nikt nie słyszał słów pani minister – gdybyśmy mieli takich dziennikarzy, zaufanie do tego zawodu spadłoby do zera.

...o meczu piłkarskim, w którym nasza drużyna po raz pierwszy od 72 lat wygrała z Węgrami, ale i tak nie zdołała awansować do baraży o mistrzostwa Europy. Bo musielibyśmy jasno przyznać – nasze zaufanie do Łotyszy, którzy wygrali ze Szwedami, spadło – przecież tak liczyliśmy na ich porażkę.

...o minister edukacji Krystynie Łybackiej. Bo ufamy, że nie musimy już nic pisać, żeby wiedziała, że najwyższy czas, by zacząć coś robić.
Oprócz wzbudzania nieufności.

CYTAT TYGODNIA

Jak byłem w Iraku, to dreszcze chodziły mi po głowie.

Krzysztof Lis, prezes Polskiego Instytutu Dyrektorów

FOT. P. KOWALCZYK/RZECZPOSPOLITA

SPIS TREŚCI PRZEKRÓJ nr_42 /3043/ 19_10_2003
www.przekroj.pl

54 Ludzkie eksperymenty na myszach

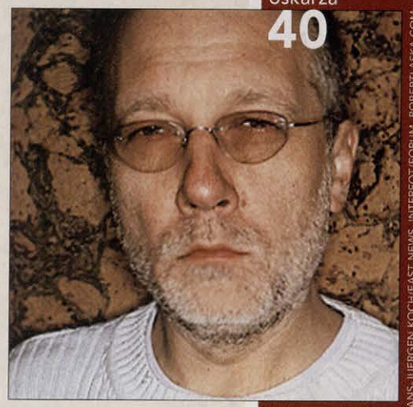

Stanisław Tyczyński oskarża **40**

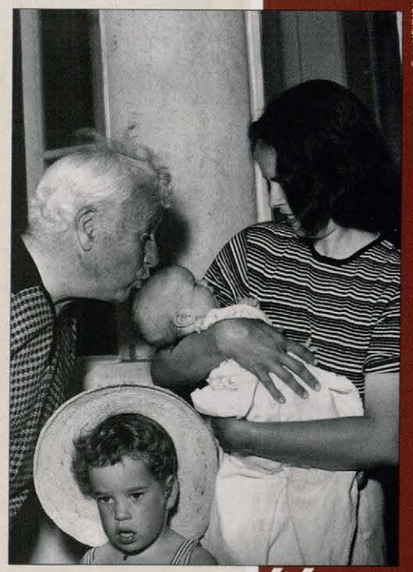

Fot. HEIDI&HANS-JUERGEN KOCH/EAST NEWS, INTERFOT/FORUM, ROBERTLASKA.COM

CZAT
Z ANDRZEJEM SARAMONOWICZEM
W PORTALU WIRTUALNA POLSKA
WE WTOREK
21 PAŹDZIERNIKA
O GODZ. 14.00
wp.pl Wirtualna Polska

6 POWIĘKSZENIA
Paryż wybiegł!; ArtFRYKA
18 PRZEKRÓJ TYGODNIA – wiadomości krajowe i zagraniczne
24 PYTAMY naczelnego „Super Expressu", dlaczego ujawnił dane personalne pedofilów
25 PRZEKRÓJ TYGODNIA – ludzie
26 KOMENTARZ
27 RAPORT MNIEJSZOŚCI
Władysław Zawistowski „Dziwna natura pamięci"

NAJSZTUB PYTA
28 POL DO BICIA
Minister infrastruktury RP Marek Pol to niekompetentny marzyciel, który uważa się za człowieka sukcesu

GORĄCY DOKUMENT
32 ONI ZABIJĄ ARAFATA
Izraelscy komandosi zabijają szefa OWP. Na razie zrobili to sto razy. Na próbę
36 KLUB GWAŁCICIELI
Studenci elitarnej japońskiej uczelni korzystają z milczącego przyzwolenia na przemoc seksualną

LUDZIE!!!
40 MAŁY MIŚ ZARYCZAŁ
Stanisław Tyczyński, prezes RMF-u, postanowił zreformować III Rzeczpospolitą. To albo wariat, albo rewolucjonista
44 SZYBKA, ALE WŚCIEKŁA
Sylwia Gruchała, srebrna medalistka mistrzostw świata, w szermierce mogła zdobyć złoto, gdyby nie atak furii
46 NIE MÓW DO MNIE: TATA FISZA
Wojciech Waglewski jest optymistą. Jego synowie sobie radzą, a Voo Voo nagrało znakomitą płytę
50 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ
52 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

MEDYCYNA
54 MYSZY I LUDZIE
Nie możemy robić doświadczeń naukowych na sobie. Wykorzystujemy myszy. Ale one nie są wiarygodne

TECHNOLOGIA
58 LOTEM PTAKA
Co Leonardo zaprojektował, to Polak zbudował

NAGRODA NOBLA
60 PODRÓŻ DO WNĘTRZA LUDZI
Nobel medyczny przyznano za zdjęcie sprzed 30 lat

TECHNOLOGIA
62 WINNY JEST KOREK
Czym zatkać butelkę?
64 INSPEKTOR GADŻET

PATRZĄC I CZYTAJĄC
66 ZMIERZCH TYTANA
Chaplin był szczęśliwy w Szwajcarii, ale tęsknił do Hollywood
72 LISTY
73 **TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY**
74 WYDARZENIE – „Kill Bill"
76 FILM – porno-Kolski
78 MUZYKA – dobra melodia Voo Voo
80 KSIĄŻKI – węgierski Oświęcim
82 TEATR – „Dybuk"
84 TELEWIZJA – najlepsze programy

ROZMAITOŚCI
86 DZIENNIKI OSOBISTE **MASŁOWSKA** i **MENTZEL**; **BRALCZYK**; jolka
88 WINNY **BIEŃCZYK** I KULINARNE **PIÓRO** POLSKI; krzyżówka
90 RACZEJ **RACZKOWSKI**

66 Charlie Chaplin

Inspektor Gadżet **64**

Okładka: Sylwia Gruchała
Fot. IRMINA KONEFAŁ/FORUM

Marek Pol
ILUSTRACJA MARCIN MACIEJOWSKI

Możesz mnie nazywać terenówką. Możesz mnie nazywać minibusem. Możesz mnie nazywać kombi. Możesz mnie nazywać vanem.

Tylko nie mów do mnie „mały"

Zgrabna, solidna sylwetka w żywych barwach. Poduszki i kurtyny powietrzne oraz ABS zadbają o Twoje bezpieczeństwo w każdych warunkach. Ergonomiczny drążek zmiany biegów umiejscowiony jest tak jak w minivanach. Obszerne wnętrze dla pięciu osób, bagażnik wystarczająco pojemny, by zmieścić cały bagaż. Centralny zamek i podnoszone elektrycznie przednie szyby oraz automatyczna klimatyzacja sprawią, że prowadząc nowego **Fiata Panda** poczujesz prawdziwą radość. Do wyboru są dwa dynamiczne i ekonomiczne silniki 1.1 8v (54 KM) i 1.2 8v (60 KM). **Potrafiłbyś teraz powiedzieć do niego „mały"?**

koszt połączenia: 1 jedn. taryfikacyjna TP S.A.
☎ 0 801 19 19 19
Warunki oferty dostępne u dealerów.
www.fiatpanda.pl

Nowa Panda FIAT

PO NOWYM JORKU, LONDYNIE I MEDIOLANIE PRZYSZŁA KOLEJ NA PARYŻ. PRZEZ DZIEWIĘĆ DNI NAD SEKWANĄ TRWAŁO ŚWIĘTO ULOTNOŚCI I SZALEŃSTWA

Paryż wybiegł!

FILIP NIEDENTHAL

Nic nowego. To samo szaleństwo i ekstrawagancja. Tysiące obiektywów i dziesiątki gwiazd, czyli bezkrwawa i totalna władza dyktatorów mody

Pokaz i kolekcja Alexandra McQueena były inspirowane filmem „Czyż nie dobija się koni?". Tu modele odgrywają pary tańczące do upadłego

Fot. MICHEL EULER/AP

SWOJE KOLEKCJE POKAZAŁO W PARYŻU 140 PROJEKTANTÓW. ZA PÓŁ ROKU ZNOWU POJAWI SIĘ NA TYCH SAMYCH WYBIEGACH, ALE JUŻ Z ZUPEŁNIE INNYMI KOLEKCJAMI I POMYSŁAMI

John Galliano chciałby, by tej wiosny kobiety wzięły przykład z Marii Antoniny. Królowa lubiła przebierać się za pasterkę

Fot. REMADE / AWINER/AP

Fot. CHARLES PLATIAU/REUTERS/FORUM (2)

PARYSKIE KOLEKCJE PRET-A-PORTER TRAFIĄ DO FIRMOWYCH BUTIKÓW ZA PÓŁ ROKU. W TYCZASIE SIECIOWE SKLEPY Z ODZIEŻĄ ZDĄŻĄ PRZYGOTOWAĆ WIERNE KOPIE DLA ZWYKŁYCH KLIENTÓW

Na pokazach Johna Galliano każda modelka ma tylko jedno wyjście. W garderobie musi się stawić co najmniej na trzy godziny przed rozpoczęciem pokazu. Tyle trwa robienie fryzur i makijażu. W tym sezonie modelki Galliano i tak nie miały najgorzej. W minionych latach musiały wychodzić na wybieg z twarzami oblepionymi cekinami albo koronkowymi serwetkami.

Modelki nie są zwykłymi manekinami. Każda musi na wybiegu odegrać swoją rolę. By mogła się lepiej wczuć, za kulisami każda dostaje szampana. Sam Galliano gustuje podobno w innych używkach, choć trudno to sprawdzić, bo większość pokazu spędza w swoim pokoiku na zapleczu, skąd śledzi przebieg pokazu na ekranie. Aplauz odbiera w pieczołowicie obmyślonym przebraniu, ma nawet oddzielną ekipę makijażystów do własnego wizerunku. Jest to w końcu spektakl z prawdziwego zdarzenia, gdzie wszystko dopracowane jest do ostatniego szczegółu.

I na co to wszystko? – Pokazy mody są jak kłębek puchu – wyjaśnia Domenico Dolce, połowa włoskiego duetu Dolce & Gabbana. – To, co klientki kupią w sklepach, sprzedaliśmy już dwa miesiące temu. To, co pokazujemy na wybiegu, stanowi najwyżej 20 procent sprzedaży.

Gdy po wybiegu paradują modelki w lateksowych kombinezonach, nikt nie pyta, kto to kupi. Ubrania z pokazów to dzieła sztuki, które żyją tylko jeden wieczór – nigdy nie trafiają do sprzedaży. Po co więc tyle zamieszania wokół pokazów mody? Po co wydawać co sezon kilkaset tysięcy dolarów – jeśli nie więcej, o wiele, wiele więcej – na widowisko, które trwa kwadrans, a które na żywo obejrzy może 400–500 osób? Nie trzeba chyba tłumaczyć, że chodzi o promocję. Pokaz to jak zapowiedź hollywoodzkiej superprodukcji: montaż najatrakcyjniejszych fragmentów wyciętych z na ogół nudnej całości. Bo te sprzedane już 80 procent to czarne lub szare żakiety, swetry, płaszcze.

Zresztą to, na czym projektanci najlepiej zarabiają, na czym zbijają swe fortuny, to nie ubrania, lecz dodatki. W tym pojęciu mieszczą się przede wszystkim torby, paski, portfele oraz okulary przeciwsłoneczne, ale i majtki, ręczniki, świeczki, pościel czy – w wypadku firmy Burberry – wdzianka dla psów. Przede wszystkim jednak kosmetyki, a ściślej – perfumy. Za kilkadziesiąt lub kilkaset złotych ty będziesz o 50 mililitrów bliżej lepszego życia, a producent odpowiednio bogatszy.

NAJWAŻNIEJSZA JEST GWIAZDA

Sądząc po jatkach, jakie odbywają się przed wejściem na każdy pokaz mody – czy to w Nowym Jorku, Londynie, Mediolanie, czy Paryżu – za ścianą ochroniarzy naprawdę musi czekać antidotum na szarą rzeczywistość. Dziennikarze i styliści zrobią wszystko, żeby przedostać się do środka (zaproszenie wcale nie gwarantuje wejścia), by móc podzielić się tym objawieniem z resztą świata. Każdy szanujący się dziennik zachodni ma swojego specjalnego reportera od spraw mody, a jego sprawozdanie trafia często na pierwszą stronę.

To już nie są ubrania, to zjawisko, którego reperkusje sięgają kultury i ekonomii. Kiedy w wiadomościach pokażą supermodelkę w skąpej sukience, następnego dnia ze sklepów znikną wyżej wymienione akcesoria. Jeśli w tej samej sukience wystąpi później Nicole Kidman albo Madonna, akcesoriów zniknie dwa razy tyle. Dlatego gwiazdy wypierają ostatnio prasę z pokazów. Przede wszystkim robi się miejsce dla aktorek i piosenkarek, projektanci gotowi są opóźnić prezentacje o godzinę lub dwie, by tylko swą obecnością zaszczycili ich Beyoncé, P. Diddy, może być nawet Melanie Griffith.

Znana twarz na pokazie to darmowa reklama, cenniejsza od każdej ilości rozkładówek w „Vogue'u". Chyba że zamiast modelek na tych rozkładówkach pojawiają się właśnie gwiazdy. Cate Blanchett reklamuje modę Donny Karan, Jennifer Lopez podpisała kontrakt z Louis Vuitton, a Donatella Versace w poszukiwaniu młodych klientek zaangażowała do najnowszej kampanii Christinę Aguilerę. Czy w pierwszym rzędzie, czy na czerwonym dywanie, czy też na łamach pism – gwiazda zawsze sprzeda produkt lepiej niż najlepsza modelka.

KREATYWNA KOMERCJA

Czyżby ubrania były więc jedynie pretekstem? Co za różnica, czy sukienka jest do kolan, czy do pół uda, jeśli i tak znajdzie się jakaś ulubienica masowej wyobraźni, którą w jakiś sposób się przekona, by przeszła w tej sukience te parę metrów przed fotografami. Na szczęście są jeszcze tacy projektanci, którzy nie tym się przejmują, którzy swój zawód traktują jako wyzwanie.

Są jeszcze i tacy, którym udaje się połączyć jedno z drugim, kreatywność z komercją. Najlepiej robi to właśnie Galliano, dyrektor kreatywny paryskiego domu mody Christian Dior. Odkąd objął to stanowisko po Włochu Gianfranco Ferre, zapyziała marka przynosi coraz większe zyski.

Galliano, Anglik hiszpańskiego pochodzenia, samodzielnie wpadł na najlepszy sposób robienia pieniędzy. Tworzy fantastyczne kreacje, których nie da się w żaden sposób przyswoić, nikt tego zresztą po nim nie oczekuje, wręcz przeciwnie. Bernard Arnault, szef Galliano i właściciel firmy LVMH, do której oprócz Diora należą również marki Vuitton, Givenchy i Christian Lacroix, pozwala mu na wszystko. To właśnie pokazy Diora mogą kosztować nawet milion dolarów. I tak się zwraca.

Jak mówi sam Galliano kolekcja prêt-à-porter Diora na wiosnę–lato 2004 to „Marlena Dietrich w reinkarnacji Courtney Love i Janis Joplin". Co z tego, że nie wnosi niczego nowego do jego repertuaru – projektant od lat łączy style lat 40. i 50. z rock and rollem. Przedstawiając najnowsze kolekcje, większość pism i tak wybierze jego stroje, bo to się najlepiej ogląda, szczególnie na tle tysięcy kwiecistych sukienek i białych, lnianych garniturów, których w przyszłym sezonie będziemy mieli do znudzenia.

FILIP NIEDENTHAL

Autor jest dziennikarzem dwutygodnika „VIVA!"

KILKADZIESIĄT MILIONÓW MIESZKAŃCÓW AFRYKI ŻYJE NA SKRAJU ŚMIERCI GŁODOWEJ. KOLEJNE TRZYSTA MILIONÓW NIE MA DOSTĘPU DO WODY PITNEJ

AFRYKA

W ciągu ostatniego tygodnia w Kenii zmarło na AIDS tylu ludzi, ilu poległo podczas wojny w Iraku. Nigdzie na świecie śmierć nie wypada na zdjęciach tak dobrze jak w Afryce. I nigdzie nie jest światu tak obojętna

TEKST JAKUB MIELNIK
ZDJĘCIA BRENT STIRTON/GETTY IMAGES/EAST NEWS

Chory na gruźlicę zambijski rolnik odpoczywa na polu spustoszonym przez suszę, która trwa już trzeci rok. Większość mieszkańców rolniczych regionów Zambii cierpi głód

Chłopiec umierający na malarię w szpitalu w Sierra Leone. Malarię roznoszą komary lęgnące się w bagnistych bajorach, które w Afryce są głównym źródłem wody pitnej. Około 300 milionów mieszkańców kontynentu nie ma dostępu do wody bieżącej

AIDS I MALARIA DZIESIĄTKUJĄ AFRYKĘ. CO PIĄTY MIESZKANIEC KONTYNENTU JEST NOSICIELEM HIV. WIĘKSZOŚĆ UMRZE W CIĄGU PIĘCIU LAT. NA POMOCY DLA NICH MOŻNA NIEŹLE ZAROBIĆ

Śmierć w Afryce przestała być tragedią. Problemy innych kontynentów, owszem, czasami nas jeszcze poruszają. Ale Afryka? Świat ludzi sytych i zadowolonych z siebie zaakceptował fakt, że masowa śmierć z powodu głodu, chorób i wojen jest nieodłączną częścią afrykańskiego kolorytu.

Media od czasu do czasu próbują wyrwać nas z tej obojętności. Oglądamy ofiary wojny domowej w Liberii, nie mogąc nadziwić się nieletnim rebeliantom, którzy przebrani w damskie stroje gwałcą, palą i mordują. Czytamy o tym, że kongijscy partyzanci uznali mieszkających w dżungli Pigmejów za przysmak i polują na nich jak na tapiry. Takie ciekawostki przyciągają na chwilę naszą uwagę. Tak jak te wystudiowane zdjęcia z pewnością godne jakiejś ważnej międzynarodowej nagrody. Dla większości z nas są wydarzeniem estetycznym, a nie świadectwem smutnego faktu, że Afryka umiera na naszych oczach.

Agonia Czarnego Lądu to gratka nie tylko dla zdolnych fotoreporterów. To także szansa na świetny interes, którą bez skrupułów wykorzystują przedsiębiorcy krążący wokół miliardowych funduszy, pakowanych w wór bez dna pod nazwą „pomoc dla Afryki".

Same tylko Stany Zjednoczone na walkę z AIDS w Afryce przeznaczą do 2005 roku 15 miliardów dolarów. Z tych pieniędzy finansuje się między innymi akcję rozdawania prezerwatyw w rejonach szczególnie zagrożonych epidemią AIDS. Takich jak Tanzania, która ma dwa miliony nosicieli.

W ubiegłym roku władze tego kraju odesłały 10 milionów ofiarowanych prezerwatyw, ogłaszając, że są wadliwie wykonane i pękają przy próbie użycia. Prezerwatywy były po prostu za małe. Dla oszczędności kupiono je w Chinach, nie uwzględniając istotnych różnic anatomicznych między Azjatami a Afrykanami. W efekcie tanzańscy mężczyźni mogli założyć chińskie prezerwatywy co najwyżej na kciuki.

Mniej więcej w tym samym czasie wybuchł skandal z preparatami dla chorych na AIDS. Po wielu miesiącach negocjacji i protestów koncerny farmaceutyczne zgodziły się na sprzedaż leków do Afryki po obniżonych cenach. Szybko jednak znalazły się firmy, które skupowały z rynków afrykańskich preparaty, sprzedając je potem z sześciokrotnym przebiciem w aptekach w Szlezwiku-Holsztynie, Nadrenii i Zagłębiu Saary. Niemiecka minister zdrowia Ulla Schmidt zażądała wycofania z rynku 35 tysięcy opakowań preparatów Epivir i Carnvibir. Nie zrobiła tego jednak dla chorych na AIDS z Afryki ani dlatego, że ratujące życie lekarstwa stały się przedmiotem bezczelnej spekulacji. Wycofano je z rynku z obawy, że w Afryce były niewłaściwie przechowywane.

Walka z AIDS w Afryce mimo sporych funduszy ciągle pozostaje fikcją. Według szacunków wirusem HIV zarażony jest co piąty z ponad sześciuset milionów mieszkańców Czarnego Lądu. Większość z nich umrze w ciągu następnych pięciu lat. Kilka tygodni temu ONZ ogłosiła, że z powodu AIDS Afryka jest w stanie wojny.

Znów jakaś wojna? – mógłby zapytać ktoś, kto ma w pamięci doniesienia o kolejnej rebelii lub plemiennej wojnie toczącej któreś z postkolonialnych państw Czarnego Lądu. Od 1960 roku, kiedy wolność uzyskała większość obecnych krajów Afryki, wybuchło tam ponad 300 wojen. Od upadku muru berlińskiego w konfliktach zbrojnych toczonych na Czarnym Lądzie zginęło kilka milionów ludzi. W samym Kongu trzy miliony, 300 tysięcy w Burundi, 200 tysięcy w Liberii i Sierra Leone. Pół miliona w Angoli, a w Sudanie dwa miliony. Te liczby mogłyby przerażać, gdyby ktoś interesował się Afryką choćby w połowie tak mocno jak wojną w Iraku, w której zginęło pięć tysięcy ludzi. To mniej więcej tyle, ile w ciągu tygodnia umiera na AIDS w Kenii.

CHLEBA I WODY!

Nad tymi, którzy unikną AIDS lub plemiennej wojny, wisi jeszcze odwieczne afrykańskie przekleństwo, czyli widmo śmierci z głodu i pragnienia. Dla kilkudziesięciu milionów ludzi darmowe jedzenie z darów to jedyne pożywienie, jakie znają. Ekonomiści pomstują na system rozdawnictwa żywności, bo zabija on przedsiębiorczość, dławi gospodarkę i demoralizuje afrykańskie społeczeństwo.

Z drugiej strony na kontynencie rozpieszczonym kiedyś pomocą mocarstw kolonialnych leczących moralnego kaca nie ma innych szans na wyżywienie mieszkańców. Zwłaszcza że gospodarki krajów afrykańskich ledwo zipią, spłacając długi sięgające ponad 200 miliardów dolarów. Są oczywiście tacy, którzy twierdzą, że

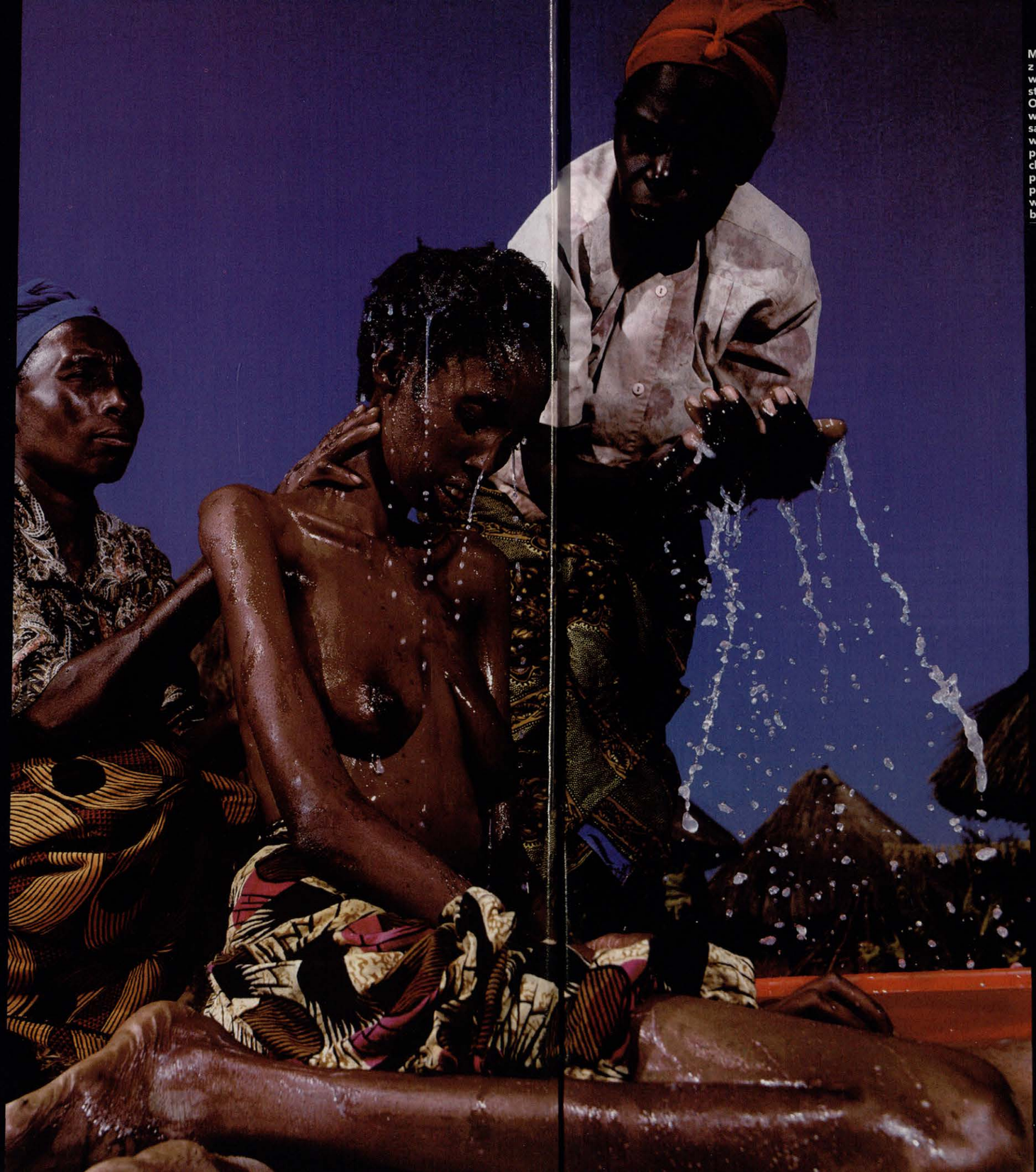

Młoda kobieta z Zambii w końcowym stadium AIDS. Osłabieni wirusem są bezradni wobec pospolitych chorób przenoszonych przez żyjące w wodzie bakterie

Afryka mogłaby się sama wyżywić. Problem w tym, że rolnictwo musiałoby się przestawić na produkcję żywności, a nie roślin przemysłowych. Z Afryki pochodzi jedna trzecia wypijanej na świecie kawy, połowa oleju palmowego i aż dwie trzecie kakao. Uprawy przynoszą krocie zagranicznym koncernom, zajmują jednak najbardziej żyzne ziemie kontynentu.

W ubiegłym roku Zambia odmówiła przyjęcia transportu genetycznie zmodyfikowanej soi, która miała rozwiązać problem głodu w tym kraju. Organizacja Greenpeace pochwaliła Zambię za tę odważną decyzję, która kosztowała życie tysięcy wyniszczonych głodem ludzi. Ekolodzy z sytych krajów Północy mają czyste sumienie – wygrali bitwę o uchronienie Afryki przed zalewem „niezdrowej" ich zdaniem żywności.

Zapewnienie jedzenia nie jest jedynym problemem Czarnej Afryki. Połowa z sześciuset milionów mieszkańców kontynentu zaczyna dzień od kilkukilometrowego marszu do najbliższej studni. O szczęściu mogą mówić ci, którzy mają dostęp do studni, nawet jeśli jest to jedynie płytkie bajoro pełne roznoszących malarię komarów. Skażona woda wywołuje też biegunki i infekcje skóry. Dla chorych na AIDS zatrucie pokarmowe najczęściej oznacza wyrok śmierci, przed którym nie ma ratunku.

Bank Światowy ma na brak wody takie samo lekarstwo jak w wielu innych dziedzinach gospodarki. Jest nim prywatyzacja. – Woda dla zysku to woda dla wszystkich, państwową wodę Afryka ma teraz – odpowiada na jakiekolwiek zarzuty Paul Mitchell z Banku Światowego. Jednak Afryka nie chce wody dla zysku, a świat mało się nią interesuje.

POBOŻNE ŻYCZENIA ONZ

Od czasu do czasu jakaś widowiskowa klęska żywiołowa albo masakra wywołuje poruszenie. Gwiazdorzy w garniturach, za które można by wyżywić pół wioski w Zambii, śpiewają wtedy o głodzie, wojnach i chorobach, apelując o datki. Zbawiciele świata z ONZ kreślą śmiałe plany jego naprawy. Opracowany z okazji milenium oenzetowski dokument pod tytułem „Cele rozwoju na nowe tysiąclecie" mówi o potrzebie likwidacji biedy i głodu, o edukacji i pokoju. Ten sam zbiór pobożnych życzeń, które padały w połowie ubiegłego wieku, gdy Afryka zdobywała wolność.

Po latach redaktor naczelny pisma „Jeune Afrique" Bechir Ben Yahmed napisał: „Rozdział naszej niepodległości rozpoczęty z radością kończy się bardzo źle, a czarna kreska, którą musimy odciąć te lata, nie zamyka niczego, z czego moglibyśmy być dumni". Nie miał racji. W Afryce śmierć jest piękna. Przynajmniej na zdjęciach.

JAKUB MIELNIK

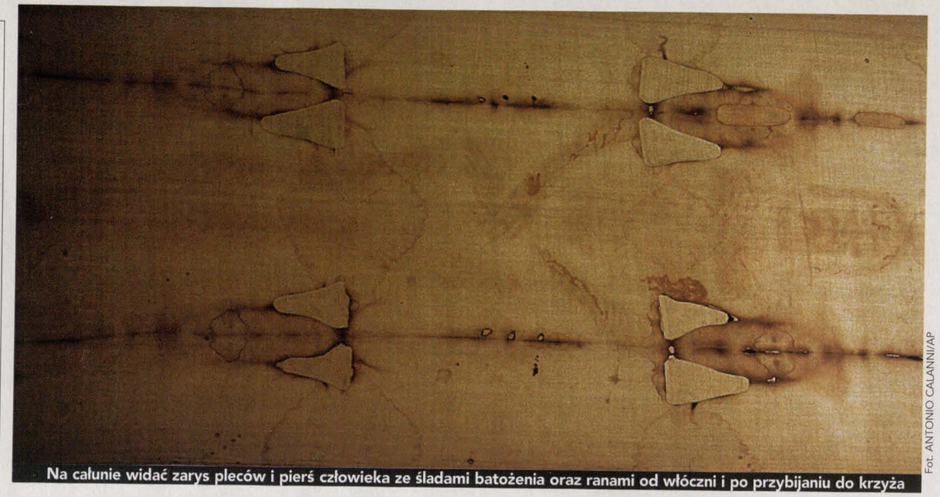

Na całunie widać zarys pleców i pierś człowieka ze śladami batożenia oraz ranami od włóczni i po przybijaniu do krzyża

Fot. ANTONIO CALANNI/AP

TO NIE JEST KREW CHRYSTUSA

KOŚCIÓŁ POTWIERDZIŁ, ŻE SŁYNNY CAŁUN TURYŃSKI, W KTÓRY PO ZDJĘCIU Z KRZYŻA MIAŁ BYĆ ZAWINIĘTY JEZUS CHRYSTUS, MA ZALEDWIE 600 LAT

O wynikach badań poinformował arcybiskup Turynu Anastasio Ballestrero, podsumowując wyniki pracy trzech niezależnych laboratoriów w Zurychu, Arizonie i Oksfordzie.

Badając całun metodą radioaktywnego węgla, wszystkie laboratoria ustaliły z „95-procentową pewnością" ten sam wiek: tkanina pochodzi z lat 1260–1390. – Jestem agnostykiem i nie chciałbym w moim wieku zmieniać poglądów – podsumował badania profesor Edward Hall z Oksfordu.

Wyniki zgadzałyby się z historycznymi przekazami: pierwszy raz o istnieniu całunu informował biskup Troyes we Francji w 1389 roku. Teraz arcybiskup Ballestrero przypomniał, że Kościół nigdy nie uważał całunu za świętą relikwię. – Ale jego symbolika pozostaje ważna – dodał.

– Znamy już jego wiek, ale zupełnie nie znamy pochodzenia – powiedział włoski profesor Luigi Gonnella. – To na pewno nie jest malowidło, a czerwone ślady to z pewnością krew. W średniowieczu jednak nie istniała żadna technologia pozwalająca utrwalić ślady krwi na tkaninach – zastanawia się profesor Gonnella.

(AŁ)

krótko

LIZUSY WE FRANKFURCIE

Organizatorzy Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie nie dopuścili do prezentacji książki „Druga czeczeńska", którą napisała rosyjska dziennikarka Anna Politkowska. Odwołano też dyskusję nad książką, która jest zbiorem reportaży, rozmów i wywiadów z Czeczenami wykonanych podczas trwającej od 1999 roku „drugiej wojny" (pierwsza wojna w Czeczenii miała miejsce w latach 1995–1997). Nieoficjalnie wiadomo, że swymi zakazami niemieccy organizatorzy chcieli przypodobać się prezydentowi Władimirowi Putinowi, który podczas wizyty w Niemczech odwiedził targi. – Cóż, istnieje coś takiego jak służalczość – skomentował zachowanie Niemców Aleksander Tkaczenko, szef rosyjskiego PEN-Centrum, w wywiadzie dla moskiewskiej radiostacji Echo Moskwy. Kilka dni przed rozpoczęciem targów Anna Politkowska otrzymała za swą książkę nagrodę międzynarodowego wydawnictwa Lettres Internationales.

CYFRO-MAT

50 dzieci rodzą co roku w Polsce 14-letnie i młodsze dziewczynki

Na świecie **co 14 sekund** kolejny nastolatek zaraża się wirusem HIV

47 milionów obywateli USA (co piąty) nie mówi w domu po angielsku. Najwięcej mówi po hiszpańsku (28 milionów), po polsku rozmawia z rodziną 670 tysięcy Amerykanów

38 procent telewidzów z Niemiec ma już dość oglądania informacji z Izraela

© Harpers Magazine – Tribune Media Services International 2003, © Time

GENERAŁ KORYGUJE, MINISTER NIE WIE, O CO CHODZI

PO AKTUALNYM JAK NA RAZIE PYTANIU O SKŁAD STARACHOWICKIEGO ŁAŃCUSZKA „DOBREJ WOLI" POJAWIŁA SIĘ KOLEJNA ZAGADKA – CZY KOMENDANT GŁÓWNY POLICJI KŁAMAŁ?

W aferze starachowickiej łańcuch osób podejrzanych o ujawnienie i przekazanie tajnych informacji składał się do niedawna z trzech ogniw. Byli nimi członkowie SLD Jagiełło, Długosz i Sobotka. Po publikacjach „Rzeczpospolitej" i „Super Expressu" do grupy w aurze skandalu doszło nazwisko generała Antoniego Kowalczyka, szefa polskiej policji.

Według doniesień prasowych Kowalczyk podczas pierwszego przesłuchania w prokuraturze zeznał, że nie informował Sobotki o akcji przeciw starachowickim samorządowcom. Na drugim przesłuchaniu miał podobno zmienić zdanie. Jeśli tak było, komendant złożył fałszywe zeznania.

– Jeżeli jest to prawda, to stała się rzecz straszna – powiedział poseł PO Bronisław Komorowski. – To jest mniej więcej tak, jakby minister obrony okazał się szpiegiem.

Poseł wezwał do dymisji nie tylko ministra spraw wewnętrznych i administracji, „ale chyba i premiera".

– Uzupełniłem jedynie i korygowałem przekazane wcześniej informacje o dodatkowe okoliczności – wyjaśnił z kolei sam generał Kowalczyk, występując jednocześnie o odtajnienie swych zeznań. Pozostaje podziwiać spokój ministra Janika, który komentując sprawę dla Radia Zet, powiedział: „Tutaj świat realny miesza się ze światem medialnym, wyrok jest wydany, a dalej nie wiemy, o co chodzi". Jak zwykle.

(RAF)

TARAPATY KUBY

KTOŚ DYBIE NA ŻYCIE KUBY STĘPNIAKA. ZNANY OBROŃCA PRAW ZWIERZĄT UKRYWA SIĘ, BO POBITO GO JUŻ DRUGI RAZ, A JEGO TELEFON URYWA SIĘ OD POGRÓŻEK

Pierwszy napad miał miejsce w kwietniu. Skończyło się na wstrząsie mózgu i uszkodzeniu kręgów szyjnych. Drugi raz Kubę napadnięto 2 października. Tym razem napastników było trzech. Jeden z nich to kolega Kuby ze szkoły, 17-letni Mateusz C. Policja już postawiła mu zarzut rozboju z użyciem niebezpiecznego narzędzia (napastnicy mieli noże), za co grozi kara do 15 lat więzienia.

Starszy aspirant Jarosław Kruk z komisariatu w gdańskim Przymorzu twierdzi, że w napad zamieszana jest rodzina jednego z napastników. Prawdopodobnie chodzi właśnie o Mariusza C. Chłopak wielokrotnie przechwalał się rodzinnymi koneksjami – jego ciotka to znana szefowa ogólnopolskiej fundacji promującej muzyczne talenty. Być może Kuba, który pod koniec ubiegłego roku starał się zorganizować charytatywny koncert z udziałem bas-barytona José van Dama, nagle stał się konkurencją. Koncert ostatecznie odbył się, ale kilka miesięcy później i bez udziału fundacji Kuby. Śpiewak, prywatnie wielki miłośnik koni, wziął w nim udział, ale już na zasadach komercyjnych.

Jest też inna hipoteza mająca wyjaśnić przyczyny napadów. Wiadomo, że Kuba wiele razy upominał się o humanitarne traktowanie koni wywożonych w straszliwych warunkach z Polski do Włoch. To narusza interesy handlarzy końmi. Rodzina Kuby ciągle odbiera pogróżki, ostatnio ktoś syczał do słuchawki telefonu: – To znowu my. Ty gnoju. Źle skończysz, jak się od tych koni nie odczepisz!

(MIW)

Kuba Stępniak w dyskusji z handlarzami koni na targu w Bodzentynie

Fot. JAROSŁAW KUBALSKI/AG

krótko

CORAZ BLIŻEJ PROVENZANA

W ręce włoskiej policji wpadł ścigany od lat jeden z szefów Cosa Nostry, któremu zarzuca się kierowanie operacjami przestępczymi i pomoc w ukrywaniu poszukiwanego od 40 lat ojca chrzestnego sycylijskiej mafii Bernarda Provenzana (o Provenzanie pisaliśmy w poprzednim numerze „P"). Salvatore Sciarrabba został aresztowany we własnym mieszkaniu, w którym znaleziono trzy sztuki broni palnej, kilka noży, telefony komórkowe, krótkofalówki i 20 tysięcy euro. 53-letni mafioso dołączył do wcześniej schwytanych ojców sycylijskiej mafii: Benedetta Spery, Vincenza Virgi i Antonina Giuffré. Choć główny poszukiwany Bernardo Provenzano wciąż pozostaje na wolności, zeznania Salvatore Sciarrabby mogą pomóc policji w jego ujęciu.

KRÓLIK Z UCHA

POD WDZIĘCZNYM IMIENIEM NT20 KRYJE SIĘ PIERWSZY POLSKI KLON: BIAŁY KRÓLIK

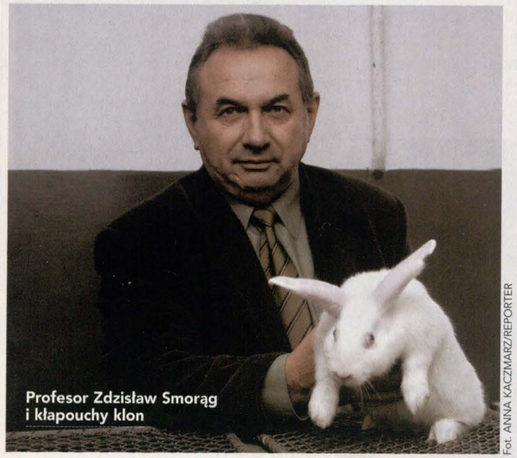

Profesor Zdzisław Smorąg i kłapouchy klon

Fot. ANNA KACZMARZ/REPORTER

Królik nazwany NT20 urodził się w Instytucie Zootechniki w Balicach koło Krakowa. Został sklonowany metodą podobną do tej, której użyto do stworzenia owcy Dolly. Podobną – nie znaczy taką samą. „Rodzice" królika – profesor Zdzisław Smorąg, doktor Maria Skrzyszowska i doktor Marek Pieńkowski – wprowadzili bowiem do powszechnie znanej metody klonowania pewne modyfikacje.

Tradycyjna metoda polega na tym, że do pozbawionej wcześniej jądra komórki jajowej wprowadza się jądro z komórki somatycznej (nie rozrodczej, ale pochodzącej na przykład ze skóry) zwierzęcia, które chcemy „powielić". Potem jajo traktuje się prądem, by zaczęło się dzielić i by powstał zarodek. Wszczepia się go następnie matce zastępczej, a ta rodzi klona.

W Balicach jądro komórki pobrane z ucha zwierzęcia-„pierwowzoru" wprowadzono nie do pustego jaja, ale do zarodka na bardzo wczesnym etapie rozwoju. Zarodek składający się z dwóch komórek został implantowany do macicy królicy, która urodziła NT20.

Krytycy twierdzą, że nie jest to „czysty" klon, lecz chimera posiadająca mieszaninę komórek z dwóch różnych organizmów. Baliccy badacze odpowiadają, że taka metoda ma uchronić klonowane zwierzęta przed wadami rozwojowymi. Chcą uzyskać klony, które – po modyfikacji genetycznej – będą mogły być dawcami organów do przeszczepów lub których białka będą wykorzystywane do produkcji leków. (OP)

INTERNETOWA KLĄTWA

PO RAZ PIERWSZY W HISTORII INTERNETU DUCHOWNY OBŁOŻYŁ KLĄTWĄ MODERATORA FORUM

Pop z Doniecka (Ukraina) z Jedynej, Zjednoczonej i Apostolskiej Cerkwi Chrystusowej rzucił klątwę na moderatora forum należącego do telefonicznej firmy Farlep-Telekom-International. Duchowny wysyłał na forum duże artykuły religijne, wklejając je na przykład do dyskusji „Jak poderwać dziewczynę". Moderator usuwał je, prosząc autora, by zamiast pełnych tekstów zamieszczał tylko prowadzące do nich linki. Nieugięty duchowny zainicjował więc na forum dyskusję „Tajemnice seksu". Moderator ją też usunął. Pop stracił cierpliwość: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Władzą daną mi od Boga ja – kapłan Jezusa Chrystusa – rzucam klątwę na człowieka o pseudonimie r0ar1ng_angel [kod moderatora – przyp. red.], który uniemożliwia głoszenie Ewangelii!". Moderator natychmiast odpowiedział, zarzucając duchownemu „nadużywanie stanowiska służbowego", i wezwał internautów na pomoc. Ale większość zaproponowała mu, by się pokajał. (AŁ)

krótko

RULETKA ZE ŚLEPAKIEM

Brytyjski iluzjonista i magik Derren Brown zagrał na oczach telewidzów w rosyjską ruletkę. Podczas transmitowanego na żywo programu wylosowany telewidz włożył nabój do jednej z ponumerowanych komór bębenka rewolweru, po czym głośno odliczył do sześciu. Wówczas Brown miał siłą magii ropoznać numer komory z kulą. Po otrzymaniu rewolweru przystawił sobie broń do skroni i cztery razy pociągnął za spust. Potem podszedł do worka z piaskiem i strzelił po raz piąty – z worka zostały strzępy. Badająca występ policja stwierdziła, że nabój był ślepakiem, a cały występ – oszustwem. – Przecież gdyby strzelił sobie ślepakiem w skroń, i tak by zginął – skomentował rzecznik Browna.

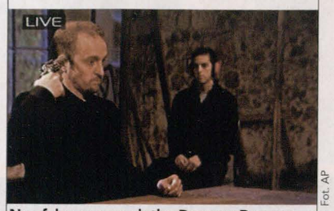

Na sfałszowaną ruletkę Derrena Browna dało się nabrać cztery miliony telewidzów

Fot. AP

Fot. EAST NEWS

STRINGI POD MUNDUREK

NIE POWIODŁA SIĘ PRÓBA ZAKAZANIA FRANCUSKIM NASTOLATKOM SKĄPEJ BIELIZNY. UCZENNICE OGŁOSIŁY STRAJK

We Francji rozgorzała debata na temat skąpej mody panującej wśród nastolatek. – Pokazują ciała jak jakiś towar! Nie powinniśmy być zaskoczeni, jeśli dojdzie z tego powodu do napaści na tle seksualnym – grzmi była minister edukacji Segolone Royale. – Szkoła to nie night-club – wtóruje jej obecny minister Xavier Dacos. Jego zdaniem nadszedł czas, by do francuskich szkół powróciły mundurki.

Problem pojawił się, gdy zgodnie z obowiązującą modą francuskie licealistki zaczęły nosić dżinsy biodrówki i krótkie koszulki, umyślnie pokazując w ten sposób stringi. W pewnym alzackim liceum odziane tak nastolatki usłyszały, że mają pójść do domu i wrócić, gdy się ubiorą. Wróciły, ale trzy dni później i z setką koleżanek. Wyzwolone uczennice obległy gabinet dyrektorki, żądając prawa do noszenia tego, co im się żywnie podoba.

W kontekście niekończącej się dyskusji nad prawem noszenia chust przez uczennice muzułmanki mundurki mogą być sensownym wyjściem. Wyzwolone Francuzki powinny się cieszyć, że nie muszą zasłaniać twarzy, a muzułmanki – że wolno im chodzić z zakrytymi pośladkami. (TBK)

TORUŃ CHCE FILUTKA

WYRYTE LASEREM NA KAMIENNEJ PŁYCIE ZARYSY DWÓCH POSTACI – TAK MA WYGLĄDAĆ POMNIK PROFESORA FILUTKA I JEGO PSA FILUSIA

Władze Torunia chcą w ten sposób upamiętnić zmarłego pod koniec września Zbigniewa Lengrena, twórcę bohaterów, którzy byli znakiem rozpoznawczym „Przekroju". – Pan Lengren skończył w Toruniu wydział sztuk pięknych, jego dzieci tu się urodziły – uzasadnia pomysł Andrzej Szmak, dyrektor wydziału promocji i informacji toruńskiego urzędu miasta. Jest jeszcze jeden powód – pierwowzorem rysunkowego profesora miał być Witold Lis-Olszewski, wileński adwokat, pierwszy kierownik Katedry Prawa Rzymskiego na UMK. – Widziałem jego zdjęcie. Prawie idealnie pasuje do profesora Filutka – ujawnił Szmak.

Forma pomnika nie jest jeszcze ostateczna, ale pomysł z płytą ustawioną na cokole w centrum Starówki ma na razie największe poparcie pomysłodawców. (RAF)

W GDAŃSKIM TEATRZE WYBRZEŻE MOŻNA JUŻ ZOBACZYĆ SCENICZNĄ ADAPTACJĘ BESTSELLEROWEJ „WOJNY POLSKO-RUSKIEJ...". MOŻNA, ALE NIE TRZEBA

PRZEGRANA WOJNA

Karolina Adamczyk i Eryk Lubos w gdańskiej adaptacji Masłowskiej

Fot. ROMAN JOCHER/AG

Nad spektaklem według prozy Doroty Masłowskiej oprócz reżyser Agnieszki Lipiec-Wróblewskiej pracowała cała plejada postaci z kręgu młodej kultury. Oprawę muzyczną stworzyli producent klubowych przebojów Andrzej Smolik i łódzka grupa rockowa Cool Kids Of Death (partie wokalne w jej utworach wykonuje sama Masłowska!). Nad projekcjami filmowymi pracowała Maria Zbąska.

Problem w tym, że śledzenie wątków powieści Doroty Masłowskiej w teatralnej adaptacji skazane jest na porażkę. Zasadnicze trudności ze zrozumieniem spektaklu będą mieli nawet ci, którzy już znają samą powieść. Oglądanie aktorów skazanych na stanie, bieganie albo leżenie na metalowym podeście, który za każdym ich ruchem wydaje zgrzytliwy pobrzęk (skutecznie zagłuszający słowa), to dodatkowa, fizyczna, udręka. Szkoda Masłowskiej. (HM)

krótko

WYNALAZKI SOPRANO

Przed sądem na Manhattanie trwają przesłuchania w sprawie DeCavalcante – nowojorskiej rodziny mafijnej, która doradzała scenarzystom serialu „Rodzina Soprano" w sprawach mafijnych. Jak się okazuje, mafiosi nie zdradzili filmowcom wszystkich sekretów fachu. Świadek koronny wypaplał, jak obrotni bossowie DeCavalcante pozbywali się ciał ofiar mafijnych porachunków. Wkładali je do specjalnych trumien z podwójnym dnem, w których – „na drugiego" – chowano następnie zwykłych nieboszczyków. „Dwuosobowe" trumny wynalazł jeszcze w latach 20. szef mafijnego zakładu pogrzebowego w New Jersey Carlo Corsetino. Jego syn do dziś prowadzi interes i sprzedaje specjalne trumny zaufanym ludziom. Jak powiedział świadek, jedyny problem z takimi pochówkami sprawiali grabarze. – Sześciu zwalistych facetów niosło trumnę z babcią ważącą 40 kilo, a wyglądali, jakby mieli problem – wyjaśniał koronny sądowi.

krótko

CENNA PUNKTUALNOŚĆ

Ogólnokrajowa akcja synchronizacji zegarków rozpoczęła w Ekwadorze kampanię przeciw legendarnemu już spóźnialstwu mieszkańców tego kraju. W tej chwili miejscowi żyją w strefie czasowej nazywanej „ekwadorską" – w jej zasięgu na każde spotkanie można się spóźnić przynajmniej o kwadrans. Jak wyliczyli eksperci, gospodarka Ekwadoru traci na niepunktualności 700 milionów dolarów rocznie. Walkę z narodowym spóźnialstwem wspiera prezydent Lucio Gutierrez, który sam zwykł spóźniać się na oficjalne spotkania o trzy godziny. (TIME)

Prezydent Lucio Gutierrez (po prawej) otwiera kampanię na rzecz punktualności

Fot. F. JACOME/REUTERS/FORUM

Myślałem, że oszczędzam

Miałem	Teraz mam
zysk 887,90 zł	zysk 4945,87 zł
lokaty	agregacja lokat i funduszy
jednocyfrowa dochodowość oszczędności 4,44%*	dwucyfrowa dochodowość oszczędności 24,73%*

www.multibank.pl
MultiBank jest częścią BRE Banku SA

multilinia: 0 801 300 000
Opłata jak za połączenie lokalne wg taryfy TP SA

MultiBank
przyjazny świat finansów

*Szczegóły w Przekroju

Centrum Oszczędzania umożliwia Ci łączenie tradycyjnych lokat bankowych oraz nowoczesnych form oszczędzania, jakimi są fundusze inwestycyjne. Dzięki temu TWOJE ZYSKI mogą być WIELOKROTNIE WIĘKSZE.

ANTYBLOKADER

W LONDYNIE DZIAŁA BOHATER NA MIARĘ SPIDERMANA. CZŁOWIEK ZE SZLIFIERKĄ KĄTOWĄ ZAJMUJE SIĘ UWALNIANIEM SAMOCHODÓW

Petite Tendai po powrocie do domu spotkała niemiła niespodzianka: policja założyła blokadę na koło jej samochodu. Ledwie zaczęła narzekać na bezprawne (jej zdaniem) unieruchomienie wozu, a już pojawił się ubrany w kostium komiksowego bohatera długowłosy mężczyzna, który rzekł: – Jeżeli jest ktoś, kto może temu zaradzić, to jest nim z pewnością Angle-Grinder Man. – Po tych słowach przepiłował blokadę – wspomina Petite.

Popularny już bohater uwolnił dotąd 20 nieprawidłowo zaparkowanych samochodów. Swoją misję rozpoczął, gdy policja zablokowała mu auto i wystawiła mandat na sumę 95 funtów (około 550 złotych). Zamiast zapłacić karę, Angle-Grinder Man wynajął w sklepie szlifierkę kątową za 30 funtów (około 172 złotych). Po czym odpiłował blokadę.

Właśnie wtedy postanowił zostać bohaterem na miarę komiksowych herosów. Zaprojektował strój składający się z niebieskiego obcisłego kombinezonu, złotych rękawiczek, butów oraz okularów ze sklepu dla fetyszystów.

Fot. JONATHAN PLAYER/THE NEW YORK TIMES

Zamaskowany Anglik od czterech miesięcy rozcina blokady na kołach samochodów

Za całym show, jaki robi kostiumowy bohater, stoi, jak sam mówi, śmiertelnie poważne przesłanie. Angle-Grinder Man (Człowiek ze Szlifierką Kątową) twierdzi, że walczy z arogancją władzy, która zamiast słuchać opinii obywateli, stara się nią manipulować. Uważa też, że blokowanie kół jest bezprawne i nieuczciwe. (TBK)

krótko

Fot. EAST NEWS (2)

LAETITIA PRZED... I PO
Francuska modelka i aktorka Laetitia Casta zmieniła płeć na potrzeby reklamy paryskiego domu towarowego Galeries Lafayette. Zmieniła na szczęście tylko na zdjęciu. Twórca reklamy Jean-Paul Goude dobudował do prostej promocyjnej prowokacji artystyczną ideologię: – Chciałem pokazać piękno tej istoty bez manifestowania jej przynależności do jakiejkolwiek płci – wyznał. Na zdjęciu 25-letnia Korsykanka ma blond włosy obcięte na jeża, powiększono jej uszy i wyprostowano nos. Reklama nie sugeruje oczywiście, że każdy mężczyzna po zmniejszeniu uszu i zapuszczeniu włosów zmieni się w Laetitię Castę.

krótko

Aresztowanie wokalisty Perfectu

Fot. WOJCIECH TRACZYK/SE

DACHOWANIE PERFECTU
Zespół Perfect pozazdrościł Beatlesom i grupie U2: zagrał darmowy koncert na dachu budynku w centrum Warszawy. Wydarzenie zorganizowane przez warszawską rozgłośnię Radio 94 wzbudziło aplauz gapiów i irytację stróżów porządku, którzy po piosence „Chcemy być sobą" aresztowali Grzegorza Markowskiego. Po krótkim przesłuchaniu zwolnili wokalistę i przystąpili do formułowania raportu z zakłócenia porządku publicznego. Czy zespół zostanie ukarany – raczej wątpliwe. Pewne jest natomiast, że to dobra reklama dla muzyków. A i samej muzyce Perfectu przyda się ożywcza dawka adrenaliny.

KANU CLUB

HOTEL
DOMY BUNGALOW
Nowy Zyzdrój

imprezy biznesowe
incentive
pobyty weekendowe

Twoje miejsce na Mazurach

www.kanuclub.pl
tel. /0-89/ 742 00 14

ZDANIEM ARNOLDA

SPRAWIMY, ŻE KAŻDY W KALIFORNII BĘDZIE MIEĆ WSPANIAŁĄ PRACĘ – ZAPOWIADA GUBERNATOR SCHWARZENEGGER

Fot. KENNETH JAMES/CORBIS/FREE

Gubernator z żoną Marią Shriver (stoi za kciukiem)

Arnold Schwarzenegger, nowy gubernator Kalifornii, piątej potęgi gospodarczej świata, rozpoczyna wkrótce urzędowanie. Jakie podejmie decyzje, co sądzi o najważniejszych problemach Kalifornii? Oto co mówił podczas kampanii wyborczej.

O podatkach narzucanych przez poprzednią ekipę rządzącą: – Ta niekończąca się litania planów podatkowych przypominała mi roboty z „Terminatora", do których strzelałem bez końca, a one i tak cały czas się podnosiły.

O budżecie: – Nie wierzę w wydawanie. Pierwsza rzecz, jaką zrobię, to odgórne zakręcenie kurka politykom, bo oni sami nie mogą sobie pomóc. Są nałogowcami, powinni udać się do placówek dla nałogowców, to niedorzeczne, że wydają pieniądze, których tak naprawdę nie mają.

O ślubach gejów: – Małżeństwo gejów to coś, co powinno wydarzyć się między mężczyzną a kobietą.

(TBK, według „The Guardian")

Zainwestuj w oszczędzanie

Centrum Oszczędzania umożliwia Ci łączenie tradycyjnych lokat bankowych oraz nowoczesnych form oszczędzania, jakimi są fundusze inwestycyjne. Dzięki temu **TWOJE ZYSKI** mogą być **WIELOKROTNIE WIĘKSZE.**

Centrum Oszczędzania to:
• agregacja najlepszych lokat bankowych i oferty 44 funduszy inwestycyjnych
• dwucyfrowa dochodowość oszczędności **24,73%***
• nowoczesne narzędzia finansowe i wiedza ekspertów, dzięki którym łatwiej podejmować właściwe decyzje
• dostępność przez całą dobę przez Internet (**www.multibank.pl**), telefon (**o 801 300 000**) lub bezpośrednio, w placówkach MultiBanku

Oszczędzaj z MultiBankiem		Jak skutecznie oszczędzać?				Notowania i wskaźniki	
Lokaty	Fundusze	Krok po kroku	Określ swój profil	Techniki oszczędzania	Centrum obliczeń	Oprocentowanie lokat	Notowania funduszy

MultiBank
przyjazny świat finansów

www.multibank.pl
MultiBank jest częścią BRE Banku SA

multilinia: o 801 300 000
Opłata jak za połączenie lokalne wg taryfy TP SA

* 24,73% to dochodowość portfela (20 tys. zł) o strukturze: 25% odnawialna 6-miesięczna lokata w MultiBanku o stałym oprocentowaniu i kapitalizacji na koniec okresu, 20% GTFI OS, 20% SKARBIEC NET, 35% SKARBIEC AKCJA, za okres sierpień 2002 – lipiec 2003 wyniosła 4945,87 zł. Informacja historyczna, nie stanowi gwarancji osiągnięcia podobnego zysku w przyszłości.

PRZEKRÓJ

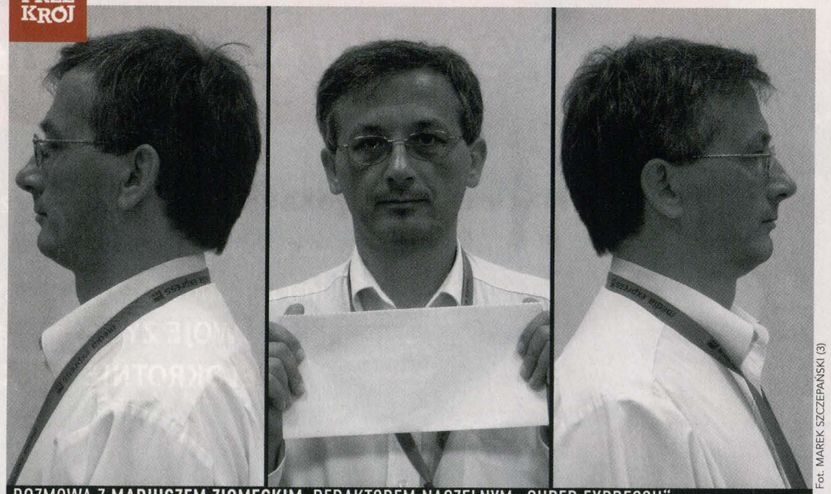

ROZMOWA Z MARIUSZEM ZIOMECKIM, REDAKTOREM NACZELNYM „SUPER EXPRESSU"

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI (3)

PEDOFILE POD SPECJALNĄ OCHRONĄ

PO OPUBLIKOWANIU W „SUPER EXPRESSIE" NAZWISK I ADRESÓW DWÓCH PEDOFILÓW Z WARSZAWSKIEGO ŻOLIBORZA PROKURATURA OSKARŻYŁA REDAKTORA NACZELNEGO DZIENNIKA O NIELEGALNE UJAWNIENIE DANYCH OSOBOWYCH

MICHAŁ WÓJCIK: Czy „Super Express" zdecydowałby się jeszcze raz opublikować dane i wizerunki pedofilów?

MARIUSZ ZIOMECKI: My jako prasa nie czujemy się ani prokuratorem, ani sądem. My tylko informujemy czytelników i odpowiednie służby o przestępstwie. I dopiero gdy te służby nie działają, zaczynamy zwiększać presję, wracamy do tematu i piszemy, co naszym zdaniem powinno być zrobione, a nie jest. Tak właśnie było w tym przypadku. Ze zgrozą dowiedziałem się, że bracia Jabłońscy bez specjalnych przeszkód od 20 lat maltretują dzieci, o czym doskonale wie prokuratura i policja. Zdumiewające było, że nikt nie stawał na głowie, aby złapać i skazać tych zboczeńców. A przecież sprawa wyszła na jaw już w kwietniu.

W naszym posiadaniu była szokująca kaseta z nagraniami o charakterze pedofilskim. Złożyliśmy doniesienie o przestępstwie. Mija tydzień, dwa, kolejne – i nic. Wróciliśmy do sprawy, ale znowu bezskutecznie. Dopiero wtedy w redakcji zapadła decyzja: nie możemy polegać na organach ścigania, sami ostrzeżemy rodziców przed zboczeńcami. Opublikowaliśmy dane osobowe przestępców, ich adresy i miejsca, gdzie działają. I nagle o sprawie przypomniała sobie policja.

Bo wcześniej to się działy komediowe sytuacje. Policjanci na przykład szli do mieszkania, gdzie kręcone były filmy, ale nikogo nie zatrzymywali, bo – jak tłumaczyli – nikogo nie było w domu. A w tym czasie faceci urzędowali kilkaset metrów obok, w swojej budce z książkami, i nikt ich nie niepokoił.

Publikując ich dane, powołaliście się na stan wyższej konieczności. Co to oznacza?

– Polega on na tym, że skoro przestępstwo jest popełniane w sposób ciągły – a z kaset wynika, że tak jest – to pytamy: przerwać to czy nie? Podobna sprawa była z biskupem Paetzem. „Gazeta Wyborcza" odstąpiła od publikacji afery. Sprawę ujawniła „Rzeczpospolita". W „Pressie" zapytałem: jak „Gazeta" mogła coś takiego zrobić molestowanym klerykom? Gdzieś na dnie podobnych afer jest przecież ofiara. Działanie w jej obronie, kiedy odpowiedzialne służby nie reagują, jest dla nas wyższą koniecznością.

Macie stuprocentową pewność, że bracia Jabłońscy to pedofile?

– Sto procent. Ale podam inny przykład, który sprawia, że wszystko się we mnie gotuje. Policja wygarnęła Jabłońskim z mieszkania kilkaset filmów nagranych na kasetach wideo. Śledztwo jednak umorzono. Na jednej z kaset widać było jednego z braci i doskonale słychać głos drugiego. Umorzenie śledztwa uzasadniono tym, że jeden z podejrzanych nie zgodził się udostępnić próbki głosu do ekspertyzy. Żenada. I to trwa do tej pory.

Mnie policja ma prawo nagrać głos, zdjąć mi odciski palców, sfotografować mnie, mają prawo pobrać ślinę. A w wypadku pedofilów? Policja rżnie głupa, że nie jest w stanie nagrać głosu jednego z braci. Jeden z pedofilów nie jest jeszcze postawiony w stan oskarżenia, a ja już jestem. Jemu nie zdjęli odcisków palców, a mnie już tak. Albo my żyjemy w Indochinach, albo coś niepokojącego i tajemniczego się tu dzieje.

Jak się odbyło pana przesłuchanie?

– Policjanci byli zakłopotani. Podkreślali, że wykonują polecenia prokuratury. Złożyłem zatem wyjaśnienia, ale potem zaczęli mnie pytać o zarobki, wysokość premii kwartalnej i rocznej, poza tym kim jest moja żona i ile zarabia. Ja się pytam, co z tą sprawą mają wspólnego moje zarobki? Mówię, że nie odpowiem na to pytanie. Oni na to, że to informacje tajne i nigdzie nie wypłyną. Wybuchnąłem śmiechem, bo tylko u mnie w redakcji jest kilku dziennikarzy, którzy do protokołów policyjnych potrafią dotrzeć w 15 minut. Poza tym, po co im moje odciski? Natura mojego rzekomego przestępstwa nie polega na tym, aby udowodnić mi jakąś kradzież. Przecież dziecko by się domyśliło, że to zwykła szykana.

Po publikacji w tygodniku „Wprost", a również po waszej, nie ruszyła lawina spraw przeciwko pedofilom. Dlaczego?

– Nie wiem. Na przykład sprawa pedofilów z Dworca Centralnego – mimo początkowego tryumfu policji – najwyraźniej zmierza donikąd. Dlaczego? To jest pytanie absolutnie na czasie i trzeba na nie znaleźć odpowiedź.

ROZMAWIAŁ MICHAŁ WÓJCIK

Płytę z „LA STRAVAGANZA" VIVALDIEGO nagraną przez polską orkiestrę Arte dei Suonatori i skrzypaczkę Rachel Podger redakcja pisma „Grammophone" uznała za najlepszy album roku w kategorii „instrumentalna muzyka barokowa"

ZMARLI

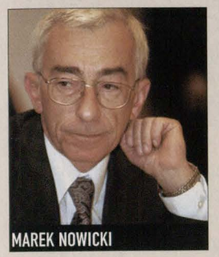

MAREK NOWICKI

Marek Nowicki, 56, twórca i prezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, największej w Europie i najprężniejszej organizacji pozarządowej tego typu. Studiował fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1980–1981 działał w Solidarności w Regionie Mazowsze i razem ze znajomymi założył Komitet Helsiński, który sporządzał i wysyłał na Zachód raporty o łamaniu praw człowieka w naszym kraju. W stanie wojennym internowany w Białołęce. – Fundacja była pasją jego życia – mówią współpracownicy. Jego drugą pasją była wspinaczka, zdobywał szczyty w Alpach i górach Azji, jednak najbardziej lubił polskie Tatry.

JOAN B. KROC

Joan B. Kroc, 75, właścicielka największego indywidualnego pakietu akcji McDonald's Corporation, filantropka. Córka kolejowego telegrafisty majątek szacowany na 1,2 miliarda dolarów odziedziczyła po drugim mężu, który był założycielem najsłynniejszej na świecie sieci fast foodów. Wspierała uniwersytety, szkoły, ośrodki leczenia AIDS i raka, w ostatnich latach działała na rzecz pokoju i ograniczenia zbrojeń jądrowych. Była przeciwniczką wojny z Irakiem. W 1997 roku przekazała 15 milionów dolarów ofiarom powodzi w Dakocie Północnej, a rok później 87 milionów na budowę w tym samym rejonie ośrodka dla młodzieży z trzema basenami, boiskiem, salą gimnastyczną i teatralną.

ISRAEL ASPER

Israel Asper, 71, twórca kanadyjskiego imperium medialnego CanWest Global, w skład którego wchodzą stacje telewizyjne i 11 dzienników ukazujących się w głównych miastach. Biznesmen, filantrop, nałogowy palacz, wygadany złośliwiec, obrońca sprawy Izraela, wielbiciel jazzu, potomek imigrantów z Ukrainy. Skończył prawo na uniwersytecie w Winnipeg, stolicy kanadyjskiej prowincji Manitoba. Zaczątkiem jego imperium stała się niewielka stacja telewizyjna, którą kupił w 1975 roku w Dakocie Północnej i stopniowo przeniósł do Winnipeg. – Nieczęsto spotyka się biznesmena, który jest także intelektualistą – powiedział o Asperze jego przyjaciel.

RENATO RININO

Renato Rinino, 41, „książę złodziei". Zasłynął jednym z największych rabunków w historii. W 1994 roku okradł z biżuterii, kosztownych zegarków oraz wielu innych cennych rzeczy pałac St. James należący do księcia Karola. Kogo okradł, dowiedział się dopiero na drugi dzień z gazet. W tym samym roku Rinina aresztowano za inną kradzież. Czekał trzy lata, do czasu aż sprawa się przedawni, po czym otwarcie przyznał się do okradzenia pałacu księcia Karola. Po wyjściu na wolność otworzył pizzerię i – jak twierdził – przestał się zajmować złodziejstwem. Został zastrzelony we własnym mieszkaniu.

Fot. AP (3), JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Fot. MICHELE RICCI/LAPRESSE/EAST NEWS

Miliony czekają na jego słowa. On po prostu nazywa dobro i zło po imieniu

NOBEL TO ZA MAŁO

JAN PAWEŁ II NIE DOSTAŁ POKOJOWEJ NAGRODY NOBLA PRZYZNAWANEJ ZA DZIAŁANIE NA RZECZ WOLNOŚCI. NIC DZIWNEGO. PAPIEŻ OD 25 LAT IDZIE DALEJ: PYTA, CO Z TĄ WOLNOŚCIĄ UCZYNIMY

Chciałbym wierzyć, że członkowie Komitetu [Noblowskiego] rozumieją jedną podstawową sprawę: że nie mogą nagrodzić Jana Pawła II. On jest zbyt wielki na tę nagrodę" – tak komentator „New York Timesa", gazety nigdy niepodejrzewanej o sympatie do katolicyzmu i Papieża, skomentował wiadomość, że Jan Paweł II nie otrzymał pokojowej Nagrody Nobla.

Rzeczywiście, trudno byłoby nagradzać człowieka, który zmienił świat. Na pytanie, w jaki sposób, dziennikarze, politycy, tak zwani obserwatorzy i eksperci zwyczajowo wymieniają to, co pierwsze przychodzi do głowy – pomógł w obaleniu komunizmu. Modne jest krzywienie się na wspomnienie o papieskich poglądach na aborcję, celibat i homoseksualistów w Kościele. Modne jest też przywoływanie tegorocznego papieskiego sprzeciwu wobec wojny w Iraku, ale mało kto stara się zrozumieć, że ten sprzeciw był w istocie ostrzeżeniem przed konfliktem między światem chrześcijaństwa a światem islamu.

Bardziej wykształceni przypominają jednak, że Polak jako pierwszy z papieży odwiedził synagogę (w 1986 roku) i że za jego pontyfikatu w roku 1993 Watykan uznał Izrael, rozpoczynając katolicko-żydowski dialog. A już najgłębiej wtajemniczeni dorzucą do tego poprawę stosunków z prawosławnymi (poza nieugiętym patriarchatem moskiewskim, który nie chce rozmawiać z Papieżem i odmawia wpuszczenia go do Rosji), muzułmanami i przynajmniej częścią Kościołów protestanckich. Watykan odwiedzali przedstawiciele wszystkich religii świata, nawet szamani z Jakucji. A teraz Komitet w Oslo miał problem: bo jeśli nagradzać Papieża za dialog z muzułmanami, to trzeba by jednocześnie nagrodzić jakiegoś muzułmanina za dialog z chrześcijaństwem lub choćby katolikami. A takiego muzułmanina nie znaleziono.

„Papież zaczyna się tam, gdzie przestają myśleć autorzy oświadczenia Komitetu Noblowskiego" – celnie zauważył „New York Times". Pokojowe nagrody dostaje się w Oslo za „działanie na rzecz wolności", a Papież pyta, co z tą wolnością uczynimy. Mimo wszystkich zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich 25 lat, miliony na całym świecie wciąż czekają na jego słowa – choćby po to, by się z nimi nie zgodzić. Ale nikt inny nie mówi w taki sposób, nikt też nie mówi tak poważnie o sprawach tak poważnych. On po prostu „nazywa dobro i zło po imieniu".

Aż dziw bierze, że watykańska biurokracja – inicjator zgłoszenia Jana Pawła II do Nagrody Nobla w iście komunistycznym stylu, czyli na jubileusz – mogła wpaść na pomysł, że Papież za to wszystko w ogóle powinien dostać jakąś nagrodę.

(AŁ)

STATUETKĘ WIELKIEGO FEFE, nagrodę festiwalu filmowego Felliniada, otrzyma w tym roku reżyser Lech Majewski. IX edycja festiwalu odbywa się od 28 do 31 października w Warszawie

a właściwie to...

PAWEŁ ŚPIEWAK

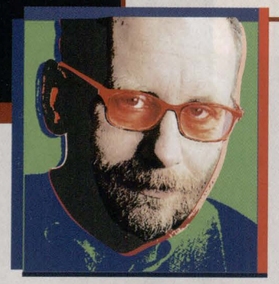

Fot. MACIEJ ZIENKIEWICZ/AG

Opuszczony naród

Polskę spotykają same rozczarowania. Najpierw wrogie siły popsuły traktat z Nicei i zamiast mocarstwem znów jesteśmy średniej wielkości państwem. Papieżowi nie dali Nagrody Nobla, mimo że bukmacherzy stawiali na niego 2:1. I do tego eurokraci chcą zabrać nam dużą kasę. Zamiast na pomoc dla biednych, chcą ją wydać – jak głoszą nagłówki gazet – na dofinansowanie „starej" Europy, a już petitem dodają, że na rozwój nowoczesnych technologii. Dowiadujemy się, że wszystkie sąsiadujące z nami kraje wchodzące do Unii intensywnie przygotowują się do przyjęcia euro, obniżają podatki i mogą poszczycić się większym od naszego stopniem tolerancji i otwartości. Mało tego, ostatnio opublikowany raport Transparency International umieścił nas na czołowym miejscu, ale w poziomie korupcji, i zdołaliśmy już w tym wyścigu przegonić Białoruś i Bułgarię. W korupcji podobni jesteśmy do Rumunii i zapewne dlatego prezydenci obu krajów mogą teraz jak równy z równym wymieniać się złocistymi orderami. Zły tydzień, same nieprzyjemne wiadomości. Możemy czuć się rozczarowani, oburzeni i obrażeni. Politycy krzywią się na Unię, a biskup Pieronek wraz z byłym prezydentem wyrazili swoje rozsierdzenie decyzją norweskiego parlamentu. Nie mamy powodów do narodowej dumy. Pogubiliśmy się w marszu do Europy. Mamy się za naród opuszczony i osierocony przez polityków, państwo, wielkie międzynarodowe siły, Unię Europejską i Komitet Noblowski. Kiedyś w bibliotece w Princeton czytałem amerykańskie wydanie historii Polski napisanej przez profesora Wandycza. Ktoś przede mną pracowicie podkreślał ważne linijki. W pewnym momencie, gdy ilość nieszczęść przekroczyła już wytrzymałość czytelnika, zakończył swoją lekturę dopiskiem: „Dobrze im tak, nieszczęśnikom". Było w tym współczucie, ale i protestanckie z ducha lekceważenie dla ludzi nieporadnych, słabych, przegranych. Widać w jego opinii Polacy zasłużyli sobie na swoje klęski, bo brakło im zaradności, rozsądku, bo sukces wszak znajduje u luterańskiego Boga ziemskie gratyfikacje. My, jak pokazują to badania socjologiczne, inaczej niż nieznany amerykański czytelnik, bardziej wierzymy w sukces wieczny niż doczesny. Bo polska religijność zmienia się powoli, a sygnałem zmiany jest nasilenie wiary w piekło, diabły, ale już nie w zmartwychwstanie czy anioły. Pozostaje nam pytać: gdzie jest piekło i z której strony jest zamknięte? Od wewnątrz czy od zewnątrz? Teologicznie kwestia wyjątkowo ważna. Nie zaskoczą mnie kolejne złe wiadomości. Nie wiem, czego dokopią się polscy archeologowie w mundurach w piaskach Iraku. Nie jestem pewien, czy już nie przekroczyliśmy krytycznego progu długu publicznego. Wniosek z tego płynie zapewne jeden – skończyły się żarty. Nie ma miejsca nawet na anielską cierpliwość szatana. Nie warto już bawić się i komentować spotkania Pinokia z panią Jakubowską. Nie sposób zachwycać się żelazną logiką posła Rokity i przejmować środkowymi stronicami „Rzeczpospolitej" złożonymi z informacji o agenturze w Solidarności, MSZ, korupcji w stolicy i w terenie. Nie dlatego, bym ją lekceważył lub uważał za temat zastępczy. Wprost przeciwnie. Ale jest taki moment, gdy nawet zwykłe kłamstwa polityków, wymagające tylko potępienia, przestają być istotne. Bo kłamstwa niszczą fantazję. Naród opuszczony zapewne ma przekonanie o swojej niewinności. Czuje się skrzywdzony, ale niewinny. Czuje się bezradny, ale nie stać go na odpowiedzialność. Dlatego winimy innych za swoje nieszczęścia: Europę za to, że chce przekazać fundusze na rozwój nauki i technologii, zapominając, że leży to w interesie nie tylko Unii, lecz także nas samych, jeśli w naukę sami zainwestujemy. Będziemy się oburzać Noblem dla irańskiej rzeczniczki praw kobiet, gdy nie potrafimy zobaczyć, że na świecie nie wszyscy muszą być katolikami dumnymi z naszego Papieża. Nonsensy i bełkot nie będą miały kresu, gdy utoną w chóralnym śpiewie. ■

WILHELM SASNAL

Władysław Zawistowski

Dziwna natura pamięci

Dziwna natura pamięci podpowiada mi taki obraz: czerwiec 1971 roku, nocny przyspieszony pociąg z Poznania do Gdańska. Budzę się na małej stacyjce, gdzieś między Kujawami a Pomorzem, z policzkiem przyklejonym do parującej szyby. Siedzimy ściśnięci w drugiej klasie. Piotr śpi oparty o moje ramię, Aram wtulił się w nogi Piotra. Wracamy z meczu trzeciej ligi między Lechem Poznań a Lechią Gdańsk. Korytarz pełen jest kibiców. Zmęczonych, brudnych chłopaków, którzy śpiewali i krzyczeli przez cały dzień, pili wino i palili sporty, a teraz śpią pokotem na podłodze. Za wieżą ciśnień niespiesznie wstaje świt. W kłębach pary przejeżdża lokomotywa. Wzlatują pierwsze jaskółki, gdzieś daleko szczeka pies. Przegraliśmy mecz, mam wywichnięte ramię, mam siedemnaście lat, tęsknię do dziewczyn, piszę wiersze. Jestem szczęśliwy.

W zniewolonym kraju, w śmierdzącym pociągu, na peryferiach północnej Europy, po przegranym trzecioligowym meczu, z obolałym ramieniem. O dziwna naturo pamięci, przywracaj światu jego właściwe proporcje.

listopad 2000

Dla „Przekroju" ANDRZEJ DUDZIŃSKI

ILUSTROWAŁ MARCIN MACIEJOWSKI

Minister infrastruktury Marek Pol nie jest człowiekiem sukcesu, chociaż on sam nadal w to wierzy. Marzenia tak silnie zdominowały jego osobowość, że właściwie powinien nazywać się Marco Polo

Panie wicepremierze, czy to prawda, co czytam, że jest pan najbardziej niekompetentnym ministrem tego rządu?

– Nie podzielam tego poglądu.

A co pan czuje, czytając takie tytuły?

– Jeśli do oceny prasowej dołączone są elementy z gruntu nieuczciwe, to po prostu jestem wściekły. Niestety, takie jest polskie piekiełko – jeśli chcesz coś zrobić, to musisz liczyć się z tym, że będą cię powszechnie krytykowali. Historycznie patrząc, wielu polskich działaczy gospodarczych przeżyło podobne gehenny.

Czyli pan uważa, że jest kolejną historyczną ofiarą nagonki prasowej?

– W dużym stopniu tak.

Jednak patrząc realnie, żaden z pańskich wielkich pomysłów nie doczekał się realizacji i każdy był dosyć powszechnie krytykowany. Wszyscy się mylili, tylko pan miał rację?

– W sprawie winiet, czyli zbierania pieniędzy na budowę dróg, jestem absolutnie przekonany, że miałem rację. Bardzo wielu tych, którzy publicznie krytykowali ten pomysł, dziś twierdzi, że był on dobry. Polityka ma to do siebie, że wiele słusznych rzeczy pada pod ciężarem politycznych układów. Sam pan wie, że negocjacje, które toczyły się przy głosowaniu nad ustawą winietową, nie miały nic wspólnego z winietami. Raczej były negocjacjami pomiędzy dwoma partnerami koalicyjnymi SLD i PSL.

Skuteczność w realizacji pomysłów to też element kompetencji polityka.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem swojej pracy. Oczywiście projekt upadł. Dziś ocenia się, że Markowi Polowi nie udały się winiety, ale – mówiąc szczerze – nie udały się rządowi i koalicji. Natomiast ja nie powiedziałem wcale, że rezygnuję z walki o pieniądze na drogi. Robię to dla kraju, nie dla siebie.

A teraz jaki jest pański nowy pomysł dla kraju?

– On jest od początku taki sam – trzeba na inwestycje drogowe brać jak najwięcej z Unii Europejskiej. Natomiast po to, aby mieć te pieniądze z Unii Europejskiej, trzeba jedną czwartą zebrać samemu.

Skąd chce pan wziąć tę jedną czwartą?

– Odpowiednia ustawa jest już w Sejmie, będzie głosowana w tym tygodniu. To jest propozycja tak zwanej opłaty paliwowej, która obciąży cenę litra kilkoma groszami.

Iloma groszami?

– To będzie niecałe 10 groszy.

Czyli około trzech procent dzisiejszej ceny. Spora podwyżka.

– Te 10 groszy nie musi w całości przenieść się na cenę, bo producent, importer będzie mógł część tego zapłacić z własnej marży.

Pomniejszając swój zysk? Zejdźmy na ziemię. Ile ma przynieść ten nowy podatek?

– Około miliarda złotych. Mając własny miliard, możemy dostać trzy z Unii Europejskiej. Czyli praktycznie oznacza to, że możemy mieć rocznie cztery miliardy złotych dodatkowo na drogi. Ale wracając na chwilę do pańskiego pierwszego pytania, bo ono mnie męczy – otóż do pewnego momentu uchodziłem za wybitnego fachowca.

Do którego momentu?

– Aż zostałem szefem partii politycznej.

Ale wcześniej nie był pan jej wierny, bo kiedy pańska partia odeszła z rządu, to pan w nim pozostał, zawieszając członkostwo. Zdradził pan partię.

– Nie, nieprawda, moje pozostanie w rządzie dla zrobienia reformy centrum gospodarczego zostało uzgodnione pomiędzy premierem a szefem partii Ryszardem Bugajem.

Więc co się nagle pańskim zdaniem stało, że przestał być pan kompetentny?

– Przestałem, bo stałem się liderem partii politycznej, włączyłem się w walkę polityczną. W walce politycznej używa się wszystkich metod, a Unia Pracy – a więc i ja – jest jednym z filarów tej koalicji.

Wróćmy do tych „kilku groszy". Załóżmy, że przepchnie pan tę ustawę w Sejmie, Unia pomoże i będzie pan miał cztery miliardy złotych. Na co to starczy?

– Efekty byłyby szybko widoczne. Te pieniądze pozwoliłyby budowę dróg i autostrad doprowadzić do tego, że będziemy kończyli swoją kadencję, mając w budowie 500 kilometrów autostrad, a następcy będą mogli oddawać powyżej 200 kilometrów rocznie. Ponadto wykonane będzie ponad 400 kilometrów nowych bądź głęboko zmodernizowanych autostrad, plus około 40 miast będzie miało obwodnice.

Jakim cudem ma się to nam udać, skoro nie potrafiliśmy tego robić do tej pory. Przypominam panu, panie wicepremierze, że obejmując ten urząd, też pan mówił o 500 kilometrach autostrad, mamy półmetek w tej koalicji i nie ma ani kilometra z tych 500.

– Nieprawda.

Więc zalecam ostrożność w deklaracjach.

– Powtarzam – nieprawda.

Przystosowanie drogi między Koninem a Wrześnią do roli autostrady nie jest wielkim sukcesem.

– Nie jest wielkim sukcesem, ale jest elementem tych 500 kilometrów, o których mówiłem. Zaplanowaliśmy 550 kilometrów, w tym 130 kilometrów autostrad po głębokiej przebudowie. Za chwilę ktoś mi powie, że te najdłuższe schody nowoczesnej Europy, które biegną z Wrocławia w kierunku Legnicy, to też już była autostrada. Ta droga jest dzisiaj rozbijana i budowana od nowa. Niedługo, gdy otworzymy odcinek z Poznania do Wrześni, okaże się, że zostanie oddanych od początku kadencji 128 kilometrów autostrad. To jest do wyliczenia.

To...

– Za chwilę pan wjedzie w Poznaniu na autostradę i zjedzie pan z tej autostrady w Koninie. We wrześniu, październiku przyszłego roku wjedzie pan w Nowym Tomyślu na autostradę, 50 kilometrów na zachód od Poznania, i zjedzie pan w Koninie...

Czy pan jest impregnowany na krytykę?

– Nie, ja po prostu staram się stąpać realnie. Co mam powiedzieć, że tych dróg nie ma?

Tak, nie ma i prędko nie będzie. A nie wypinać pierś do orderów!

– Ale dlaczego mam tak powiedzieć? Z końcem tego roku ma być połączenie Poznań – Konin w całości autostradowe i będzie – 27 listopada. Zapraszam na otwarcie. Z końcem przyszłego roku ma być od Nowego Tomyśla do Konina skończony odcinek całości, a więc 150 kilometrów w pełni zbudowanej autostrady – będzie. W tym roku oddajemy kolejne odcinki na autostradzie A4, praktycznie niewiele tylko zostanie do połączenia Wrocławia z Krakowem jednym ciągiem autostradowym. W stronę zachodnią też w dużym tempie buduje się autostradę. Tylko problem polega na tym, że większość Polaków mało jeździ. I stosunkowo łatwo im powiedzieć, że nic się nie dzieje, bo wszyscy budują swój pogląd w oparciu o media.

Ale panie wicepremierze, wie pan, że polityk, który obwinia media, jest śmieszny.

– Ja nie jestem śmieszny, choć może rzeczywiście nie pociągać lwa za ogon. Krytykowanie dziennikarzy może się skończyć nieszczęściem. Zdaję sobie z tego sprawę.

POL DO BICIA

MAREK POL URODZIŁ SIĘ W 1953 ROKU W SŁUPSKU. PODCZAS STUDIÓW NA POLITECHNICE POZNAŃSKIEJ WSTĄPIŁ DO PZPR, W KTÓREJ POZOSTAŁ DO SAMOROZWIĄZANIA PARTII W 1990 ROKU. SKOŃCZYŁ TEŻ AKADEMIĘ EKONOMICZNĄ W POZNANIU. W ROKU 1992 ZAKŁADAŁ UNIĘ PRACY, OD PIĘCIU LAT JEST JEJ PRZEWODNICZĄCYM. W RZĄDZIE WALDEMARA PAWLAKA BYŁ MINISTREM PRZEMYSŁU I HANDLU, W GABINETACH OLEKSEGO I CIMOSZEWICZA PEŁNOMOCNIKIEM DO SPRAW REFORMY CENTRUM GOSPODARCZEGO RZĄDU. W 2001 ROKU PREMIER MILLER POWOŁAŁ GO NA STANOWISKO WICEPREMIERA I MINISTRA INFRASTRUKTURY. POD JEGO PIECZĄ ZNALAZŁY SIĘ DROGI, PORTY MORSKIE I LOTNICZE ORAZ BUDOWNICTWO. PRZYGOTOWANA PRZEZ RESORT MINISTRA POLA STRATEGIA ROZWOJU INFRASTRUKTURY, DZIĘKI KTÓREJ POLSKA MIAŁA UZYSKAĆ NAWET 5,5 MILIARDA ZŁOTYCH POMOCY NA BUDOWĘ DRÓG Z UNII EUROPEJSKIEJ, ZOSTAŁA WYŚMIANA PRZEZ UNIJNYCH URZĘDNIKÓW. Z ZAPLANOWANYCH DO 2005 ROKU 550 KILOMETRÓW AUTOSTRAD ZBUDOWANO ZALEDWIE DWA KRÓTKIE ODCINKI. MAREK POL BYŁ TEŻ TWÓRCĄ POWSZECHNIE KRYTYKOWANEJ TAK ZWANEJ USTAWY WINIETOWEJ, DZIĘKI KTÓREJ ZYSKAŁ PRZYDOMEK „WINIETU". WYMYŚLONE PRZEZ NIEGO TANIE KREDYTY MIESZKANIOWE OKAZAŁY SIĘ DROŻSZE OD KOMERCYJNYCH I SKORZYSTAŁO Z NICH ZALEDWIE KILKADZIESIĄT OSÓB.

Ja bym użył innej metafory. Niecałe dwa lata temu sam pan zdjął spodnie i wystawił pupę do bicia, obiecując rzeczy niemożliwe, bo miał pan pewnie wewnętrzną potrzebę zabłyśnięcia. Naobiecywał pan autostrady, boom w budownictwie oparty na tanich kredytach mieszkaniowych. Sam pan te spodnie zdjął, to niech pan się teraz nie dziwi, że pana leją!

– Zgadzam się absolutnie. Z pełną świadomością ryzyka, jakie podejmuję, ogłosiłem, co zamierzamy zrobić, w wymiernych i konkretnych liczbach, rzadko to się politykom zdarza.

Może pan cierpi na manię wielkości?

– Nie cierpię na manię wielkości.

Ale wie pan, że nawet konkretne deklaracje rzeczywistości nie zmieniają?

– Chwileczkę, ja to mówiłem na podstawie programu, który przyjął rząd i parlament. Wtedy wszedłem na trybunę i powiedziałem dokładnie, co chcemy zrobić. Kosztuje mnie to bardzo wiele, a przecież jako współlider koalicji mogłem spokojnie, w ciepełku, spędzić cztery lata na tym fotelu.

No, na razie jest pan na nim, w ciepełku. Nie dramatyzujmy.

– Tylko niech pan otworzy gazety codzienne. Przecież jak już nie ma o czym pisać, to trzeba walnąć w Pola, trzeba wymyślić na przykład, że Pol wprowadza opłatę za przejazd przez mosty.

A nie wprowadza?

– Oczywiście, że nie. To rozwiązanie jest w polskim prawie od trzech lat jako możliwość wprowadzenia takich opłat i ja niczego nowego tu nie wprowadzam.

Może chce pan to urealnić, wprowadzić w życie?

– „Idzie" przez Sejm rozwiązanie wyłącznie po to, aby ustawa była zgodna z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego. Nadal jest to rozwiązanie dobrowolne, nadal dotyczy mostów powyżej 400 metrów, a takich jest w Polsce sześć, i nadal praktycznie nikt nie zamierza wprowadzać opłat. Ale taka możliwość w prawie musi istnieć, bo jeśli samorząd postanowi zbudować sobie taki most, a nie ma na to pieniędzy, to może zapytać mieszkańców w referendum, czy się zgodzą na to, żeby ten most był płatny. W przeciwnym wypadku w ogóle go nie będzie.

Krótko mówiąc, jak pan to ładnie powiedział, ściągnąłem spodnie, wiedząc, że mnie będą bili, ale zrobiłem to z ważnych powodów. Po to, żeby przełamać pewien marazm. Brak pieniędzy paraliżował przecież wszystkich moich poprzedników na tym stanowisku. To mnie kosztuje bardzo wiele. Dziś jest nawet w dobrym tonie mnie atakować. Przylać Polowi dzisiaj żadna sztuka, bo przecież wiadomo, że z każdej strony można, a to ze strony Polskich Kolei Państwowych...

A to tanich kredytów mieszkaniowych, które miały być przebojem...

– Kredyty mieszkaniowe można oczywiście skrytykować, bo kto pamięta, że kiedy wprowadzaliśmy to rozwiązanie, średnio kredyt na tak zwanym rynku kosztował 16 procent. I jakimś dziwnym trafem, dziwnym przypadkiem kredyty mieszkaniowe staniały najbardziej ze wszystkich, bo do 6 procent.

Czyli jednak ma pan sukces?

– Nie, Polska odniosła sukces, bo ceny kredytów mieszkaniowych spadły w Polsce bardzo gwałtownie.

I to pan spowodował?

– Tego, że inflacja w Polsce w 2003 roku będzie wynosiła 0,8 procent, nie przewidywał nikt. Zaproponowaliśmy rozwiązanie, które pozwalało wziąć dużo tańszy niż wtedy na rynku kredyt. A zaraz potem inflacja poleciała w sposób szalony w dół. I komercyjny kredyt mieszkaniowy też staniał, może trochę bardziej niż inne kredyty. Ja się wcale tym nie martwię.

W stronę zachodnią też w dużym tempie buduje się autostradę. Tylko większość Polaków mało jeździ. I łatwo im powiedzieć, że nic się nie dzieje, bo budują swój pogląd w oparciu o media

Oczywiście jest pan na tyle doświadczonym ekonomistą i urzędnikiem, że właściwie każdy pomysł, który nie wypali, jest pan w stanie usprawiedliwić mnóstwem słów, ale my tylko widzimy, że kolejny pomysł Pola nie wypalił.

– Oczywiście każdy może tak to oceniać. Ja tylko zwracam uwagę na fakty. A fakty są dokładnie takie...

Obiektywne i usprawiedliwiające.

– Nie usprawiedliwiające. Fakty są obiektywne.

Niech pan się nie ustawia w roli ofiary. To byłoby śmieszne w pana wieku.

– Nie jestem ofiarą. Ale czy miałbym się cieszyć, jeśli inflacja byłaby dalej 16-procentowa i nasz kredyt przyciągałby tysiące klientów tylko z tego powodu, że jest zwariowana inflacja? Czy też lepsza jest sytuacja, kiedy ceny kredytów spadły. Wolę to drugie.

Publicyści dość powszechnie naśmiewają się z pana i jednocześnie nawołują do dymisji, twierdząc przy tym, że premier może by i chciał, ale jest pan przywódcą partii koalicyjnej, więc to raczej będzie niemożliwe do końca tej kadencji. Taka fala krytyki nie wywołuje w panu myśli: trzeba to wszystko rzucić, podać się do dymisji, dać sobie spokój.

– Zwracam uwagę, że sam premier jest nawoływany do dymisji średnio dwa razy dziennie. Pomału nie ma ministra, który nie przeżyłby próby odwołania i którego by nie odsądzono od czci i wiary. Czy to znaczy, że ja jestem zadowolony z wszystkiego, co robię? Nie, oczywiście nie. Ja, mój resort mamy słabości i część rzeczy nam nie wychodzi.

Dziennikarze w swoich sympatiach i antypatiach jednak kierują się racjonalnymi przesłankami. Skoro pana nie lubią, to może uznali, że pan jest niekompetentny.

– Powiedziałem już, że do tej pory we wszystkim, co robiłem, byłem podobno kompetentny – te same gazety pisały o mnie: „jedyny fachowiec w rządzie Pawlaka", „jedyna udana reforma w rządach SLD-PSL", „jedyna udana prywatyzacja fabryki samochodów z udziałem Volkswagena w Poznaniu". Łaska dziennikarska na pstrym koniu jeździ.

Może wziął się pan za sprawy, które pana przerastają? Nie jest chyba tak, że pana kompetencje sięgają nieskończenie wysoko?

– Tego się nigdy nie da ocenić, zawsze tak się może zdarzać. Natomiast ja również wiem, że jeżeli czegoś nie udawało się załatwić przez lat 14 moim poprzednikom, to z całą pewnością nie jest to rzecz prosta. Mówię na przykład o finansowaniu inwestycji drogowych w Polsce. Od 14 lat...

Jak się ma świadomość, że się przez 14 lat coś się nie udawało, to się nie wychodzi przed dziennikarzy i się im nie mówi: „Mnie się uda, i to szybko". Mnie się nawet to pana marzycielstwo podoba, natomiast przestrzegałbym pana przed upublicznianiem tych marzeń.

– Ale ja nie jestem marzycielem.

Jak do tej pory jest pan.

– Skończyłem dwie uczelnie bardzo praktyczne, pochodzę z Poznania, gdzie ludzie naprawdę praktycznie żyją. Ja naprawdę doskonale wiem, co robię, mówiąc o tym, że w Polsce można budować powyżej 200 kilometrów autostrad rocznie.

Jest pan jednak niepoprawny.

– W Polsce do końca 2005 roku wybudujemy ponad 400 kilometrów autostrad, a na dobrą sprawę byłoby 500 kilometrów, gdyby nie spóźniał się odcinek od Gdańska do Grudziądza. Mam tylko nadzieję, co będzie dla mnie pewną rekompensatą, że ktoś kiedyś, jadąc w Polsce autostradą, pomyśli, że miałem rację – to się dało zbudować. Że ktoś kiedyś będzie pamiętał, że był taki jeden, który tak długo tłukł w mur, że wreszcie ruszyły pieniądze na drogi.

No, to uderzył pan w górne tony. Niech mi pan lepiej powie, jakie to jest uczucie być zastępcą człowieka, który tonie?

– Informacje o rychłej śmierci Leszka Millera należy od zawsze uznawać za mocno przesadzone.

„Bagno" jest jednak coraz większe i jednak tonie, a pan jest jednak jego zastępcą.

– Panie redaktorze, przejęliśmy schedę, jaką przejęliśmy...

Kiedy pan tak mówi, to mi się przypomina dowcip w PRL: W 1945 roku Polska stała na skraju przepaści i... zrobiła krok naprzód.

– Klasyków pan cytuje.

Bo mam wrażenie, że taki krok wykonała koalicja SLD-UP.

– Nie, przejęliśmy taką schedę, jaką przejęliśmy, a co do wzrostu gospodarczego, to chyba nikt nie ma wątpliwości, że stagnacja była potężna. My twierdzimy, że z powodów subiektywnych, inni, że z powodów obiektywnych. Przez rok nasz rząd szamotał się, żeby Polskę wyciągnąć z końcówki listy krajów, które kandydowały do Unii Europejskiej, na czoło. Ten, jak pan twierdzi, tonący rząd całkiem nieźle poradził sobie z bardzo wieloma sprawami, które były niezwykle trudne. Natomiast przyjmuje na siebie z całą pewnością całą masę razów od sfrustrowanej z zupełnie zrozumiałych powodów części społeczeństwa, która od wielu lat nie może się doczekać pracy, mniejszej biedy, która oczekiwała, że przyjdzie ekipa i dokona gwałtownej poprawy sytuacji. Ci wszyscy, nawet jeśli głosowali na nas, to w tej chwili czują się rozgoryczeni.

Krótko mówiąc, jak pan to ładnie powiedział, ściągnąłem spodnie, wiedząc, że będą mnie bili

Reprodukcje BOGDAN KRĘŻEL

I ci wszyscy sfrustrowani, niejednokrotnie – jak sam pan mówi – ze słusznych powodów, chcieliby, żebyście sobie już poszli.

– Myśmy zaciągnęli pewne zobowiązania i je realizujemy. Zaciągnęliśmy je na okres pełnej kadencji.

Więc musimy was wytrzymać?

– Nie „musimy". Prawo polskie przewiduje możliwość zmiany rządu. Rozumiem, że opozycja o niczym innym nie marzy, jak tylko o tym, żeby obecny rząd zamienić na siebie.

Zostawmy opozycję.

– Bijecie brawo opozycji. Zdaję sobie sprawę z tego, że bardzo wielu ludzi, którzy oczekiwali, że nastąpi przełom, nie doczekało się tego przełomu. Każdy człowiek patrzy przez pryzmat dnia dzisiejszego, nikt nie patrzy z punktu widzenia następnego roku. A co będzie, jak będzie wzrost pięcioprocentowy, co będzie, jeżeli tych pieniędzy na rynku zacznie przybywać...

Na razie rośnie bezrobocie.

– Tu akurat bym się sprzeczał.

Nie ma się co sprzeczać. Liczby nie pozostawiają wątpliwości.

– Bezrobocie jest bardzo wysokie, to nie ulega kwestii, nie spada, ale dalej nie rośnie.

A co by się musiało stać, żeby pan poszedł do Leszka Millera i powiedział: „Słuchaj, Leszek, musimy się zwijać". Jest jakaś taka sytuacja, w której uznałby pan, że wasza koalicja powinna odejść, żebyście oddali władzę?

– Gdybyśmy mieli popełnić jakiś karygodny błąd, ale nie sądzę, aby taka sytuacja nastąpiła.

Czyli tak naprawdę nie dopuszcza pan możliwości dobrowolnego oddania władzy.

– Mechanizmy zmiany władzy w Polsce...

Ja je też znam.

– Są jasne i jednoznaczne.

Ale pozostaje jeszcze takie wewnętrzne przekonanie co do własnej siły, kompetencji. Pytam o to, czy można nabrać na pańskim stanowisku wewnętrznego przekonania, że już się więcej dobrego nic nie zrobi i że trzeba odejść.

– Można nabrać wewnętrznego przekonania, że ci wszyscy, którzy przebierają nogami, żeby do tej władzy powrócić...

Czyli odwieczny, nudny argument, że lepszych nie ma...

– A kto jest tym, kto będzie rządził lepiej bez pieniędzy? Mechanizm oceny jest sformalizowany w demokratycznym państwie. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że ocena rządu jest wyrażana w badaniach opinii publicznej. To nie jest jedyny rząd, który ma kłopoty z sympatią opinii publicznej. Bardzo nad tym bolejemy, każdy z nas bardzo chciałby być lubiany, ale opinia publiczna wyraża się również w odpowiedziach na pytanie: Na kogo głosowałbyś, gdyby dziś rozpisano wybory? I okazuje się, że ta opinia publiczna w jednej czwartej, czyli w ilości, której żadna partia nie uzyskuje, nadal mówi, że głosowałaby za naszymi obiema partiami lewicowymi.

Czy potrafi pan sam z siebie się śmiać?

– Tak mi się zawsze wydawało.

A ostatnio robi pan to częściej?

– Nie zauważyłem.

A co pana w sobie śmieszy?

– Oj, Boże... To jedno z trudniejszych pytań, jakie mi pan zadał. Różne rzeczy, zależnie od sytuacji.

Wróćmy jeszcze do pańskiego szefa, premiera Leszka Millera. Czy pańskim zdaniem jego pozycja w rządzie jakoś się zmienia? Jeżeli pan nie może mówić szczerze, to niech pan w ogóle nie odpowiada.

– Odpowiadam, że nie. Oczywiście każdy z nas ma już inną pozycję, inne możliwości, inny bagaż doświadczeń niż wtedy, kiedy zaczynaliśmy. Powiedziałbym, że ci wszyscy, którzy uważają, że Miller utracił swą siłę w partii i rządzie, nie mają racji.

A on pana czymś rozczarował podczas waszej dwuletniej współpracy w rządzie?

– Zostawmy ten temat.

A za co pan go podziwia?

– Za odporność.

Pan ma, jak wynika z tej rozmowy, podobną.

– Realizuję pewne rzeczy, które uważam, że są słuszne, nawet jeżeli kosztuje mnie to straszną cenę.

Nawet w poduszkę pan nie ryczy?

– Nie ryczę.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 9 PAŹDZIERNIKA 2003 R.

Wywiad opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

ONI ZABIJĄ ARAFATA

Dni Jasira Arafata są policzone. Izraelskie jednostki specjalne ćwiczą już likwidację palestyńskiego przywódcy. Na rozkaz Ariela Szarona wykonały dotąd ponad setkę podobnych egzekucji

Fot. ABID KATIB/GETTY/EASTNEWS

Tym samochodem jechali działacze Hamasu. Izraelskie helikoptery zaatakowały, gdy wóz przeciskał się przez zatłoczoną ulicę Gazy. Rannych zostało 26 osób, zginął jeden pasażer.
Po lewej: Izraelscy komandosi otaczają dom sprawcy sierpniowego zamachu w Hajfie

TEKST I ZDJĘCIA UGO RANKL/PARIS MATCH/BE&W

Urodził się w kibucu na północy Izraela, dziś mieszka w Tel Awiwie. Ma 23 lata. Od czterech lat jest pilotem, porucznikiem w eskadrze śmigłowców bojowych izraelskiego lotnictwa. Lata na kobrach. Brał już udział w wielu „doraźnych" egzekucjach. Zabija ludzi, którzy wysyłają samobójców na ulice Jerozolimy i Tel Awiwu.

Nazwiska pilotów wypełniających tego rodzaju misje są w Izraelu tajemnicą państwową. Nikt nie wie, ilu ich jest ani gdzie mieszkają. Jeśli któryś zginie w akcji lub podczas ćwiczeń, nikt się nie dowie, że był pilotem bojowym. Młody oficer, który opowiada mi o swojej „robocie", nie może ujawnić żadnych szczegółów. Z jakiej broni strzelają? – To zależy od rodzaju akcji, ale zawsze używamy broni inteligentnej i bardzo precyzyjnej – odpowiada wymijająco.

Palestyńczycy z Gazy mówią, że helikoptery odpalają rakiety z bardzo wysoka i bardzo daleka. Atakującej kobry nie widać ani nie słychać. Nagle pośrodku ulicy eksploduje kula ognia. Czyjeś mieszkanie w ciągu sekundy zamienia się w dymiącą kupę gruzu. I koniec.

Gdy przychodzi rozkaz, pilot nie wie nic o człowieku, którego ma zabić. W nocy szykuje się do misji: wybiera i sprawdza uzbrojenie śmigłowca, kontroluje też drugą kobrę, która poleci z nim na misję. Potem czeka na sygnał od izraelskiego agenta w Strefie Gazy. To on wskaże dogodny moment do ataku i naprowadzi pilota na człowieka, który ma zginąć. Podczas lotu do Gazy pilot jest z nim w ciągłym kontakcie. Rakietę odpala dopiero wtedy, gdy ma całkowitą pewność, że osoba na celowniku to człowiek, którego Izrael postanowił zabić. Odtąd „cel" nie ma już praktycznie żadnej szansy przeżycia.

Zdarza się, że pilot w ostatniej chwili odmawia wykonania rozkazu. Ma niezbywalne prawo anulować misję, jeśli uzna, że straty cywilne byłyby zbyt poważne. Czy uważa się za zabójcę? – Ja ratuję życie innych. Życie Izraelczyków. Dziesiątki ludzkich istnień – odpowiada mój rozmówca.

SZARON SAM ZACZĄŁ

Na pomysł zabijania palestyńskich terrorystów wpadł sam Ariel Szaron. W 1967 roku obecny premier dowodził oddziałem komandosów, który podłożył bombę w domu Jordańczyka odpowiedzialnego za serię zamachów na izraelskich cywilów. Pięć lat później minister obrony Izraela Mosze Dajan powierzył mu misję rozbicia OWP w Gazie. W ciągu pół roku oddział Szarona wyłapał 742 bojówkarzy, a 104 zabił. W ten sam sposób Izraelczycy rozprawili się też ze sprawcami masakry izraelskich sportowców na olimpiadzie w Monachium. Dziś skrytobójstwo to główne narzędzie walki z palestyńskim terrorem.

Ostatnie miesięce przyniosły falę egzekucji w szeregach Hamasu i Islamskiego Dżihadu. Nowi szefowie bojówek giną zaraz po objęciu funkcji. 21 września w Hebronie od kul zginął komendant zbrojnego ramienia Hamasu Basel Kawasmi. Dwa tygodnie wcześniej zakonspirowany oddział izraelski działający na terenach palestyńskich wyeliminował lidera Hamasu w Hebronie Ahmeda Badera. Dwa miesiące wcześniej agenci Szin Bet zabili tam bojówkarza Hamasu Abdullaha Kawasmi. 18 marca tego roku izraelscy komandosi położyli kres krótkiej karierze dowódcy bojówki Hamasu w Hebronie Ali Alana, następcy aresztowanego wcześniej Abdela Natshego, który z kolei objął tę funkcję po zabitym Jailu Jadallahu.

Armia izraelska odmawia wydania listy zabitych dotąd terrorystów. Nie chce ujawniać swoich metod ani przyznawać się do zabójstw upozorowanych na wypadki. Ocenia się, że w ciągu ostatnich czterech lat Izraelczycy zlikwidowali około stu osób bezpośrednio odpowiedzialnych za akty terroru.

Od lewej: Komandosi oglądają zdjęcia człowieka, którego mają schwytać. W bazie „Johnny" trafia najpierw do lekarzy. Mają zaświadczyć, że pojmano go żywego. Terroryści czekają na przesłuchanie przez Szin Bet

Tylko w ostatnich tygodniach Izraelczycy zabili 14 bojówkarzy Hamasu. Ci, którzy żyją, wciąż uciekają przed rakietami, bombami i kulami snajperów

Po sierpniowym zamachu na autobus w Jerozolimie rząd Szarona postanowił uderzać częściej, z większą siłą i wyżej w hierarchii organizacji terrorystycznych. Pierwsza okazja nadarzyła się 6 września: izraelski F-16 zrzucił bombę na trzypiętrowy budynek w Gazie, w którym odbywało się spotkanie duchowego przywódcy Hamasu szejka Jassina z dowódcami jego bojówek. Terroryści uszli z życiem, ale Izraelczykom udało się zasiać chaos w ich szeregach. Czterokrotnie silniejsza bomba unieszkodliwiłaby cały sztab Hamasu, ale w ataku zginęliby też liczni cywile.

ZABIJAMY TYLKO WINNYCH

– Żaden działacz Hamasu, Islamskiego Dżihadu czy palestyńskiej milicji nie został zabity z zemsty, lecz dlatego, żeby zapobiec kolejnym zamachom – tłumaczy Daniel Reisner, szef departamentu prawnego w rządzie Szarona. Selekcja działaczy palestyńskich do eliminacji podlega ścisłym kryteriom. Wyrok dostają ci, którzy są o krok od dokonania zamachu w Izraelu – planują atak, rekrutują przyszłych męczenników lub przygotowują pasy z materiałami wybuchowymi. Izraelczycy nie zabijają terrorystów, którzy złożyli broń.

Drugi warunek to jak najmniejsze straty cywilne. – Jeśli popełnimy najmniejszy błąd, cały świat skoczy nam do gardła i okrzyknie nas mordercami – wyjaśnia Reisner. Wojsko ma zalecenie, by oszczędzać najbliższą rodzinę terrorysty. Jeśli jednak wiadomo, że Palestyńczyk przygotowuje właśnie operację terrorystyczną, a jedyny sposób jej udaremnienia to zabicie go wraz z żoną, wówczas wojsko nie cofa się nawet przed tym.

Tak było w lipcu 2002 roku, kiedy wydali wyrok na szefa bojowego ramienia Hamasu Salaha Shehadeha. Miał on na koncie trzy zamachy, w których zginęło w sumie ponad 70 Izraelczyków, w większości kobiety, dzieci i starcy. Gdy wywiad dowiedział się, że Shehadeh szykuje wielki zamach w Tel Awiwie, a do tego interesuje się jeszcze bronią bakteriologiczną i chemiczną, zabicie go uznano za sprawę niezwykle pilną. Od jednotonowej bomby zginął terrorysta, jego żona i 15 cywilów, którzy według Izraelczyków nie powinni się tam w ogóle znajdować. Śmierć niewinnych ofiar wywołała polityczną burzę w Izraelu, a cały świat potępił brutalność izraelskiego lotnictwa.

Według Reisnera fizyczna likwidacja palestyńskiego aktywisty to dziś ostateczność. – Podejmujemy taką decyzję tylko wtedy, gdy nie możemy go aresztować – wyjaśnia. Schwytanie terrorysty to ryzykowna operacja, bo komandosi muszą ją przeprowadzić w sercu palestyńskiego miasta. Żywy przywódca bojówki jest o wiele cenniejszy niż martwy męczennik. Może stać się źródłem informacji, zostać wymieniony za Izraelczyka lub pójść na współpracę z wojskiem.

PORWANIE „JOHNNY'EGO"

Tej nocy komandosi z elitarnej jednostki 202 pojadą w sam środek Nablusu. Mają schwytać bojówkarza Hamasu odpowiedzialnego za sierpniowy zamach w Hajfie. W operacji weźmie udział 10 żołnierzy. Komandosi mają od 19 do 21 lat. Przed wyjazdem oglądają zdjęcia lotnicze domu, do którego mają wejść. Muszą wiedzieć, skąd wynurzy się snajper, gdzie się schronić przed palestyńskim ostrzałem, skąd może nadejść niebezpieczeństwo i którędy uciekać. Za dwie godziny w środku Nablusu będzie już za późno na pytania. W razie kłopotów będą musieli zabijać szybko i skutecznie. Inaczej czeka ich śmierć.

Każdy żołnierz otrzymuje małe zdjęcie „celu". 30-letni mężczyzna z nalaną twarzą wydaje się zupełnie nieszkodliwy. Trudno go sobie wyobrazić, jak przypina zamachowcowi pas z materiałem wybuchowym. Ale jeszcze trudniej zrozumieć, po co Izrael narażałby życie 10 najlepszych żołnierzy, by schwytać człowieka, który nie stanowi żadnego zagrożenia. Misja będzie udana, jeśli „Johnny" trafi żywy w ręce izraelskiego wywiadu. Na godzinę przed wyjazdem żołnierze zaczynają przygotowania do drogi. Hełmy z kevlaru, kamizelki kuloodporne, noktowizory, karabiny, granatniki i granaty. Dwóch żołnierzy, którzy będą osłaniać komandosów, sprawdza karabiny maszynowe.

Z okna pędzącego dżipa trudno rozpoznać przedmieścia pogrążonego w ciemnościach Nablusu. Kierowca przez całą drogę nie spuszcza nogi z gazu. Na miejscu komandosi bez słowa biegną do mieszkania „Johnny'ego". Dwóch zwiadowców idzie otworzyć drzwi, dwaj inni zabezpieczają tył domu. Hałas. Oddział forsuje żelazne drzwi. Bieg po schodach. Izraelczycy zganiają całą rodzinę do największego pokoju. Jedna z kobiet chce krzyczeć, ale dowódca wykrzykuje po arabsku krótki rozkaz. Palestyńczycy i izraelscy żołnierze stoją naprzeciw siebie w lodowatej ciszy. Mężczyzna siedzi na ziemi. Żołnierze sprawdzają, czy to ten, po którego przyszli.

Zawiązują „Johnny'emu" opaskę na oczy. Trzeba wychodzić, i to szybko. Jeśli Palestyńczykom uda się wszcząć alarm, oddział może znaleźć się w środku wściekłego tłumu. Więzień nic nie widzi, obija się o ściany domu, charcząc z bólu i wściekłości. Jeden z żołnierzy łapie go za kołnierz i wlecze do tylnych drzwi dżipa. Trzej komandosi wrzucają „Johnny'ego" do środka. Potem wszyscy usadawiają się wokół niego i zatrzaskują pancerne drzwi. W ciemnościach na głos liczą: „Alef, beta, gimel, dalet...". Nikogo nie zgubili. Kierowca wciska gaz do dechy. Godzinę później nastawione na cały regulator techno oznajmia izraelskiej bazie, że oddział jednostki 202 wrócił z Nablusu bez strat.

PERFUMOWANI ZABÓJCY

Operacje takie jak ta są na Terytoriach Okupowanych coraz częstsze. Inaczej jest w przeludnionej Strefie Gazy, gdzie oddział izraelskich komandosów zostałby natychmiast namierzony. Gaza stała się zamkniętym obszarem. Izraelczycy wchodzą tam tylko po to, by likwidować przywódców Hamasu.

Ale stosowanie helikopterów bojowych, których siła ognia prawie zawsze naraża życie cywilów, jest coraz niechętniej widziane przez społeczność międzynarodową. Wątpliwości rodzą się nawet wśród samych Izraelczyków. 27 pilotów podpisało ostatnio protest, w którym odmawiają wykonywania „doraźnych" egzekucji, uznając je za „nielegalne i niemoralne".

Izraelczycy są więc zmuszeni szukać bardziej dyskretnych metod zabijania. Spośród imigrantów z Rosji wyłoniono niedawno strzelców wyborowych, którzy służyli w elitarnych jednostkach rosyjskich w Czeczenii, i stworzono z nich specjalną brygadę. W Rosji kurs snajperski trwa rok, w Izraelu – pięć tygodni. Choć większość strzelców przekroczyła już czterdziestkę, ich skuteczność jest porażająca.

Jeśli „cel" jest poza zasięgiem rakiet i kul, pozostaje walka jeden na jednego. Ariel Szaron ma do dyspozycji kilka formacji sił specjalnych. Najskuteczniejsi są komandosi z Duvdevan, którzy od lat infiltrują wszystkie warstwy palestyńskiego społeczeństwa. Biegle władają wszystkimi dialektami Palestyny, wiedzą, jakie perfumy są ostatnio w modzie w Hebronie, Gazie czy Nablusie, a na misje wyruszają w tradycyjnych arabskich strojach. Zadania bojowe ćwiczą w makietach tradycyjnych wiosek arabskich. Duvdevan zbiera informacje wywiadowcze, namierza najbardziej aktywnych przywódców bojówek i w razie potrzeby dokonuje także eliminacji. Prócz Duvdevan są jeszcze jednostki rozpoznania brygady Givati, komandosi marynarki wojennej z Shayetet 13 i ściśle tajna Sayeret Matkal, do której należą członkowie najściślejszej elity izraelskiej armii.

ŚMIERĆ NA OŚLE

Z wojskowego punktu widzenia strategia aresztowań i „doraźnych" egzekucji przyjęta przez Ariela Szarona i ministra obrony Saula Mofaza przynosi efekty: po serii ciosów, jakie spadły na Hamas i Islamski Dżihad w ostatnich miesiącach, obie organizacje są w rozsypce. Duchowy przywódca Dżihadu w Gazie ogłosił niedawno swoją dymisję. 50-letni szejk Abdallah Al-Shami nie miał ochoty podzielić losu założyciela tego ruchu Fathiego Shikakiego zlikwidowanego przez Izraelczyków w 1995 roku. Szefostwo Hamasu żąda nowego zawieszenia broni i zgodziłoby się wstrzymać zamachy, gdyby Izrael zaprzestał „doraźnych" egzekucji.

Wszyscy obecni przywódcy Hamasu żyją tylko dlatego, że cudem umknęli izraelskim bombom, rakietom lub komandosom. Tylko w ostatnich tygodniach wyeliminowano 14 działaczy zbrojnego ramienia Hamasu (śmierć poniosło przy tym sześciu cywilów). Szejk Jassin i Abdel Azziz Al-Rantisi, którzy jeszcze niedawno głosili, że palestyńscy kamikadze „nie będą szanować życia dzieci syjonistów ani tak zwanych syjonistycznych cywilów", wiedzą teraz, że ich własne dni są policzone. Palestyńskich bojówkarzy paraliżuje świadomość, że każdy ich ruch może skończyć się wyrokiem śmierci. Nie mogą już jeździć samochodami, a jednego z nich rakieta dopadła, gdy na grzbiecie osła jechał na tajne zebranie.

Mohamed Dahlan, minister bezpieczeństwa wewnętrznego Autonomii Palestyńskiej, mimo swej wysokiej pozycji jest czarną owcą w stadzie Jasira Arafata. Otwarcie zarzuca despocie dwulicowość i korupcję. Dahlan jest także zaprzysięgłym wrogiem Hamasu i marzy o wznowieniu rozmów pokojowych, których zwieńczeniem byłoby utworzenie niepodległego państwa palestyńskiego u boku Izraela.

Zdaniem Dahlana każda kolejna „doraźna" egzekucja czyni jednak tę perspektywę coraz bardziej iluzoryczną: – Tysiące razy tłumaczyliśmy to Izraelczykom. Urzędnik, który wydaje rozkaz eliminacji jednego palestyńskiego działacza, podpisuje jednocześnie wyrok śmierci na 16 izraelskich cywilów – mówi Dahlan. Strach pomyśleć, co się stanie, jeśli Izraelczycy spełnią swoje groźby wobec Arafata.

UGO RANKL
© PARIS MATCH, PARYŻ 2003

KLUB GWAŁCICIELI

Grupa studentów z elitarnych tokijskich uczelni założyła klub gwałcicieli. Podobnych klubów jest w Japonii o wiele więcej. Działają, bo w japońskiej kulturze istnieje milczące przyzwolenie na gwałt

LEO LEWIS

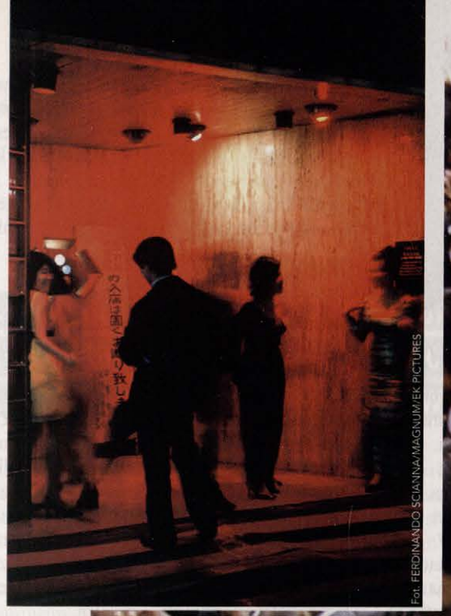

Fot. FERDINANDO SCIANNA/MAGNUM/EK PICTURES

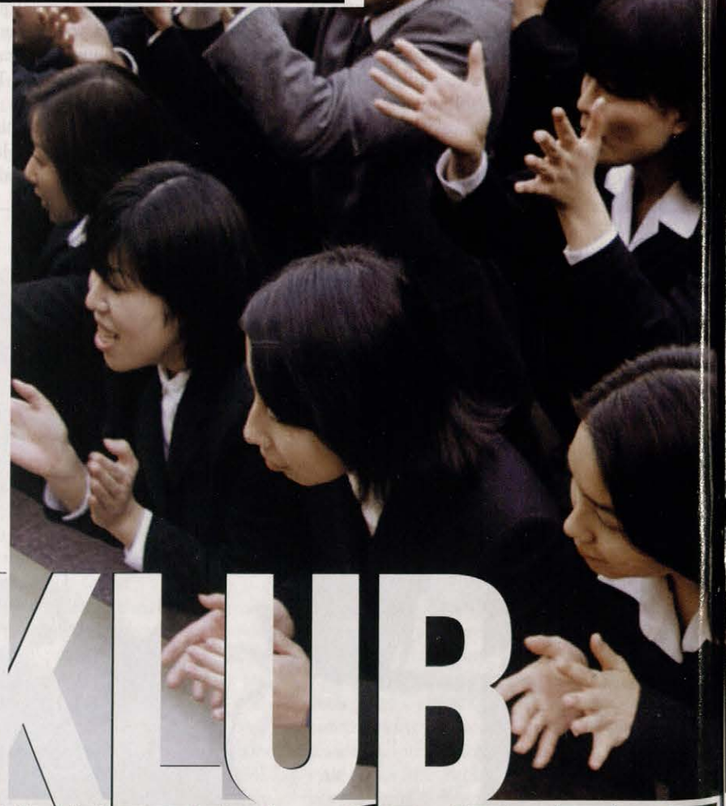

Fot. TOSHIYUKI AIZAWA/GETTY IMAGES/FORUM

W Japonii seks jest dostępny na każdym kroku. Na zdjęciu: Wejście do klubu nocnego

Obok: Dla japońskich studentów ważniejszy jest prestiż niż normy moralne

Trawniki są tu starannie wypielęgnowane, studenci paradują w szykownych ubiorach, ale nad kampusem szacownego Uniwersytetu Waseda w Tokio unosi się nieprzyjemny zapaszek. Budynki jak zawsze lśnią czystością na zewnątrz i w środku, ale ma się wrażenie, że wydarzenia minionego lata spowiły je jakby duszącym, czarnym smogiem.

Pod koniec lipca dwóch studentów Wasedy – japońskiego odpowiednika Oksfordu – oskarżono o udział w zbiorowym gwałcie na studentce. Obok nich na ławie oskarżonych zasiadł student Uniwersytetu Gakushuin, na którym uczą się synowie rodziny cesarskiej, oraz student z Uniwersytetu Nihon. Gwałt miał miejsce na klatce schodowej pewnego nocnego klubu. Doszło do niego po balu, na którym bawili się również studenci młodszych lat z niezmiernie prestiżowego Uniwersytetu Keio.

ROZRYWKA TYLKO DLA ELIT

To, że akurat te cztery prześwietne uczelnie pojawiły się w kontekście afery, wywołało w Japonii uczucie niesmaku. Powodem nie był jednak gwałt na kobiecie, lecz uszczerbek, jakiego doznała z powodu skandalu narodowa duma Japończyków. Jedno brutalne przestępstwo naznaczyło straszliwym piętnem cztery elitarne prywatne uczelnie. Japończycy gorączkowo szukają wytłumaczenia, ale jak dotąd nikt publicznie nie przyznał, że przyczyną może być powszechna w Japonii, wręcz zinstytucjonalizowana, pogarda dla kobiet.

Czterej oskarżeni stanęli już przed sądem. Razem z nimi na wyrok czeka Shinichiro Wada, 28-letni były student Wasedy, oskarżony o zorganizowanie tego i wielu innych zbiorowych gwałtów. Cała piątka przyznaje się do dokonania gwałtu, ale zaprzecza, jakoby został on zaplanowany. Jednak według prokuratorów przestępstwo nie było spontanicznym wyskokiem podpitej grupki mężczyzn, lecz zostało zaaranżowane przez szefostwo klubu Super Free. Stowarzyszenie powstało pięć lat temu po to tylko, by organizować dla swoich członków pijaństwa w tokijskich dyskotekach i klubach. Swoje wyrafinowane i szeroko zakrojone kampanie reklamowe kierowało głównie do kobiet pragnących poznać studentów słynnych uczelni.

Ambicje Super Free rosły proporcjonalnie do sławy organizowanych balang. Gdy na klubowych imprezach zaczęło się pojawiać po dwa i pół tysiąca

balowiczów, charakter zabaw uległ zmianie. Mężczyźni zaczęli płacić tysiące jenów za towarzystwo podlanych alkoholem panienek, zaś organizatorzy zaczęli dbać o to, by ich klienci dostawali za swoje pieniądze to, czego chcieli. Nie minęło wiele czasu, a na szczytach hierarchii Super Free zaczęła działać sitwa organizująca zbiorowe gwałty ku uciesze młodych, zamożnych japońskich elit. Tym klubem w klubie zawiadywał Wada, z wielką swobodą poruszający się w kręgach najbardziej prestiżowych japońskich uczelni.

Super Free stał się tak snobistycznym klubem, że na jego rozpasanych imprezach zaczęły pojawiać się nawet gwiazdy japońskiej muzyki i telewizji. Postępy toczącego się śledztwa każą podejrzewać, że w najbliższych miesiącach Japonię czeka wstrząs. Super Free nie był jedynym „klubem gwałcicieli" w tym kraju. Jest na razie jedynym, który został zdemaskowany.

W Japonii kwitnie przemysł erotyczny. Na zdjęciu: Striptiz w klubie go-go w Shinjuku, tokijskiej dzielnicy czerwonych latarni

Fot. SINOPIX/REX/EAST NEWS

W popularnym comiesięcznym komiksie dla dorosłej młodzieży są sceny zbiorowych gwałtów, zoofilii i seksu z nieletnimi. W Japonii wszystko jest dozwolone

STUDENCKA SAMOWOLA

Tokijski klub funkcjonował zupełnie jawnie. Jeśli prawdą jest to, o czym po cichu przebąkują studenci Wasedy, a mianowicie, że klub organizował mniej więcej dwa gwałty tygodniowo, to zimna krew, jaką zachowują Wada i pozostali członkowie, robi wstrząsające wrażenie.

Zamieszane uniwersytety mają markę znaną w Japonii, są otaczane pełnym podziwu szacunkiem. – Świadomość, że studia na takiej uczelni otwierają drogę do szczytów japońskiego świata gospodarki lub polityki, skłania niektórych studentów do przekonania, że wolno im robić, co tylko chcą – mówi jeden z pracowników administracyjnych Uniwersytetu Keio. – Przekonanie to łatwo przenoszone jest ze świata uczelnianego na otoczenie społeczne – dodaje. Elitarne uczelnie po cichu podsycają arogancję swoich studentów, postawa ta pobudza bowiem – zazwyczaj zdrowego – ducha rywalizacji.

Funkcjonariusze tokijskiej policji uważają, że skoro w aferę zamieszane są aż cztery czołowe uniwersytety, to jest praktycznie pewne, że w innych japońskich kampusach też działają kluby gwałcicieli. Zdaniem Tamie Kaino, profesora Uniwersytetu dla Kobiet Ochanomizu i znawcy tematyki przestępstw w kampusach akademickich, inne kluby niekoniecznie muszą być tak zinstytucjonalizowane jak Super Free.

Jeden z byłych członków klubu twierdzi, że jego kierownictwo kontaktowało się z podobnymi klubami na innych elitarnych uczelniach. Człowiek ten utrzymuje, że gdy chodziło o aranżowanie gwałtów, organizatorzy z Super Free nie mieli problemów z wynajdywaniem podobnych sobie mężczyzn na uniwersytetach Meiji i Keio. Wada opracował nawet folder na błyszczącym papierze zachęcający do wstąpienia do klubu, a potencjalne ofiary do bywania na imprezach.

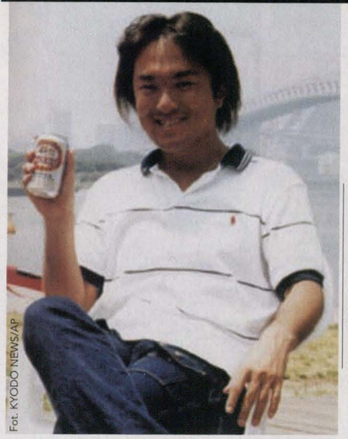

Fot. KYODO NEWS/AP

Wada organizował studentom elitarnych tokijskich uczelni nie tylko imprezy, lecz także zbiorowe gwałty

– Takie towarzystwa istnieją na wszystkich najlepszych uczelniach i wszystkie posuwają się do świństw, by zmusić studentki do uprawiania seksu – mówi nasz informator. – Oczywiście stosują w tym celu różne strategie, ale chodzi o to samo. Znam grupę mężczyzn na Uniwersytecie Hosei, którzy zmuszają dziewczyny do udziału w amatorskich filmach pornograficznych, a następnie szantażują je, żeby na nich nie doniosły.

PODRĘCZNIK GWAŁCICIELA

– Organizacja działała według przemyślanego planu, a członkowie porozumiewali się szyfrem – opowiada nasz rozmówca. – Wada był twardym gościem umiejętnie stosującym sztuczki psychologiczne, by nakłaniać członków klubu do zachowań, które mu pasowały. Wszyscy wiedzieli, że na imprezach zarabia mnóstwo kasy. Głównym zadaniem większości członków było sprzedawanie biletów jak największej liczbie ładnych panienek. Gdy już ofiara została wypatrzona, oddzielano ją od grupki znajomych i prowadzono w inne miejsce.

Były członek Super Free opowiada też o dokumencie, który wstrząsnął organizacjami kobiecymi w całym kraju, a który zapewne odegra kluczową rolę w nadchodzącym procesie. Krążąca wśród „elity" klubowiczów broszura „Nampa Kanyu Manuaru" („Jak podrywać dziewczyny") jest czymś na kształt podręcznika gwałtu. Krok po kroku prowadzi czytelnika do upragnionego celu.

Zaczyna się od zestawu tekstów pomocnych przy podstępnym nakłanianiu kobiet do zakupu biletów na imprezy i wciągnięciu ich w krąg „wtajemniczonych". W broszurze dużo miejsca poświęcono prestiżowemu charakterowi imprez, jest mnóstwo odniesień do Uniwersytetu Waseda i innych elitarnych uczelni, celowo eksponuje się ich dokonania i „markowość", dużo mówi się też o atrakcyjności uczących się tam studentów.

Nasz informator pamięta też bardziej konkretne rady dotyczące samego gwałtu, jakich Wada ustnie udzielał swoim kompanom. Zalecał podział ról między gwałcicielami. Każdy z nich odpowiadał za inny „odcinek" operacji: upicie ofiary, zwabienie jej czy pełnienie warty podczas samego gwałtu. Wyznaczano nawet klubowicza, który miał udawać, że pociesza ofiarę po gwałcie, i starać się wyperswadować jej jakiekolwiek skargi. Wada zabezpieczał się również na inne sposoby. Zmuszał dziewczyny do uśmiechu w trakcie gwałtu i robił im zdjęcia na dowód, że uprawiały seks dobrowolnie. Podobno groził też ofiarom, że jeśli nie będą milczeć, umieści zdjęcia w Internecie.

PUBLICZNA ROZPUSTA

Skandal zerwał zasłonę skrywającą studenckie życie na japońskich uczelniach, a wyłaniający się obraz najbardziej przygnębił samych studentów. – Jesteśmy z gruntu źli, nasze pokolenie jest przepojone złem – uważa pewna studentka. – Wielu z nas wie o imprezach, które kończą się gwałtami, a nawet o grupach, które organizują takie imprezy. Ale wszyscy milczymy i nic z tym nie robimy. Ten gwałt był szokujący, ale obecny skandal nie odmieni kultury, która coś takiego umożliwiła.

W drodze z kampusu Waseda na stację Takadanobaba studentka wskazuje oznaki kultury, według której gwałt jest wybaczalnym przestępstwem. Obskurny szyld reklamuje salon masażu czynny całą dobę, inny – z napisem „Biblioteka" – wisi nad lokalem, w którym mężczyźni raczą się pornografią, płacąc za każdą minutę rozrywki. Widać też niezliczone reklamy i plakaty, które przedstawiają kobiety jako „uległe zabaweczki dla mężczyzn".

Z półki dworcowej księgarni studentka bierze najnowszy egzemplarz miesięcznika „Desire" („Pragnienie"), komiksu dla dorosłej młodzieży pełnego wyrazistych obrazków zbiorowych gwałtów, seksu ze zwierzętami i osobami nieletnimi oraz najgorszej przemocy. Na koniec prowadzi mnie do sklepu monopolowego sprzedającego polski spirytus, który służył członkom Super Free do wzmacniania drinków ofiar, żeby uczynić je niezdolnymi do obrony przed gwałtem.

Mimo licznych deklaracji o szoku w związku z aferą w Japonii najbardziej powszechną reakcją na skandal jest milczenie. Gwałtu nie potępili publicznie ani studenci, ani profesorowie. Japończycy mają naturalną skłonność do wypierania się okropności, które popełniają. Równie naturalna dla nich była reakcja wielu prominentnych osób, które mogłyby w tej sprawie coś zrobić, ale poprzestały jedynie na potrząsaniu głową i wypowiadaniu opinii w rodzaju: „No cóż, chłopcy zawsze będą chłopcami". Kiedy jeden z byłych ministrów palnął gafę, mówiąc, że gwałciciele wykazali się dopuszczalnym wigorem, jego wypowiedź wzbudziła większe oburzenie poza granicami kraju niż w samej Japonii.

CIĘŻKO PRACOWALI

Wielu spośród członków klubu Super Free pochodzi z rodzin, z którymi uniwersytety muszą się bardzo liczyć. Choć po ujawnieniu gwałtu pięciu studentów zostało relegowanych z uczelni, to jednak kroki dyscyplinarne, jakie w stosunku do nich podjęto, były o wiele bardziej zawiłe, niż to przedstawiały same uczelnie. – Chciałbym móc powiedzieć, że wyrzucenie gwałcicieli było zwykłą formalnością, ale nie mogę – skarży się profesor, który uczył jednego z pięciu aresztowanych studentów. Bardzo wymowny jest sposób, w jaki władze Uniwersytetu Waseda „załatwiły" skandal na własnym podwórku. Ograniczyły się do rozesłania maila do wszystkich studentów pouczającego ich, że „wszelkie współżycie płciowe odbywające się bez zgody zainteresowanych uznawane jest za gwałt, który stanowi poważne przestępstwo. Nie dajcie się zwodzić stereotypowym przedstawieniom gwałtów w sztukach teatralnych, komiksach czy na filmach wideo". Jednego władzom uczelni nie można odmówić, a mianowicie obeznania z kulturą japońską. Gwałt jest ukazywany z mniejszą lub większą pobłażliwością we wszystkich tych mediach.

Tuż po aresztowaniu gwałcicieli magazyn „Japanese Weekly Post" zacytował następującą wypowiedź profesora Masashi Miyadai z tokijskiego uniwersytetu, podającego się za specjalistę od kultury młodzieżowej: „Wielu studentów zamieszanych w sprawę gwałtów pokończyło elitarne szkoły średnie. Ciężko pracowali, by pozdawać trudne egzaminy na uniwersytety. Niepotrzebnie tłumili w sobie popęd seksualny w okresie dojrzewania. Tacy studenci nie potrafią tworzyć udanych związków. I to jest główną przyczyną, dla której popełniają tak okrutne przestępstwa na tle seksualnym".

LEO LEWIS

© The Times, London 2003

Szukasz pracy?

Tysiące ofert pracy w Warszawie!

20 października w „Gazecie Wyborczej" wydanie specjalne „Gazety Praca"

Gazeta Praca robi karierę

gazeta WYBORCZA

MAŁY MIŚ ZARYCZAŁ

Szef największego polskiego radia to wariat. Rozpoczął wojnę z własnym państwem. Jeśli wygra, to z wariata przemieni się w rewolucjonistę. I stanie się koszmarnym snem urzędników. Ze **STANISŁAWEM TYCZYŃSKIM** rozmawia Piotr Najsztub

Co takiego pańskiemu radiu zrobiło państwo polskie, że chcecie od niego wielomilionowych odszkodowań? Żywo mnie to interesuje, bo te ewentualne odszkodowania nasze państwo wypłaci między innymi z moich podatków.

– Jeżeli wywalenie z pracy 200 osób, pracowników naszych oddziałów lokalnych, uważa pan za nic, to „nic" nam nie zrobiło.

Nasze państwo zwolniło już setki tysięcy ludzi, więc...

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale tu chodzi jeszcze o coś innego – to rządzone przez czerwonych państwo zakpiło sobie z prawa i nielegalnie pozbawiło nas możliwości rozwoju. Musieliśmy zamknąć oddziały regionalne, bo KRRiTV cofnęła nam taką koncesję. Udowodniliśmy nielegalność tych decyzji w NSA, teraz nadszedł czas zapłaty.

I co nasze państwo, jeśli wygracie, ma zrobić? Przeprosić i co jeszcze?

– Oddać ciężkie pieniądze, dziesiątki milionów złotych.

Jaka kwota wymieniona jest w pozwie?

– Kilkadziesiąt milionów, straty z jednego tylko roku.

Wpłaciliście do sądu wymagane wadium?

– Zapłaciliśmy na wezwanie sądu, bo taka jest procedura.

Czy państwo jest waszym wrogiem?

– To państwo – Millera, Czarzastego – na pewno.

Oskarżacie państwo Millera, ale proces potrwa kilka lat i płacić i przepraszać może państwo Rokity albo Kaczyńskiego.

– No, to mam nadzieję, że to nowe państwo osądzi winnych i wreszcie ktoś z kręgów władzy pomaszeruje do kryminału. Może nawet i sam Miller. Niech wreszcie stanie się to, co się nie stało w '89 roku.

To dziwny sposób na dekomunizację.

– Ale przynajmniej jakiś. Po 13 latach przyznaję, że nie trzeba było im wtedy popuszczać, to między innymi mój grzech.

A może to nie jest wina Millera, wina Czarzastego, może u nas tak po prostu jest, że prawo nie jest bogiem? Może niepotrzebnie wiąże to pan z orientacją polityczną?

– Muszę to wiązać z orientacją polityczną, bo to ci politycy powiedzieli mi, że mam się zwijać.

Składając ten pozew, daje pan do zrozumienia, że członkowie KRRiTV popełnili przestępstwo. Jednak nadal pan z nimi paktuje, bo musi, bo jest uzależniony od tego ciała jako nadawca.

– Od dwóch lat tam nie byłem.

A pańscy prawnicy?

– Jeżdżą tam, ale nic tam nie mają do powiedzenia.

Rozmawiają z przestępcami?

– A jakie mam inne możliwości odwołania się. Obrazić się i wyjechać na Malediwy?

Może mógłby pan mieć gdzieś Krajową Radę Radiofonii i Telewizji?

– Nie mogę mieć gdzieś Krajowej Rady, bo musimy się rozwijać i od nich potrzebujemy licencji.

Rozwijać, czyli mieć więcej słuchaczy?

– Nie, więcej słuchaczy już się nie da mieć, niż my mamy, mamy największą liczbę słuchaczy na tym kontynencie.

To co to znaczy „rozwijać się".

– Po prostu musimy się legalnie przekształcać i niech pan pamięta, że RMF jest jedynym prywatnym medium elektronicznym bez zagranicznego kapitału. Rozumiem, że czerwonej bandzie to się strasznie nie podoba.

A to taka przyjemność żyć bez tego kapitału zagranicznego?

– Do ciężkiej cholery, nie możemy stać się narodem pariasów na nasze tylko życzenie. I wie pan znakomicie, że nie mówię tego z nacjonalistycznych pobudek. Ta długość i szerokość geograficzna, gdyż tylko w takich kategoriach pojmuję Państwo, musi w końcu coś produkować. Wydawałoby się, że w medium jest to najprostsze.

Z tego, co wiem, Polsat również jest polski. Ale w ogóle co to za argument „bez kapitału zagranicznego"? Chciałby pan za to medal dostać?

– Nie chcę żadnego medalu! Tylko jeżeli można coś w tym kraju samodzielnie stworzyć, to wszyscy powinni się z tego cieszyć. Oczywiście możemy dążyć do tego, żeby cały nasz kraj stał się wielkim supermarketem z zagranicznymi towarami. Rozmawiamy o państwie, gdzie

ZDJĘCIA ROBERTLASKA.COM

STANISŁAW TYCZYŃSKI MA 44 LATA, NA OSTATNIEJ LIŚCIE STU NAJBOGATSZYCH POLAKÓW TYGODNIKA „WPROST" ZNALAZŁ SIĘ NA 89. MIEJSCU ZE 105 MILIONAMI ZŁOTYCH MAJĄTKU. STUDIOWAŁ FIZYKĘ NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM, ALE W STANIE WOJENNYM PRZERWAŁ NAUKĘ. W 1981 ROKU ZAKŁADAŁ PODZIEMNE RADIO W NOWEJ HUCIE, CO 20 LAT PÓŹNIEJ NAZWAŁ „OPERETKĄ". „OPOZYCJA BYŁA ŚMIESZNA, ALE CHCIAŁA MIEĆ RADIO. Z KOLEGĄ PRZYPADKOWO DYSPONOWALIŚMY NADAJNIKIEM" – MÓWIŁ W WYWIADZIE DLA „RZECZPOSPOLITEJ". W ROKU 1984 WYJECHAŁ DO PARYŻA. PO POWROCIE DO POLSKI W 1989 ROKU ZAŁOŻYŁ RADIO W KRAKOWIE. PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ RMF JAKO PIERWSZA ROZGŁOŚNIA DOSTAŁO OGÓLNOPOLSKĄ KONCESJĘ. ZEZWOLENIE OBEJMOWAŁO TEŻ TAK ZWANE ROZSZCZEPIENIE SYGNAŁU, CZYLI MOŻLIWOŚĆ NADAWANIA PRZEZ RMF FM LOKALNYCH WIADOMOŚCI, INNYCH W ZALEŻNOŚCI OD REGIONU, W KTÓRYM RADIO BYŁO SŁYCHAĆ. NOWA KONCESJA Z 2001 ROKU JUŻ NA TO NIE POZWALAŁA. ROK PÓŹNIEJ NSA ORZEKŁ, ŻE TO BYŁO BEZPRAWNE, BO KRRiTV NIEDOSTATECZNIE TĘ DECYZJĘ UZASADNIŁA. RADA UZUPEŁNIŁA UZASADNIENIE I ZAKAZ ROZSZCZEPIENIA SYGNAŁU UTRZYMAŁA.

25 procent obywateli produkuje 2,5 PKB! To jest wyłącznie supermarket! Jeżeli nasze media mogą być naszą wartością dodaną, to dlaczego mam tego nie bronić? Tak, jestem dumny, że obcego kapitału u nas nie ma.

Mówi pan jak polityk. Pańskie niepokoje, zastrzeżenia, oskarżenia są sensu stricto polityczne. Niech pan zdejmie pelerynkę RMF-u i zostanie politykiem!

– Ale ja nie chcę być politykiem!

***Tak czy inaczej, ze swoim temperamentem* i niewyparzoną gębą już pan nim jest!**

– Ale daj pan spokój! Jestem małym misiem o małym rozumku, który przyjechał do tego kraju, mając pięć tysięcy dolarów w kieszeni, dwa macintoshe, i zrobił stację radiową.

I to pana już nudzi.

– Nie, mnie to nie nudzi. Tylko teraz, żeby ochronić tę stację, muszę ten malusieńki geszeft spod Krakowa rozwinąć w coś większego, bo nawałnicy obcego kapitału nie wytrzymamy. I w tym momencie, kiedy próbujemy to robić, Miller, Czarzasty „kradną nam z kasy" pieniądze.

Umówmy się, nie ukradli, tylko uniemożliwili wam zarobienie tych pieniędzy.

– Przekazali swoim te możliwości. A precyzyjnie rzecz biorąc, przekazali Agorze i Zjednoczonym Przedsiębiorstwom Rozrywkowym prezesa Benbenka.

Trudno uznać, że dla premiera i sekretarza KRRiTV Agora to swoi.

– Jednak to między innymi ich stacje zarobiły na naszym zniknięciu z reklamowych rynków lokalnych.

Próbował pan o tym rozmawiać z Agorą?

– A o czym mam z nimi rozmawiać, przecież Agora ma zawsze rację.

Pan też należy do tych, którzy zawsze mają rację – taki charakter. Mówi pan: Miller, Czarzasty... Czy pan kiedykolwiek spotkał Leszka Millera?

– Oczywiście. On decydował o tej próbie zniszczenia nas, nawet nie Czarzasty.

Skąd pan to wie?

– Bo byłem przy tej rozmowie.

I jak ona przebiegała?

– To był kwiecień 2001 roku, spotkałem się w restauracji teatru Buffo z posłem SLD Andrzejem Urbańczykiem, skądinąd chyba jedynym porządnym facetem w tej bandzie. Usłyszałem od niego: „Niestety, jest już postanowione, nie dostaniecie możliwości rozszczepienia programu". Odprowadziłem go po rozmowie przez park do siedziby SLD na ulicy Rozbrat. Nadialiśmy się na Millera i Czarzastego. Miller krótko mi wytłumaczył, że nam tego nie dadzą. Czarzasty nie odezwał się wtedy ani słowem.

Znał sprawę?

– Fantastycznie znał sprawę. Zapowiedziałem nasze kroki prawne i teraz po prostu je wykonujemy.

Nie można codziennie udowadniać słuchaczom, że tego państwa nie ma. Choć nie wiem, jakim cudem jeżdżą pociągi, jest prąd, coś jeszcze działa, mimo że państwo robi na każdym kroku wszystko, żeby temu przeszkodzić

Ale mówiąc to panu, usprawiedliwiał się jakoś, mówił dlaczego?

– Nie, po prostu zakomunikował, że nie widzi dla nas takiej możliwości.

Nie próbował pan z nim dyskutować?

– A po co? Zresztą nasze spotkanie trwało bardzo krótko.

Czy potem kiedykolwiek spotkał pan Millera?

– Nie.

A gdyby pan go spotkał, to co by mu powiedział?

– Zaskoczył mnie pan tym pytaniem... Nie wiem.

Jesteś pan porywczy, może by chciał go pan stuknąć?

– Nie biję małych ludzi. Tutaj chodzi o elementarną przyzwoitość. Wróciliśmy do punktu wyjścia tylko dlatego, że w 1989 roku daliśmy się wszyscy urzec pieprzonemu humanizmowi „grubej kreski".

Popełnia pan błąd merytoryczny, łącząc to wszystko z „grubą kreską". Myśmy się wcześniej z radością zgodzili na Okrągły Stół, a tam to się przesądziło. Z radością, której potrzebowaliśmy, i byliśmy gotowi wiele za nią zapłacić. I teraz po prostu płacimy.

– Tak, ale przyzna pan, że z perspektywy 13 lat jest to straszliwy błąd.

Tak, ale byliśmy gotowi dla tamtej radości wiele poświęcić. I poświęciliśmy. Koniec, kropka.

– A ja właśnie ten błąd próbuję naprawić i niech mi pan tego prawa nie odmawia.

To może powinien pan sięgnąć po bardziej totalne formy protestu. Wszyscy już: publicyści, politycy, zwykli ludzie z ulicy, krytykują ten rząd – to już nudne. Może pana byłoby stać na jakieś szaleństwo?

– Usiłuję się mimo wszystko zachować racjonalnie, nie można codziennie udowadniać słuchaczom, że tego państwa nie ma. Choć rzeczywiście nie wiem, jakim cudem jeżdżą pociągi, jest tutaj prąd, coś jeszcze działa, mimo że państwo robi na każdym kroku wszystko, żeby temu przeszkodzić.

Pan jest stworzony do bycia rewolucjonistą, bo nawet kiedy pan argumentuje, to używa demagogii! Dlaczego pan nie sięgnie po metody rewolucyjne? Na dodatek jest pan właścicielem największego radia na tym kontynencie!

– Człowiek, który codziennie rano słucha tej stacji, musi normalnie wstać, normalnie pójść do pracy, normalnie z niej wrócić. Nie może być codziennie atakowany naszą katastrofą, upiornym wizerunkiem państwa. Chce normalności, by żyć.

Ale może trzeba poświęcić takie radio i uderzyć we władzę całą siłą? Pan jako właściciel, posiadacz dużego majątku, mógłby sobie na to pozwolić. Jest taki trend światowy: właściciele mediów biorą władzę we własne ręce.

– Przecenia pan naszą rolę. Ja mogę tylko jeszcze bardziej pochylić łeb. Czasami czuję się najbardziej osamotnionym człowiekiem w tym państwie.

Jeśli ktoś składa pozew przeciwko państwu, to nie może mówić o sobie, że jest tylko małym misiem. Zaczął pan grę, w której już nie może być małym misiem.

– Nie mam niedźwiedzich ambicji. Chcę tylko sprawdzić, czy to państwo jest rzeczywiście bezkarne.

Nie o honor tylko pan się sądzi, także o pieniądze.

– Muszą oddać to, co zabrali.

Nie zabrali, tylko nie pozwolili zarobić. Uczestniczy pan w tworzeniu nowej ustawy o mediach elektronicznych?

– Nie, bo z zasady nie uczestniczę w czymś, na co nie mam wpływu. Nie chcę być „dziadkiem" do już rozdanych kart.

A może byłby pan na tyle silny, żeby wymóc taki kształt ustawy...

– Ależ oczywiście, że nie! Jeżeli „wielcy tego świata" nie potrafili przez 12 miesięcy tego zrobić – co pokazują przesłuchania komisji śledczej w sprawie Rywina – to czym się łudzić!

Ma pan swój pogląd na to, kto stał za korupcyjną propozycją Rywina?

– Odpowiem nie wprost. Trzy tygodnie temu nasi dziennikarze pytali o to słuchaczy w porannym paśmie. Przyszło w krótkim czasie trzydzieści parę tysięcy SMS-ów i głosów na stronie internetowej. 97 procent słuchaczy wskazywało na premiera.

Panu się to wydaje prawdopodobne?

– ...

Jesteście liderem rynku radiowego. Jak pan się z tym czuje? Odpowiedzialność, duma...

– Nam nie jest łatwo, geografia wymusza na nas n-krotnie więcej pracy, niż gdybyśmy byli w Warszawie. Jesteśmy tu wyspą, sami w sobie w Krakowie, bez żadnego zaplecza. Dzisiaj dopiero rozumiem, dlaczego duże stacje radiowe czy telewizyjne są zmuszone do nadawania z centrum.

Na czym polega główny problem tego oddalenia?

– Człowiek tworzący informacje na Kopcu nie wpada na róg Marszałkowskiej i Jerozolimskich i nie wymienia swoich poglądów, może niesłusznie, z kolegą z redakcji „Przekroju", „Trybuny Ludu" czy BBC, nie jest w tym tyglu ucierania się informacji i opinii. Chociaż z drugiej strony nasza „wyspa" pozwala nam spojrzeć na najważniejsze sprawy z dużego dystansu. Nasze oddziały regionalne były ogromną siłą tej stacji polegającą na bliskości ze słuchaczem. W tym byliśmy odmienni, że byliśmy równocześnie szczecińscy, poznańscy, krakowscy itd.

To dlatego tak pana boli zakaz rozszczepienia, bo z natury byliście po prostu...

– ...stacją prowincji, szeroko rozumianej.

Teraz tego nie macie i pewnie przez wiele lat jeszcze mieć nie będziecie. Jak zamierza pan rozwijać RMF FM?

– Samo radio w takiej jak obecnie postaci nadmiernie już się nie rozwinie, zaś pozostałe media? Cóż, w lutym wystąpiliśmy do KRRiTV o kanały telewizji naziemnej. Cisza. Jak pan sądzi – dostaniemy?

Zdziwiłbym się. Czyli pozostaje „tylko" walka o utrzymanie pierwszego miejsca?

– Na razie tylko tyle, a może aż tyle. Jak nas wcześniej nie wykończą.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
KRAKÓW, 8 PAŹDZIERNIKA 2003 R.

Sylwia Gruchała jest prawie najlepszą, ale za to całkiem najpiękniejszą florecistką na świecie

Fot. WOJTEK RZAŻEWSKI/SE

SZYBKA, ALE WŚCIEKŁA

Czy **SYLWIA GRUCHAŁA** zawiodła? Wywalczyła srebrny medal w mistrzostwach świata w szermierce. Mogło być złoto, gdyby nie jej skłonność do ataków furii

Sylwia Gruchała w finałowym pojedynku o mistrzostwo świata miała grać defensywnie. Ale od początku nie szło jej najlepiej. Musiała gonić przeciwniczkę. Była wolniejsza, mniej zdecydowana, popełniała błędy. Dopiero gdy wyrównała 10:10, jakby uwierzyła w siebie. Mimo że była już zmęczona, postanowiła zaatakować. Z furią.

I WTEDY SIĘ NADZIAŁA

Włoszka Valentina Vezzali to stara wyjadaczka. Zdobywała medale jeszcze w czasach, kiedy mała Sylwia płakała ze złości, że musi uprawiać „ten głupi sport".

Polce pozostał srebrny medal i tytuł wicemistrzyni świata. Całe szczęście, że gdy to do niej dotarło, wciąż miała na twarzy maskę. Za drucianym sitem mogła ukryć wściekłość i szeptać najgrubsze nawet przekleństwa. – Byłam naprawdę zła – przyznała potem. Na szczęście wtedy tonęła już w ramionach uradowanych koleżanek z kadry i na jej obliczu znów gościł słynny uśmiech najpiękniejszej polskiej sportsmenki.

TUPAŁA NOGAMI

Potrafi nienawidzić. Bywa wściekła i zła. Trenerzy zgrabnie unikają tego tematu w rozmowach z dziennikarzami, ale przeszli z Gruchałą prawdziwy krzyż pański. Przecież ta zawodniczka nienawidziła sportu, który uprawia. Bardzo długo nie zanosiło się na to, że osiągnie sukces.

W jej sportowej szkole podstawowej były dwa kierunki – lekkoatletyczny i szermierczy. Sylwia chciała biegać. Właśnie gdy podjęła tę decyzję, władze szkoły zdecydowały o rozwiązaniu sekcji. Sylwia była w drugiej klasie. Wiadomość, że w białym stroju pszczelarza, w koszmarnej masce Marsjanina będzie skakać jak żaba po długim dywanie w tę i z powrotem, była wstrząsająca. W jej króciutkim życiu była to już druga fatalna wiadomość. Dwa lata wcześniej jej mama oznajmiła, że opuszcza dom. Wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Dzieci zostawiła z mężem.

Na razie dziewczynka stoi przed ojcem zapłakana i rozżalona. Pamięta, że tupała nogami. Potem w ataku histerii dostała spazmów. Rodzeństwo próbowało ją przekonywać do szermierki przez kolejne trzy lata.

W piątej klasie zaczęła przychodzić na treningi. Częściej jednak urywała się, by kłamać potem jak z nut i wymyślać niestworzone historie, aby przekonać trenerów, że nie mogła przyjść. – Była w tym słodka – przyznaje z przekorą pierwszy trener Longin Szmit.

BUZDYGANY, RAPIERY I CEPY

To właśnie trener Szmit wymyślił sposób na krnąbrną dziewczynę. Za karę kazał jej powtarzać ćwiczenia, których nienawidziła. Sylwia musiała stać przed wyimaginowanym przeciwnikiem i machać floretem. Atak – obrona, atak – obrona. I tak przez godzinę. Aby uniknąć katorgi, zaczęła się starać.

Bardzo szybko trenerzy spostrzegli, że w małej jest to coś. Upór i złość. Błyskawiczny refleks i absolutny brak strachu. To rokowało. Ale wydarzyła się tragedia. Coś, co mogłoby załamać nawet najtwardszego. Gdy Sylwia kończyła podstawówkę, zmarł jej ojciec. Dzieci zostały zupełnie same. Najstarszy brat postanowił wyjechać do Niemiec. Siostry – już samodzielne – przygarnęły najmłodszą, ale wspólne życie nie układało się najlepiej. Aby uciec od kłótni, dać upust złości, Sylwia zaczęła z większą chęcią bywać na treningach.

Nabijała, kłuła i dźgała. Nie trwałoby to długo, gdyby nie przyszły sukcesy. Na początku trofea trochę egzotyczne, jak „rapier prezesa" czy „buzdygan rektora". Potem jednak złość przyniosła złote i srebrne medale. Teraz indywidualnych i drużynowych tytułów mistrzyni świata, Europy i Polski nasza zawodniczka ma więcej niż lat. Fenomenalne, a dla fachowców dość szokujące jest jednak to, że Sylwii jeszcze bardzo daleko do doskonałości. Obserwatorzy jej walk nie ukrywają, że pod koniec każdego pojedynku wali floretem już jak cepem i że tłuste lata są dopiero przed nią.

KRÓTKI ROMANSIK

Mało brakowało, by w roku 1999 straciła cały zapał i ochotę do walki. Na 18-latkę posypały się bowiem takie zaszczyty i laury, od których każdemu przewróciłoby się w głowie.

Podczas mistrzostw Europy w Gdańsku pierwszy raz zobaczyli ją dziennikarze i oniemieli. Od razu dostała propozycję, by została modelką i rzuciła dźganie w kąt. Rozbierane sesje zaproponowały jej kolorowe magazyny. Dziennikarze nie odstępowali jej na krok, bulwarowce informowały o kolejnych partnerach. Nie zapomniała o sporcie, ale...

Gdy w jednym z wywiadów Sylwia wspominała jakieś zawody, powiedziała, że wpadł jej w oko pewien Węgier. – Romansik trwał krótko – palnęła rezolutnie.

W lipcu 2000 roku Sylwia doszła do finału mistrzostw Europy. Na macie stanęła naprzeciwko starszej o 16 lat Rumunki Reki Szabo-Lazar. Prowadziła 13:9. Potem jednak przegrywała i sama goniła przeciwniczkę. Aż na tablicy pojawił się wynik 14:14. Miał zdecydować punkt. Sylwia trafiła „na jedną lampę". Złoty medal.

Kilka miesięcy potem na olimpiadzie w Sydney woda sodowa mogła jej uderzyć do głowy. Była prawdziwą królową. Dosłownie. Została miss igrzysk. W walce o ósme miejsce naprzeciw niej stanęła utytułowana Włoszka. Starsza i mniej urodziwa. Spuściła jednak Polce prawdziwy łomot. Zemsta miała nastąpić na tegorocznych mistrzostwach świata. Znowu się nie udało.

OTULIĆ MIŁOŚCIĄ

– Pohamuj złość! – wbijali jej do głowy trenerzy. Ale Sylwię potrafi wyprowadzić z równowagi naprawdę drobnostka. W zeszłym roku na przykład dostała ataku szewskiej pasji – jak sama wyznała w wywiadzie – podczas pobytu na plaży. Wystarczyło, że ktoś, przechodząc, obsypał ją piaskiem.

– Jestem diablicą – przyznaje, a w kolorowych magazynach nawołuje: – Kobiety, szable w dłoń!

– Nie mam kompleksów, podobam się sobie – mawia rozbrajająco. I to wydaje się jej największym problemem.

Ostatnio jednak zaświtał promyk nadziei. Przyznała, że zaczyna coraz więcej spokojnie planować. Będzie walczyć do roku 2008 i zacznie studiować psychologię. To sukces, bo jeszcze niedawno zamierzała otworzyć salon kosmetyczny.

Za rok kolejna olimpiada – najważniejsza impreza dla każdego sportowca. Sylwia obiecuje, że będzie zrelaksowana i spokojna. – Gdy otulam przeciwniczki miłością – powiedziała – wygrywam.

O tym, że niepohamowana złość w szermierce nie popłaca, wie od dawna. Mawia nawet, że szermierka jest jak szachy. Tu się główkuje. Nie wolno dać się wyprowadzić z równowagi. Sylwia Gruchała obiecuje, że stało się to po raz ostatni.

MICHAŁ WÓJCIK

Fot. JACEK MARCZEWSKI/WWW

ATLAS SZTUKI
ATLAS
1965/1-∞
OPALKA
10.10 – 07.12 2003
ATLAS SZTUKI
ATLAS
90-006 Łódź, ul. Piotrkowska 116, www.atlassztuki.pl, info@atlassztuki.pl
wystawa otwarta: wtorek-piątek 16.00-20.00, sobota-niedziela 11.00-17.00
patronat medialny
TVP 3
RMF FM
PRZEKRÓJ
EXIT
art
gazeta

NIE MÓW DO MNIE TATA FISZA

FILIP ŁOBODZIŃSKI: Zapowiadałeś, że kończysz z graniem piosenek. Nie dotrzymujesz słowa. „Voo Voo z kobietami" to kolekcja piosenek. To przez te kobiety?

WOJCIECH WAGLEWSKI: Zaśpiewały tu Ula Dudziak i Ania Jopek, wybitne artystki o jazzowej proweniencji. W przeciwieństwie do typowych piosenkarek one traktują swoją twórczość jako część większego dzieła. Im nie trzeba akompaniować. Ania zaśpiewała bardzo skromnie, ale zbudowała filozofię piosenki „Moja broń", uruchomiła wyobraźnię w sposób niedostępny piosenkarkom. Ula – wiadomo: pierwsza liga światowego śpiewania. Granie piosenek w taki sposób nie ma nic wspólnego z graniem piosenkowo-popowym, aczkolwiek w efekcie w procesie – nie bójmy się tego słowa – twórczym powstało parę całkiem zgrabnych piosenek.

Zawsze przeciwstawiasz pop temu, co robisz. Czemu tylu ludzi jednak się do niego garnie?

– To wynika z samej nazwy. Pop jest popularny, czyli musi zawierać jakąś oczywistość, banał, nie może razić ludzi niezrozumiałością. Musi być prosty, bo masowa opinia jest prosta. A poza tym musi coś przypominać – zgodnie z teorią inżyniera Mamonia-Maklakiewicza. Choć oczywiście zdarzają się rzeczy piękne, a przy okazji popularne. To zasługa rozumnej promocji.

Kilka lat temu odchodziłeś z wielkiej wytwórni do niezależnej, teraz wróciłeś do wielkiej. Nie da się grać bez wielkiego biznesu?

– Mit produkcji niezależnej objawił swoją prawdziwą twarz. Mit, że w niezależnej wytwórni wszyscy chcą zrobić wartościowy produkt, nie patrząc na zysk. Nasza niezależna wytwórnia była mało zainteresowana produktem. Rozumiem jeszcze, że nie mieli pieniędzy na pewne działania, ale tu brakowało związków duchowych! Człowiek, który nas wydawał, nie był na ani jednym naszym koncercie... To, delikatnie mówiąc, brak szacunku. Wyszło nam więc, że rzeczy trudne lepiej robić z firmą, która jest profesjonalnie przygotowana nawet do ryzyka. Którego zresztą staramy się nie stwarzać.

Czy w Polsce jest możliwa scena niezależna?

– Hip-hop na przykład jest całkowicie niezależny, choć korzysta – i dobrze – z profesjonalnej dystrybucji. Dystrybucja jest ważna. W Polsce popełniono błąd nadmiernego optymizmu: kiedyś płyty sprzedawały się w nakładzie ponad stu tysięcy, firmy się rozrosły, a teraz średni nakład płyty wynosi około pięciu tysięcy i wytwórnie cierpią na przerost formy nad treścią.

Zapowiadałeś, że kończycie z twórczością dla dzieci, bo zaczynacie grać dla dorosłych. A tymczasem na niedawnym koncercie w Warszawie przedstawiałeś Voo Voo jako zespół muzyki młodzieżowej.

– Gramy muzykę dorosłą, czyli taką, która zawiera w sobie trochę wiedzy. A przy okazji ma bardzo ważny dla naszego zespołu element, czyli trans. Spontaniczność opanowana przez intelekt, jak powiedział pewien trębacz. Nasza twórczość różni się od popu elementem pewnego niepokoju. Poza tym nasze piosenki ewoluują, traktujemy je jako standardy. Wersji „Nim stanie się tak jak gdyby nigdy nic" czy „Floty zjednoczonych sił" było już ze 150. Ta muzyka ma nawet, o paradoksie, więcej transu niż kiedyś. Zrezygnowaliśmy z debilnego pomysłu używania klawisza, z obłędnych

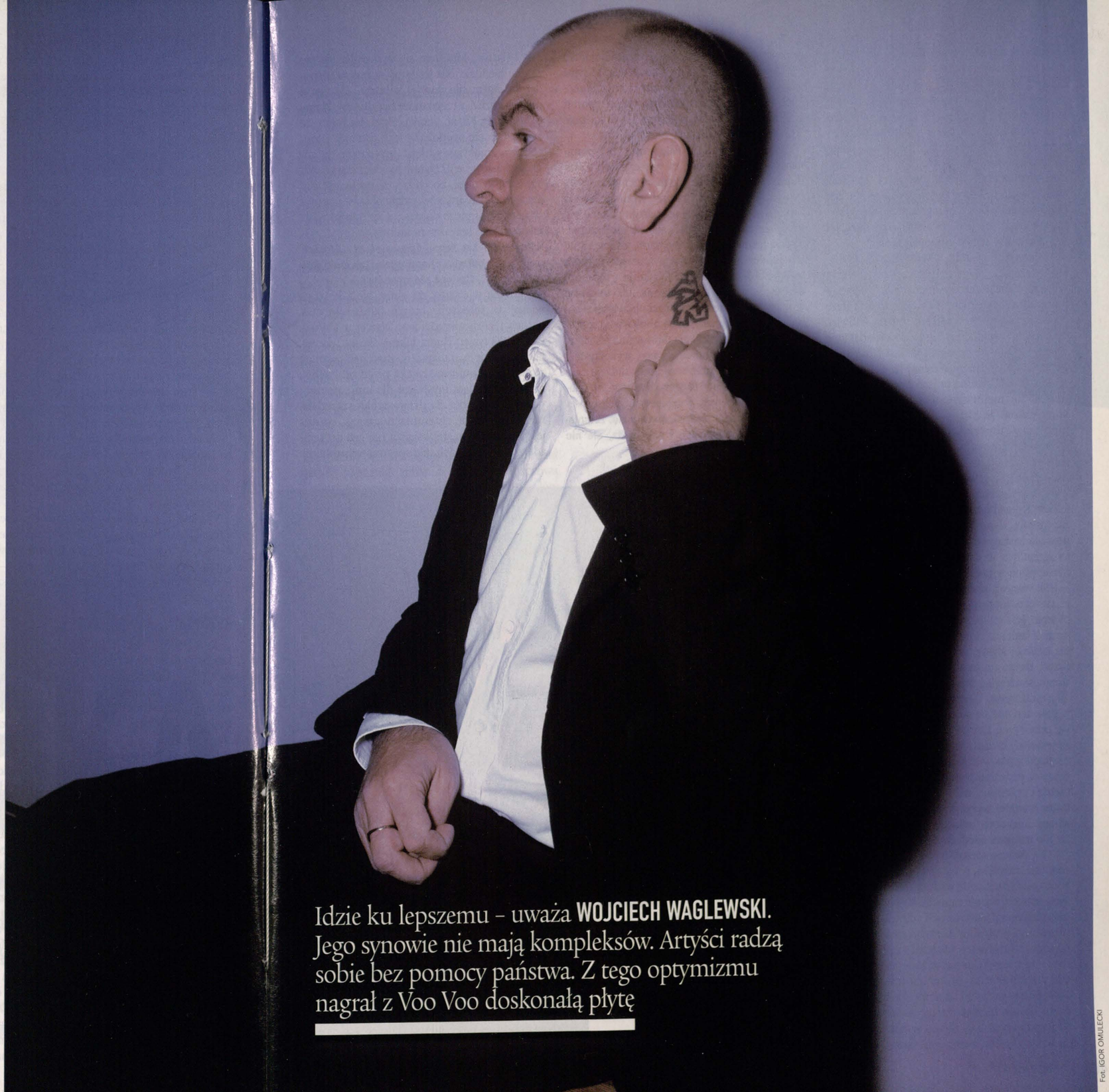

Idzie ku lepszemu – uważa **WOJCIECH WAGLEWSKI**. Jego synowie nie mają kompleksów. Artyści radzą sobie bez pomocy państwa. Z tego optymizmu nagrał z Voo Voo doskonałą płytę

Fot. IGOR OMILECKI

solówek, perkusję ograniczyliśmy do najbardziej elementarnego zestawu. A że zapowiedziałem zespół jako młodzieżowy... To trochę żart sceniczny, element autoironii. Z drugiej strony mamy bardzo poważny atut – energię. Widziałem parę zespołów bardzo młodzieżowych, które mnie znudziły, bo grały ospale. Nam się udaje doprowadzać publiczność do stanu energii wręcz punkowej, szamańskiej, rockandrollowej. Jesteśmy spontaniczni, choć czasem okiełznujemy to przez umysł.

Najnowsza płyta jest znacznie cieplejsza niż poprzednie. W twoim życiu jest lepiej?

– Mam piękną żonę, dwóch niezwykle utalentowanych, przystojnych synów, jestem w miarę zabezpieczony finansowo, wykonuję pracę, którą uwielbiam, i daję nią radość paru osobom. Nie ma powodu się smucić. Mówiąc poważniej, czuję dobry powiew. Kiedyś nie spodziewałem się, że upadnie mur berliński...

Że „ta zima kiedyś musi minąć"?

– Tak. A teraz pełna radość z powodu zmian udziela się moim synom. Oni już nie mają kompleksów. To niebywałe. Dlatego opuszcza mnie aura myślenia publicystycznego. Owszem, konflikt, walka są w sztuce niezbędne, ale teraz powód owej walki się zmienia: kiedyś walczyłem przeciwko czemuś, a teraz o coś. Uzyskałem spokój wewnętrzny. Bardzo chciałem, żeby ta płyta była wyrafinowana. Skoro zaprosiłem dwie wspaniałe kobiety, ta płyta musiała zasługiwać na ich obecność. Jest mało zgrzytliwa w dźwiękach, jest też w miarę harmonijna w przekazie słownym.

Jeśli wszyscy narzekają, jeśli zewsząd atakuje cię brzydota, to trzeba na przekór szukać piękna. Jest tu piosenka „Ćma", gdzie śpiewam o śmierci: „Coraz częściej mi się śni, coraz częściej słyszę, jak ktoś otwiera z hukiem drzwi, drzwi na tamten świat". Ona zawiera silną wskazówkę, żeby szukać w życiu pogodniejszych stron. U nas, gdy jakieś dzieło zdobędzie uznanie na świecie, to tym bardziej mu się przysrywa. Czy to z kompleksów wynika? Że jesteśmy biedni? Sami z kolei narzekamy, że za granicą nas widzą jako tych bidaków, a my przecież jesteśmy wysocy i przystojni... Kompletne poplątanie, nic z tego nie rozumiem.

Coraz trudniej wyżyć z muzyki. Zamykane są sklepy muzyczne, znikają giełdy płyt... Muzyka już nie nakręca młodych ludzi?

– Na świecie sprzedaż płyt spadła o 10 procent, ale pamiętaj o ogromnej skali piractwa. U nas ten spadek jest większy. Z drugiej strony życie koncertowe nie zamiera. Mój pogląd na temat preferencji estetycznych mieszkańców Polski nie jest pochlebny. Czytelnictwo leci na łeb na szyję, z filmami jest tragicznie, z płytami również – to nie wynika ze zmiennej mody, ale raczej z zachłyśnięcia się kulturą masową, które świat przeżywał ze 20 lat temu. Ale tak naprawdę to skutek niezbyt dużego wyrobienia estetycznego i etycznego. Kiedyś w Polsce posiadanie to był obciach, a teraz przeciwnie. Wystarczy popatrzeć na preferencje polityczne: fenomen Samoobrony nie wziął się z powietrza. Misyjna rola telewizji publicznej? Nawet nie ma co mówić. Tomek Stańko podbił Amerykę, a reportaż o tym emituje telewizja regionalna o godzinie 13... To nietakt, delikatnie mówiąc.

Choć ma to i pozytywne strony, przypominają się czasy komuny: im więcej głupoty i indoktrynacji medialnej, tym mocniej odżywa rynek alternatywny. Przygasł wprawdzie etos buntownika, niespokojnego artysty, który nie musi się zaraz nachapać, ale nie ginie zupełnie. Są festiwale, są techno party, jeszcze tli się ten folklor miejski, którego muzyka rockowa jest ważnym elementem. Nadal jest hip-hop. Czasami taki jak Samoobrona, ale to wciąż w miarę niekomercyjna forma opowieści o sobie. Nie ma dramatu, choć ubolewam, że rzeczy wartościowe zanikają. Muzycznie jesteśmy potęgą, ale nie potrafimy tego wykorzystać. Nasze stare płyty jazzowe skupują didżeje z całego świata, mamy świetnych muzyków klasycznych, ludowych, a media tym gardzą.

Polska, wchodząc do Unii, obawia się, że kojarzy się tylko z bigosem i Auschwitz, ale nic z tym nie robi.

– Właśnie. Mnóstwo się dyskutuje, ale nic za tym nie idzie. Nie jesteśmy za mocni gospodarczo, nasza siła tkwi w kulturze. Ale naród musi wiedzieć, z czego może być dumny. Mamy Góreckiego, Kilara, Stańkę. Skąd wiadomo, że Stańko się nie spodoba? Może takiemu panu, co nigdy trąbki nie widział, przypadnie do gustu taki instrument? Dajmy ludziom szansę. Ale jestem optymistą, bo widzę, że większość naszych wielkich artystów radzi sobie bez pomocy państwa, i może dobrze... Odczuwam tylko niedosyt jako konsument kultury.

Kilkanaście lat temu śpiewałeś w „Sforach zmor": „Metafizyka z nami zginie, jak ginie dziś ducha moc". Czy coś się zmieniło?

– Media wykazują, że ginie, ale z kolei ja wierzę w młodych, którzy bardzo mocno chłoną rzeczy wartościowe. Nawet u Owsiaka te 300 tysięcy ludzi łaknie czegoś, co ma jakiś wymiar metafizyczny, ma chęć manifestować nonkonformistyczną postawę. Niebywałym tryumfem myśli jest dla mnie poczytność Masłowskiej. Ta dziewczynka sprzedała niebywałą liczbę egzemplarzy czegoś, co nie jest harlequinem. Jej książka nie jest opisem zdarzeń dresiarskich, ale sprytnie wymyśloną smutną bajką, wymaga przygotowania intelektualnego. Nie jest tak źle.

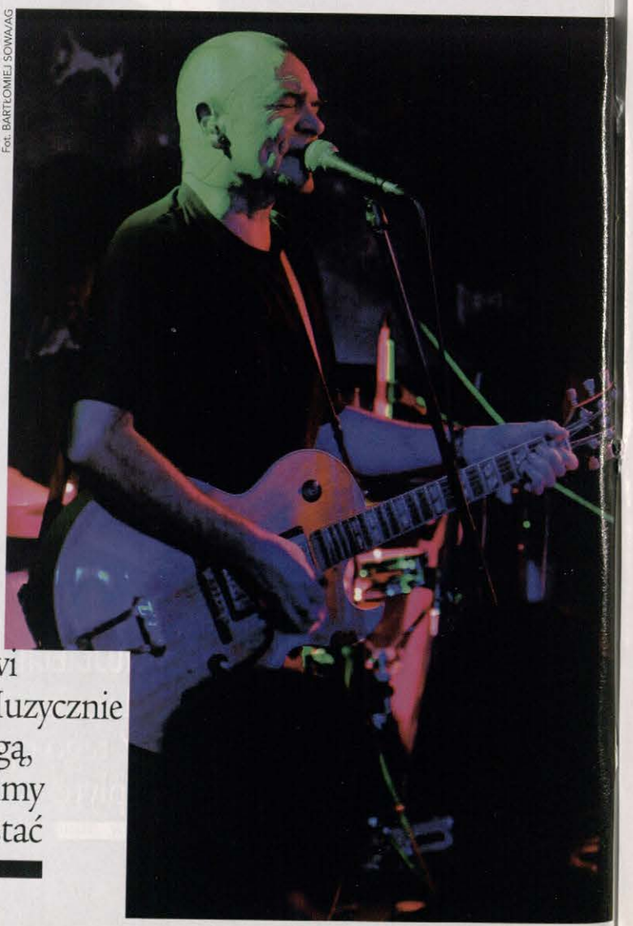

Fot. BARTŁOMIEJ SOWA/AG

Nasza siła tkwi w kulturze. Muzycznie jesteśmy potęgą, ale nie potrafimy tego wykorzystać

Podkreślasz wagę życia koncertowego. Czym jest dla was koncert?

– To przywilej muzyków, bo tylko my mamy szansę natychmiast sprawdzić efekt naszych dokonań. Zespół Voo Voo zdołał przyzwyczaić publiczność, że jedyną rzeczą, jakiej może się po naszym koncercie spodziewać, jest to, że niczego się nie może spodziewać. Nasze koncerty są niezwykle emocjonalną formą komunikowania się z ludźmi.

Zauważyłem sprzężenie zwrotne pomiędzy popularnością twoją i twoich synów (Fisza, czyli Bartka, i DJ-a Emade, czyli Piotra). Im więcej mówi się o nich, tym chętniej prasa uderza też do ciebie.

– Fakt, w Gdańsku graliśmy koncert, który został dla żartu nazwany „Tata Fisza", co mnie ubodło strasznie... Mówiąc poważnie, to jest uczciwe, napędzamy się nawzajem, jesteśmy pierwszymi recenzentami naszych wzajemnych dokonań. Synowie są teraz w momencie buntu estetycznego, uprzedzali, że następna ich płyta to będzie masakra.

Inspiruje cię twórczość synów?

– Inaczej bym ich na swoje płyty nie zapraszał! Bartek zapoznał mnie z muzyką nujazzową. Dawny jazz, gdzie grało się 20-minutowe solówki, jest fajny, ale jako skansen, tak jak Rolling Stonesi są skansenem rock and rolla. Wszyscy patrzą, czy oni już się przewrócą, czy jeszcze parę lat postoją. Proszę bardzo, ale teraz muzyka klubowa wraca do źródeł. Nu-jazz jest taneczny, pełen rytmu i melodii, ma dawać zabawę. Piotrek z kolei jest producentem, zaraził mnie patentami z tej dziedziny, parę jego pomysłów zerżnąłem na poprzedniej płycie pod tytułem „Płyta". Ale nie staramy się wpływać na siebie, to się dzieje samo. Ja nie wtrącam się w to, co oni robią, uważam wręcz, że to jest fantastyczne, gdybym był w ich wieku, robiłbym dokładnie to samo co oni.

Rzadko się zdarza, żeby znani artyści wytrzymywali wiele lat w tym samym związku uczuciowym. Jak to się dzieje, że członkowie Voo Voo odchodzą od schematu kolorowych tygodników? Czerpiecie energię z innego wymiaru?

– To tygodniki kolorowe odchodzą od schematu. Leszek Janerka jest z tą samą żoną od lat, Kazik z Anią też. Media się posiłkują tym, co chore, najczęściej skandalami. Znani aktorzy pojawiają się na okładkach z powodu rozterek sercowych... Z tego powstaje jakiś dziwny obraz artysty, który jest artystą, ponieważ ktoś go opuścił... A artysta żyjący tradycyjnie jest medialnie nudny. Krzysztof Majchrzak gdzieś mówił ostatnio o aktorach, którzy sami dzwonią do pism, żeby powiedzieć, że ich ktoś rzucił... To niemęskie. Żenujące. A my nie jesteśmy niezwykli. Mam tylko nadzieję, że to ten świat tworzony przez media jest „niezwykły" i nieprawdziwy.

ROZMAWIAŁ FILIP ŁOBODZIŃSKI

RECENZJA PŁYTY „VOO VOO Z KOBIETAMI" NA STRONIE 78.

ŚWIECI

Fot. WŁODZIMIERZ STĘPIŃSKI/WYBRZEŻE GDAŃSK/PRZEGLĄD SPORTOWY

Katarzyna Nadolska

NASZA W FINALE

W niedzielę w Los Angeles odbył się mecz finałowy w piłce nożnej kobiet między Niemcami i Szwecją. Jedną z asystentek była nasza rodaczka Katarzyna Nadolska. Jest pierwszą Polką wybraną do składu sędziowskiego na mecz finałowy. Dotąd podobnego zaszczytu dostąpił tylko jeden Polak – Michał Listkiewicz.

Pani Katarzyna ma 30 lat, pochodzi z Radomia. Jest nauczycielką matematyki i matką dwojga dzieci. Do sędziowania namówił ją sześć lat temu mąż, trener lokalnej drużyny. Szło jej tak dobrze, że w 2002 roku pojechała do Szwecji sędziować mecze mistrzostw Europy do lat 19, a potem do Kanady na mistrzostwa świata tej grupy wiekowej. Była jedną z dziewięciu sędzin z Europy zaproszoną na mistrzostwa świata seniorek.

W kraju sędziuje mecze IV ligi męskiej. Zdarza się, że gdy odgwiżdże faul dla drużyny gości, z trybun zamiast „Sędzia kalosz!" słychać „Baby do garów!", ale pani Katarzyna nie zwraca na to uwagi. Kibice raczej ją lubią. Kiedyś podczas meczu zaczęło padać i na boisko wszedł podchmielony kibic z parasolką, „żeby się pani Kasia nie przeziębiła".

ŚWIECI

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Krzysztof Gawronkiewicz

EUROKOMIKS

„Otto Bohater" to tytuł historii rysunkowej, która zwyciężyła w międzynarodowym konkursie projektów komiksowych francuskiego wydawnictwa Glenat i telewizji Arte. Praca okazała się najlepsza spośród aż 600 projektów przysłanych z 28 krajów Europy.

– To chandlerowska opowieść detektywistyczna osadzona w polskich realiach. Dużo w niej burleski, trochę fantastyki. Tłem akcji i drugim bohaterem historii jest Warszawa, która fascynuje nas swoją dziwną, pomieszaną architekturą – opowiada autor rysunków Krzysztof Gawronkiewicz.

Krzysztof Gawronkiewicz ma 34 lata, pochodzi z Warszawy. Rysuje komiksy, odkąd pamięta. W pierwszej klasie podstawówki rysował odcinki serialu „Kosmos 1999", które wyłudzał od niego starszy kolega, obiecując w zamian komiksy zachodnie (– Nigdy ich nie dostałem – mówi Krzysztof). Zdobył popularność jako rysownik popularnego komiksu „Mikropolis".

Drugim autorem sukcesu jest scenarzysta „Ottona..." Grzegorz Janusz, z zawodu nauczyciel niemieckiego, a z zamiłowania autor opowiadań fantastycznych. Zwycięzcy otrzymali pięć tysięcy euro i obietnicę wydania zwycięskiego komiksu.

ŚWIECI

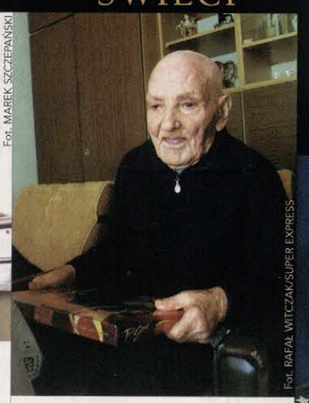

Fot. RAFAŁ WITCZAK/SUPER EXPRESS

Paweł Parniak

MAMY NAJSTARSZEGO

Gdy pod koniec września zmarł 114-letni Japończyk Yukichi Chuganji, okazało się, że bardzo blisko światowego rekordu długości życia wśród mężczyzn jest nasz rodak. Mieszkający w Woliborzu na Dolnym Śląsku Paweł Parniak urodził się 27 lutego 1890 r. w leżącym dziś na terenie Ukrainy Nowosiółku Biskupim koło Tarnopola. Mając 113 lat i 7 miesięcy, jest tylko o 10 tygodni młodszy od uznawanego teraz za najstarszego na świecie Hiszpana Joana Riudavetsa Molla.

Paweł Parniak wciąż nieźle się trzyma. Ostatnio gorzej słyszy i wzrok mu się popsuł, ale ciągle chodzi na spacery i przyśpiewuje. Prowadził kiedyś chóry kolędnicze i zna mnóstwo kolęd – tyle, że nawet księża dziwią się, jak to możliwe. Nigdy nie palił papierosów, za to zawsze uwielbiał czosnek. Całe życie pracował w polu, do początku lat 70. prowadził własne gospodarstwo. Jeszcze jako 95-latek pielił na działce truskawki i nie chciał słyszeć o odpoczynku. Najbardziej lubi siedzieć blisko pieca i brać gorące kąpiele z pianą. Doczekał się 11 wnuków, 28 prawnuków i 20 praprawnuków.

SPADA

Fot. MACIEJ MAGIERZYŃSKI/REPORTER

Eugeniusz Mleczak

OFIARA ROLANDA

Jak niebezpieczna jest praca rzecznika prasowego, przekonał się piastujący tę funkcję w Ministerstwie Obrony Narodowej pułkownik Eugeniusz Mleczak. Rozgłaszanie rewelacji naszych wojskowych przebywających w Iraku na temat znalezionych tam francuskich rakiet Roland pochodzących ponoć z 2003 roku kosztowało go utratę stanowiska.

Choć te rewelacje brzmiały nieprawdopodobnie, były głośno powtarzane na wszystkich szczeblach – od saperów w Iraku po szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, wreszcie po rzecznika MON. Nikomu nie przyszło do głowy sprawdzenie wiadomości po cichu u źródeł. Gdy Francuzi oświadczyli, że znalezione rakiety od dawna nie są już produkowane, Polacy wpadli w popłoch. Podczas szczytu Piętnastki w Rzymie premier Miller poproszony przez Chiraca na bok nieźle najadł się wstydu.

Szef sztabu generał Piątas zrzucił winę na żołnierzy, którzy błędnie odczytali datę na zasobnikach, a minister Szmajdziński uznał wypowiedzi Mleczaka za nieautoryzowane. Temu ostatniemu, być może najmniej winnemu, nie pozostało nic innego, jak złożyć prośbę o dymisję.

W poniedziałek 20 października w Gazecie Wyborczej

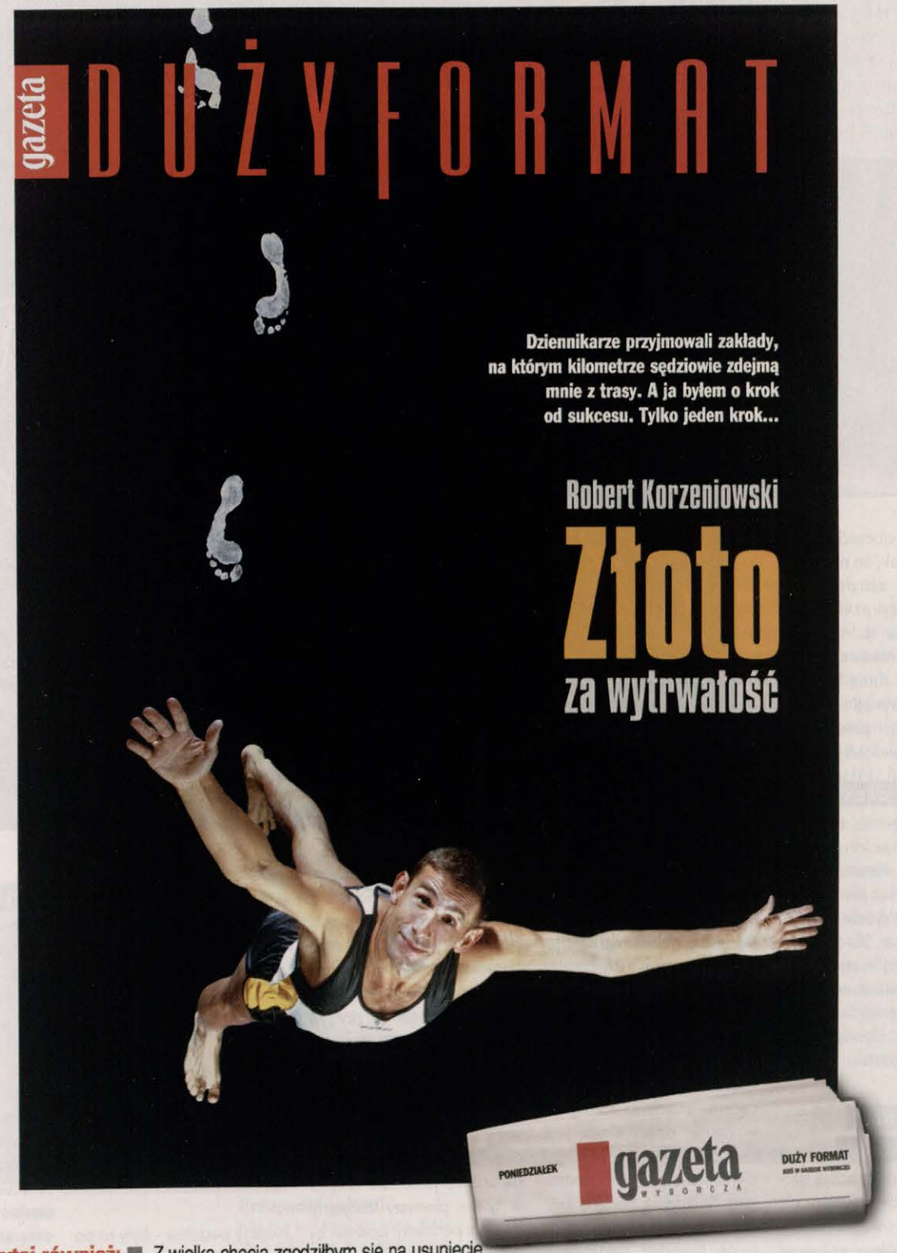

Przeczytaj również: ■ „Z wielką chęcią zgodziłbym się na usunięcie jąder. Błagam o to! Ale odpowiedzieli mi z prokuratury, że w Polsce amputacja jest przestępstwem" – zwierzał się Bogdan B., recydywista pedofil. Przestępcy seksualni wychodzą na wolność najczęściej po trzech, czterech latach. Ponad 80 procent z nich ponownie popełnia przestępstwo. Zwykle już po kilku miesiącach. Czy można wyleczyć seksualnego przestępcę? – reportaż Katarzyny Surmiak-Domańskiej

Żebyś wiedział

Po 40. roku życia każdy jest już odpowiedzialny za wygląd swojej twarzy.
JEAN LOUIS AGASSIZ (1807–1873), ZOOLOG SZWAJCARSKI

Gorsza tusza niż obcasy

Zmiany zwyrodnieniowe stawu kolanowego występują dwa razy częściej u kobiet w wieku około 65 lat niż u mężczyzn z tej grupy wiekowej. Różnicy upatrywano w noszeniu przez pa-

Fot. SCOTT FAULKNER/CORBIS/FREE

nie wysokich obcasów. Okazało się jednak, że noszenie butów na obcasie nie zwiększa ryzyka choroby. Sprzyja jej za to nadwaga przed 40. rokiem życia, wcześniejszy uraz kolana, choroba zwyrodnieniowa stawów stopy i palenie dużej ilości papierosów.

Awans cieszy

Jak zaoszczędzić, a mimo to mieć zadowolonych pracowników? Awansuj ich. Podwyżka nie jest wtedy konieczna. Wyższe stanowisko daje o 50–60 procent większą satysfakcję z wykonywania zawodu niż wysokość pensji – orzekli naukowcy z University of Warwick. Zbadali 16 266 osób.

Śniadanie na humory

Dziewczynki potrzebują bardziej sycących śniadań niż chłopcy, by osiągać dobre wyniki w szkole – wskazują najnowsze wyniki badaczy z Irlandii Północnej.

[z bliska]

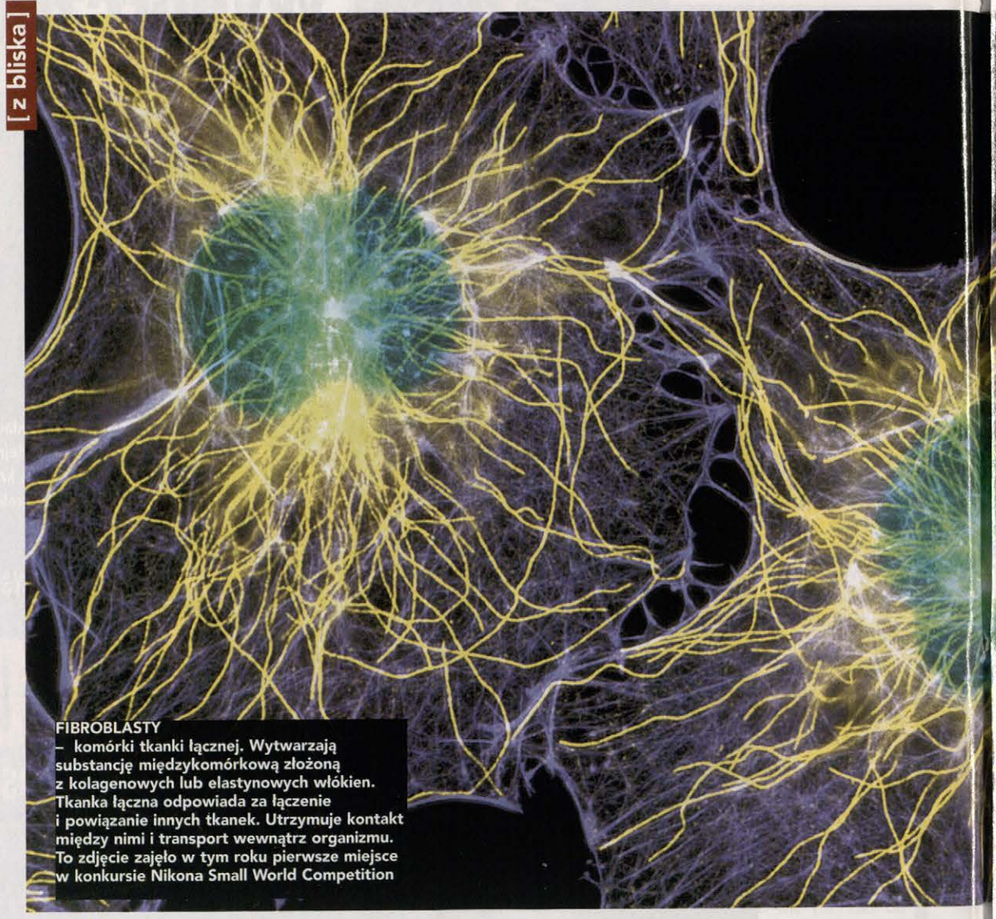

FIBROBLASTY – komórki tkanki łącznej. Wytwarzają substancję międzykomórkową złożoną z kolagenowych lub elastynowych włókien. Tkanka łączna odpowiada za łączenie i powiązanie innych tkanek. Utrzymuje kontakt między nimi i transport wewnątrz organizmu. To zdjęcie zajęło w tym roku pierwsze miejsce w konkursie Nikona Small World Competition

Fot. DR TORSTEN WITTMANN, THE SCRIPPS RESEARCH INSTITUTE, ZWYCIĘZCA KONKURSU NIKON SMALL WORLD 2003

Chłopcy osiągają lepsze wyniki w testach na koncentrację uwagi i zapamiętywanie, gdy zjedzą rano mały posiłek i są nieco głodni, podczas gdy dziewczynki muszą zjeść pożywne śniadanie, by osiągnąć satysfakcjonujące efekty. Zdaniem autorów wpływ sycącego śniadania na wyniki w nauce dziewczynek jest związany z faktem, że częściej ulegają one złym nastrojom. Śniadanie będące źródłem węglowodanów i białek może łagodzić negatywne nastroje i eliminuje ich wpływ na wyniki w nauce.

Prarower

W japońskim dokumencie pochodzącym z 1732 roku odnaleziono projekt pojazdu przypominającego rower. Europejczycy wpadli na pomysł zrobienia roweru niemal sto lat później. Japoński rower przypomina co prawda łódź bez dna, ale ma zaawansowany układ kierowniczy i napędzany jest pedałami. Europa znowu pozostała daleko w tyle – pierwszy klasyczny rower z pedałami powstał tu dopiero w 1844 roku.
Zgodnie z informacjami znalezionymi w XVIII-wiecznym dokumencie rower rozwijał prędkość niemal 15 kilometrów na godzinę i był w stanie pokonywać niewielkie wzniesienia. Ciekawie rozwiązano

Fot. MANICHI

kwestię pedałów – były to po prostu drewniane sandały umocowane do korby napędzającej koła.

Więcej światła

Klucze, szminka, dokumenty, wizytówki, komórka, chusteczki, szczotka do włosów, tabletki, długopis – to tylko kilka z przedmiotów, które mieści przeciętna damska torebka. Jak w tym wszystkim odnaleźć dzwoniący nagle telefon? Niemiecka firma Bree znalazła rozwiązanie. Na targach w Offenbach zaprezentowała torebkę z oświetleniem. Wyświetlająca warstwa elektroiluminescencyjna jest umieszczona pomiędzy powłokami przewodzącego polimeru. Światło włącza się

Fot. BAYER AG

z otwarciem zamka. Seryjna produkcja – za kilka lat. Podobna technologia ma zastąpić oświetlenie wnętrza samochodów.

Polacy nie kochają się przez stres

66% Polaków miało „seksualne trudności" lub obawy związane ze swoją seksualną sprawnością

65% z nich nie umiało zdefiniować swoich problemów

31% za kłopoty w łóżku czyniło odpowiedzialnymi zmęczenie i stres

29% problemy seksualne przypisywało złemu samopoczuciu i chorobie

19% przeszkadzała obecność innych w domu

Badanie przeprowadził seksuolog, doktor Zbigniew Izdebski w grudniu 2001 roku na 3200 Polakach w wieku od 15 do 49 lat.

Fot. PICTURE/FREE

Skuteczna antykoncepcja dla cierpliwych mężczyzn

Męska antykoncepcja – w stu procentach bezpieczna i efektywna – to najnowsze odkrycie australijskich naukowców – pisze „Journal of Clinical Endocrinology and Metabolism". Metoda polega na połączeniu wszczepianego pod skórę implantu uwalniającego testosteron i zastrzyków z progestagenów. Oznacza to, że roztargnieni panowie nie będą musieli pamiętać o łykaniu codziennie pigułki – jak muszą to robić kobiety. Naukowcy z Anzac Research Institute z Sydney zastosowali tę metodę już na 55 mężczyznach. W każdym przypadku w stu procentach chroniła przed ciążą.

Implant, który uwalnia męski hormon – testosteron – wymaga comiesięcznej wymiany. Trzy razy w miesiącu panowie muszą też przyjmować zastrzyki z progestagenów – hormonów używanych także w pigułkach antykoncepcyjnych dla pań. Hormony te „zagłuszają" nakazujące produkcję nasienia sygnały płynące z mózgu do jąder. Ale zaburza to także wytwarzanie przez jądra testosteronu – dlatego mężczyźni muszą go przyjmować z zewnątrz. Gdyby tego nie robili, osłabłoby ich libido, zaczęliby też mieć kłopoty ze zdrowiem.

Nie zauważono żadnych skutków ubocznych tej metody – australijscy badacze jako pierwsi opracowali w pełni bezpieczną i skuteczną terapię. Gdy jej zaprzestano, normalna płodność powróciła u panów w ciągu kilku miesięcy.

Poprzednie próby stworzenia antykoncepcji dla mężczyzn kończyły się niepowodzeniem z powodu niemożności wyeliminowania skutków ubocznych: pogorszenia nastroju i obniżenia pociągu seksualnego.

Jak szybko powstanie na bazie tego odkrycia komercyjny lek i czy będzie miał postać bardziej przyjazną od zastrzyków – zależy od zainteresowania firm farmaceutycznych. (owo)

[Zagadka]

Przesądni sułtani

Nie ma sułtana bez żony. Każdy z sułtanów ma inną liczbę żon, ale jako że sułtani są przesądni, to żaden z nich nie ma dokładnie 13 żon. Żaden z sułtanów nie ma też więcej żon, niż jest sułtanów. A sułtanów jest tylu, że więcej już być nie może. To ile mają w sumie żon?

ODPOWIEDŹ Z POPRZEDNIEGO NUMERU: ZDANIE ZAPISANE W ALFABECIE MORSE'A TO: „WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK I MRUGA".

medycyna

MYSZY I LUDZIE

Olga Woźniak
zdjęcia Heidi & Hans – Juergen Koch/east news

Czy laboratoryjne myszy są dobrym materiałem do studiów nad ludzkimi chorobami i zachowaniem? Coraz częściej wśród samych naukowców słyszy się głosy powątpiewania. Wygląda na to, że myszy robią nas w konia

Na całym świecie w tej właśnie chwili w małych sterylnych klatkach żyją sobie tysiące tysięcy laboratoryjnych myszy. Nie martwią się o jedzenie ani o miejsce do spania. Na ich życie nie czyhają drapieżniki. Te komfortowe warunki lokalowe myszy odpracowują w służbie Ludzkości.

Są wykorzystywane do różnego rodzaju badań. Poddaje się je wszystkim możliwym testom. Uczą się naciskać dzwonki, biegać po labiryntach i wielu, wielu innych przydatnych umiejętności. Niektóre myszy na potrzeby testów są modyfikowane genetycznie. Parę precyzyjnych ruchów w ich DNA i oto mamy myszki chore na alzheimera czy parkinsona. Chorobliwie otyłe, zapominalskie, łyse, chore na raka lub cukrzycę. Są potrzebne. Z ich obserwacji ludzie dowiadują się najrozmaitszych rzeczy o sobie.

Ostatnio okazuje się jednak, że może być w tym niewiele prawdy...

Myszy wariatki

Brytyjski pisarz Douglas Adams w słynnej już powieści science fiction „Autostopem przez galaktykę" widział w laboratoryjnych myszach wielki spryt i inteligencję. Uważał, że ukrywają one przed nami swą prawdziwą naturę i kierują naszym myśleniem.

„Wystarczy nagle źle pobiec w labiryncie, zjeść zły kawałek sera, nieoczekiwanie zdechnąć na wściekliznę... – pisał. – Gdy się to odpowiednio przeprowadzi, efekt może być niezwykły. Białe myszy są niezupełnie tym, na co wyglądają. Jest to

W im lepszych warunkach wychowywane są zwierzęta laboratoryjne, tym są sprawniejsze. W podwzgórzu – części mózgu odpowiedzialnej za pamięć – myszy wychowywane w lepiej wyposażonych klatkach mają o 15 procent więcej komórek nerwowych niż myszy hodowane tak jak zazwyczaj

jedynie projekcja niewypowiedzianie hiperinteligentnych, panwymiarowych istot w naszą czasoprzestrzeń. Wszystkie wygłupy z serem i piskiem to kamuflaż".

I choć większość naukowców z pewnością nie zna książki Adamsa, w naukowym świecie coraz głośniej mówi się o tym, że wiele doświadczeń z myszami w roli głównej może być niewiarygodnych. Powodem nie jest tu bynajmniej niebywały spryt gryzoni, ale owe – uważane przez nas za komfortowe – czyste, schludne klatki, w których lokujemy zwierzątka.

Okazuje się, że te wyprodukowane z dbałością o wszelkie przepisy mysie domki mogą wywoływać u zwierząt choroby. A chore zwierzę to kiepski materiał do testów na skuteczność wielu leków czy badania prawidłowości zachowań. Oczywiście nie ma tu mowy o żadnych chorobach zakaźnych – co to, to nie – mysie domki są nad wyraz sterylne. Nie ma w nich żadnych zakamarków, w których mogłyby się zagnieździć chorobotwórcze bakterie czy wirusy. Co więcej – nie ma w nich w ogóle żadnych zakamarków. Od mieszkania w takich domkach myszy po prostu wariują. Podobnie jak zwariowaliby ludzie w zbliżonych warunkach.

Jak w szpitalu

Przeprowadzono już wiele eksperymentów na tak zwaną deprywację sensoryczną. Pod tym terminem kryje się po prostu... nuda. To stan, którego żaden mózg długo znieść nie może. Mózg musi być stymulowany, musi działać, musi mieć stały dopływ bodźców, którymi może się zajmować. Inaczej wariuje.

W 1954 roku na przykład trzech psychologów: Bexton, Heron i Scott, płaciło studentom 25 dolarów na dzień, by jak najdłużej pozostawali w wygodnym pokoju, w którym niemal do minimum zredukowano dopływ jakichkolwiek bodźców – mówiąc inaczej, gdzie panowała śmiertelna nuda. Mimo wizji łatwego zarobku żaden ze studentów nie wytrzymał tam więcej niż kilka godzin. Najwytrwalsi opowiadali o halucynacjach. A myszy?

– Czy wiecie, co wasze robią myszy, kiedy wychodzicie z laboratorium? – zapytał pewnego razu badaczy Hanno Würbel, naukowiec z Uniwersytetu Giessen w Niemczech zajmujący się etologią – zachowaniem się zwierząt. Nikt nie umiał mu odpowiedzieć na to pytanie, bo nikogo to nigdy nie obchodziło. Niesłusznie.

Würbel nagrał z ukrycia 24-godzinny film z życia laboratoryjnych myszy. Co zobaczył? – Gdybym miał szukać porównania ze świata ludzi, to najbardziej przypominało to filmy kręcone w zamkniętych zakładach psychiatrycznych w latach 60. – oświadczył.

Myszy nie miały dopływu żadnych bodźców, siedziały godzinami w wygodnych klatkach, w których nie można było nawet zająć się gryzieniem podściółki (bo jej nie było – podłoga była przepisowo ażurowa – by usuwać na bieżąco wszelkie nieczystości). Nie były w stanie nigdzie się schować, nic robić. – To tak, jakby człowieka umieścić w białym, całkiem pustym, sterylnym pokoju – mówi Würbel. – Co byście robili?

Naukowcy przez ujmowanie lub dodawanie pojedynczych genów do genomu myszy wywołują u nich określone choroby. Tymczasem środowisko, w jakim żyje zwierzę, powoduje zmiany w ekspresji genów

Niektóre myszy z wytrwałością godną lepszej sprawy skakały do góry i w dół, do góry i w dół przez całą noc – rekordzistki odbiły się od podłoża 45 tysięcy razy w ciągu doby! Inne gryzonie kilkanaście godzin wciąż w ten sam sposób wspinały się po ściankach terrarium lub uparcie bujały się, trzymając krawędzi. Spadały tylko po to, by powtarzać tę czynność od początku. Bez końca.

Na takie zachowania znajduje się określenie w podręcznikach psychiatrii. To stereotypie. Definiuje się je jako wielokrotne, monotonne wykonywanie stale takich samych czynności ruchowych (na przykład kołysanie się). Spotyka się je najczęściej u autystycznych dzieci lub ludzi chorych na schizofrenię.

Rak rośnie

– Badam zachowanie laboratoryjnych gryzoni od ponad 10 lat – mówi Würbel. – Uważam, że w większości badań używa się upośledzonych umysłowo zwierząt. To zaś może fałszować wyniki. Polepszenie warunków życia tych zwierząt może mieć znaczenie nawet nie tyle etyczne, ile naukowe.

By rozwiać jakiekolwiek wątpliwości, naukowiec zaznacza od razu: – Nie należę do ekologów, nie walczę o prawa zwierząt. Stawiam tylko naukowe hipotezy, które staram się udowodnić. Jedna z nich brzmi: warunki życia laboratoryjnych myszy mają wpływ na ich zdrowie i może to mieć znaczenie dla badań, jakie prowadzi się na tych zwierzętach. To ważne, zwłaszcza że wyniki tych badań potem przenosi się na ludzi.

Niektórzy naukowcy wstawiają czasem do mysich domków kołowrotki, puste rolki po papierze toaletowym albo szeleszczące materiały – próbując naśladować naturalne warunki, w jakich żyją gryzonie. Jednak równie często, o ile nie częściej, inni badacze używają najmniejszych i najgorzej wyposażonych klatek dopuszczanych do użycia przez prawo, by obniżać koszty badań.

A kto zastanawia się, czy gryzoniom przeszkadza palące się światło lub ciągły hałas?

Naukowcy już dawno stwierdzili, że warunki zewnętrzne mają wpływ na układ odpornościowy. Ciągły stres, a takim może być hałas, powoduje obniżenie się odporności. Z badań szczurów wynika natomiast, że pozostawianie ich w ciągłym, nawet przyciemnionym, świetle może przyśpieszać u nich wzrost raka. Jest to spowodowane zahamowaniem wydzielania się hormonu ciemności – melatoniny. Ilu naukowców testujących leki na chorych na raka myszach dba o to, by na noc wyłączać im światło?

Lepsza pamięć

Na szczurach i myszach testuje się nie tylko leki. Bada się też mechanizmy uczenia się i pamięci. Czy warunki, w jakich dorasta gryzoń, mogą wpływać i na wyniki tych badań?

Fred H. Gabe z Salk Institute w La Jolla dużą grupę młodych zwierząt podzielił na dwie. Jedną umieszczono w typowych, ciasnych klatkach (po cztery myszy w każdej) i traktował jak zwykłe zwierzęta laboratoryjne. Druga mieszkała w przestronnych klatkach z mnóstwem zabawek. Poza standardową dietą naukowiec podsuwał wybranym gryzoniom smakołyki. Po 40 dniach myszki poddano testom. Sprawdzano, jak radzą sobie w do połowy zatopionym labiryncie – kiedy odnajdą umieszczoną w jednym z korytarzy ratunkową platformę. Na koniec naukowcy badali, ile komórek mózgowych wytworzyły myszy z jednej i drugiej grupy w podwzgórzu – części mózgu odpowiedzialnej za pamięć i proces uczenia się.

Wyniki pokazały jasno – im „bogatsze" było środowisko, w którym wychowywano zwierzęta, tym lepiej wypadały w testach. W podwzgórzu myszy wychowywane w lepszych warunkach miały o 15 procent więcej komórek nerwowych niż myszy hodowane tak jak zazwyczaj.

– A teraz weźmy badania leków neurologicznych przeprowadzanych na tych zwierzętach – zżyma się Hanno Würbel. – Mogą dawać fałszywe wyniki, gdy stosuje się do nich zwierzęta o gorzej rozwiniętym mózgu.

Dobry model

Eksperymenty dowiodły, że najmniejsze wzbogacenie wyposażenia klatki, w której mieszkają myszy, zmniejsza liczbę zachowań stereotypowych nawet o 40 procent. Dłuższe przetrzymywanie zwierząt w pustej klatce doprowadza zaś do trwałych zmian w ich mózgach – źle wykształca się część mózgu zwana jądrami podstawy odpowiedzialna za powtarzalne czynności.

Joseph Garner z Uniwersytetu Kalifornijskiego studiujący zachowania stereotypowe kazał myszom z rozwiniętymi zachowaniami stereotypowymi (mieszkającym w pustych ciasnych klatkach) i normalnym szukać w labiryncie jedzenia. Znajdowały je w tym samym miejscu. Gdy je stamtąd zabrał, myszy bez stereotypii zorientowały się po 26 próbach. Te ze stereotypią biegały utartą trasą ponad 240 razy. Wiedziały, że nic nie znajdą na końcu labiryntu, ale nie mogły się opanować. Jak badać na takich myszach zdolności uczenia się i pamięć?

– Staramy się, by myszy były modelem zachowania człowieka – podsumowuje wyniki Garner. – Mam wątpliwości, czy myszy wyrwane ze swego naturalnego środowiska to dobry model. Gdy naukowcy testują leki na ludziach, nie trzymają ich w pustych pokojach.

Nie uśmiechajmy się zatem z przekąsem, słysząc protesty ludzi walczących o prawa zwierząt. Ich złe traktowanie może się odbić na nas samych. Jakie myszy, tacy ludzie.

OLGA WOŹNIAK

Na podstawie pisma „Discover" z lipca 2003 roku

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie **www.wiadomosci.wp.pl**

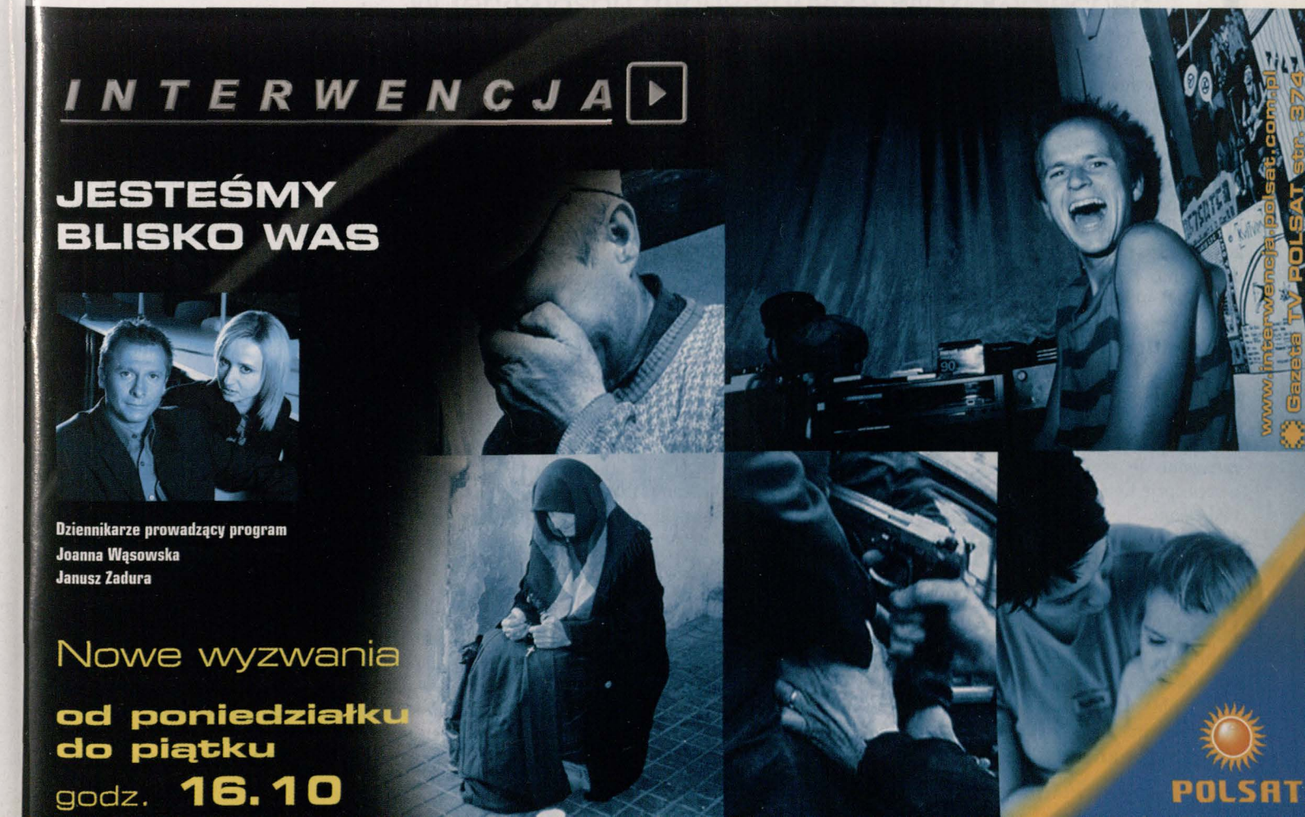

technologia

Polak zrealizował niespełnione marzenie Leonarda da Vinci – zbudował latającą maszynę, która macha skrzydłami

STANISŁAW RECHOWICZ

LOTEM PTAKA

Ludzie uwielbiają ściągać pomysły od natury. Tak powstało zapięcie zwane rzepem czy tkanina Polartec opracowana na wzór sierści niedźwiedzia polarnego. Jest jednak dziedzina, w której naśladowanie przyrody zupełnie nam nie wychodziło. Latanie.

Na pozór wszystko wydaje się proste – wystarczy pomachać skrzydłami, by unieść się nad ziemię. A skoro człowiek nie ma skrzydeł, trzeba mu je przyprawić. Historia milczy o tym, ilu domorosłych konstruktorów zakończyło żywot pod wieżami kościelnymi czy urwiskami.

Około 1490 roku Leonardo da Vinci zaprojektował maszynę, która miała latać, machając skrzydłami. Dziś się uważa, że gdyby dysponowano wówczas odpowiednimi materiałami, uniosłaby się w powietrze. Nie było jednak takich możliwości, więc nie zadziałał żaden z podobnych aparatów. Dopiero gdy zarzucono tę – wydawałoby się oczywistą – koncepcję lotu, maszyny zaczęły unosić się nad ziemię.

Aluminiowy orzeł

Choć od stu lat lotnictwo zmierza w kierunku maszyn o nieruchomych skrzydłach, ludzie nie zrezygnowali z marzenia o zbudowaniu konstrukcji, która latałaby podobnie jak ptaki – ornitoptera.

Te próby napotykały mnóstwo problemów. Większość maszyn albo wcale nie ruszała się z miejsca, albo ich skrzydła się łamały. Jedyne, co udawało się zbudować, to niewielkie latające modele – powstało nawet sporo zabawek napędzanych rozkręcającą się gumką. Przełom udało się osiągnąć sto lat po pierwszym locie braci Wright.

Ryszard Szczepański, lotniarz i konstruktor od 20 lat zajmujący się konstruowaniem ornitopterów, zbudował maszynę, która nie tylko lata, machając skrzydłami, lecz także jest w stanie unieść człowieka.

Budowa modelu, który uniósł się w powietrze, zajęła pięć lat. Wcześniej Ryszard Szczepański zbudował jeszcze dwa prototypy, jednak pierwszy udany lot odbył się na początku sierpnia. W dzienniku konstruktor zapisał: „Piątek, 8 sierpnia, czwarty dzień prób. Górny, boczny wiatr, przy ziemi bezwietrznie. Podczas holowania za samochodem w kierunku zachodnim oderwanie i stabilny lot. Prędkość startu powyżej 40 kilometrów na godzinę, wysokość lotu – do jednego metra, długość lotu – od 100 do 200 metrów".

– To był moment przełomowy – aparat z pełnym obciążeniem oderwał się od ziemi i leciał stabilnym lotem – opowiada z przejęciem Szczepański. – Wtedy po raz pierwszy okazało się, że to urządzenie w ogóle lata.

Maszyna przypomina orła z azteckich rysunków. Zbudowano ją między innymi z aluminium i bambusa oraz syntetycznych tkanin wykorzystywanych między innymi przy konstruowaniu żagli i lotni. Właśnie ich zastosowanie sprawiło, że ornitopter jest wystarczająco wytrzymały, a przy tym lekki – jego waga nie przekracza 60 kilogramów. Przy 10-metrowej rozpiętości skrzydeł to naprawdę niewiele.

Tajemnice lotek

Uwagę zwracają przezroczyste lotki, którymi zakończone są skrzydła. Ich konstrukcja ma zasadnicze znaczenie dla uzyskania siły nośnej – zapewniają inny przepływ powietrza, gdy skrzydło opada, i inny, gdy się wznosi.

– Lotka ma specjalnie zaprojektowany profil zmieniający się na całej jej długości – mówi Ryszard Szczepański. – Samo ich wykonanie zajęło mi prawie trzy lata.

Choć konstrukcja sprawdziła się w pierwszych testach, wciąż pozostało mnóstwo pracy do wykonania. Na zamontowanie czeka składający się z niewielkiego silnika spalinowego napęd, który ma poruszać skrzydłami. Będzie on pomocą dla pilota – napędzanie całej konstrukcji siłą własnych mięśni jest możliwe, choć dosyć męczące.

Ryszard Szczepański ma nadzieję, że budowę otnitoptera uda mu się ukończyć w przyszłym roku.

– Na razie zaczyna brakować mi pieniędzy – tłumaczy. – Poza tym żona, choć cierpliwie znosi moje pomysły, chciałaby chyba częściej mnie widzieć w domu.

Wiele więc wskazuje na to, że Polak jako pierwszy człowiek na świecie odbędzie w przyszłym roku lot maszyną zbudowaną na wzór niedoścignionego ideału lotnictwa – ptaka. Leonardo da Vinci zzieleniałby z zazdrości. ■

PRZEKRÓJ wspiera:

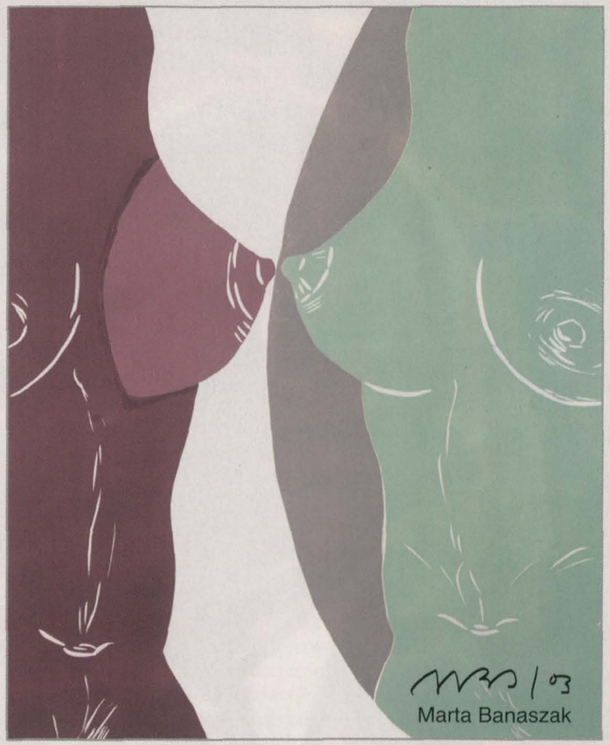

W ten sposób młoda artystka widzi kobiecość.
A jak Ty ją postrzegasz?

Otwieramy forum dyskusyjne.

Podziel się z nami swoimi przemyśleniami i refleksjami na temat kobiecości.
Czym jest dla Ciebie? Z czym Ci się kojarzy? Jakie uczucia w Tobie wzbudza?
Do udziału zapraszamy wszystkich – zarówno kobiety, jak i mężczyzn.
Wasze działania mogą przybrać dowolną formę.
Czekamy na listy, refleksje, prozę, poezję, prace plastyczne, rzeźby, zdjęcia, itp.
Najciekawsze z nich zostaną zamieszczone w publikacji, która podsumuje 5-lecie Wielkiej Kampanii Życia.

Prosimy o przesyłanie prac do końca **października 2003 r.** pod adres:
ul. Słowicza 32
02-170 Warszawa
z dopiskiem **„Porozmawiajmy o kobiecości...".**
Bliższych informacji udzielamy pod numerem infolinii **0 801 353 303.**
Można je też znaleźć na naszej stronie internetowej **www.avon.com.pl.**

KOBIECOŚĆ TO NIE TYLKO TO, CO WIDZISZ W LUSTRZE.

Czy istnieje coś, co można nazwać esencją kobiecości? W końcu każda kobieta jest kobieca na swój sposób. Przejawów kobiecości jest wiele. To ciepły uśmiech, namiętny wzrok, przelotne spojrzenie w lustro, łzy radości, gest bezsilności, szczęście mimo wszystko. Kobiecość niejedno ma imię. I choć mamy różne pragnienia, w co innego wierzymy, inaczej kochamy, z różnymi borykamy się problemami to chyba każda z nas może powiedzieć, że dobrze być kobietą. Dobrze być.

STOWARZYSZENIE WARSZAWA CENTRUM "AMAZONKI"

WIELKA KAMPANIA ŻYCIA AVON KONTRA RAK PIERSI

Nagroda Nobla

PODRÓŻ DO WNĘTRZA LUDZI

PIOTR STANISŁAWSKI

Nobla z medycyny przyznano za zdjęcie palca. W dodatku stare i niewyraźne. Fotografia zrobiona w latach 70. była początkiem jednej z najniezwyklejszych metod diagnozowania

Paul C. Lauterbur i sir Peter Mansfield, tegoroczni laureaci, wymyślili, jak teoretyczne odkrycie fizyczne z lat 40. przenieść na jak najbardziej praktyczny grunt. Chodzi o magnetyczny rezonans jądrowy i zaglądanie za jego pomocą do wnętrza ludzkiego ciała.

Co w tym niezwykłego? Przecież od ponad stu lat znamy prześwietlenie promieniami rentgenowskimi. No tak, ale rezonans nie jest szkodliwy. Klasycznego rentgena nie można często powtarzać – naświetlanie promieniami jonizującymi może uszkodzić komórki i stać się powodem zmian nowotworowych. Tymczasem badanie rezonansem magnetycznym nie pozostawia żadnych śladów.

Poza tym MRI doskonale nadaje się do oglądania miękkich części naszego ciała. Na rentgenie widać przede wszystkim kości, tymczasem rezonans może pokazać detale pracującego mózgu czy mięśni. Co więcej, powstać może cały „film magnetyczny" – metoda nazwana rezonansem funkcjonalnym stosowana jest do obserwowania na przykład bijącego serca.

Fot. SPL/EAST NEWS (6)

Rezonans magnetyczny pozwala ujrzeć ludzkie ciało w całkiem nowy, niezwykły sposób. Po lewej widzimy dziewięciomiesięczny płód w macicy. Po prawej od góry – prześwietlenie głowy (dobrze widoczna anatomia mózgu), mechanikę stosunku płciowego, układ żył i tętnic w szyi i klatce piersiowej człowieka. Dwa zdjęcia poniżej pokazują, jak odbywa się badanie

Woda do tablicy

Jak to działa? Fizycy stwierdzili, że jeżeli jądra atomów umieści się w silnym polu magnetycznym, wykazują ciekawą właściwość. Gdy wyśle się do nich fale radiowe, wchłoną ich energię i po chwili oddadzą ją, emitując takie same fale. Co więcej, zmieniając częstotliwość nadawanych fal, można wzbudzić jądra tylko określonego pierwiastka. To dla lekarzy wymarzone narzędzie – w ten sposób mogą „wywołać do odpowiedzi" tylko jądra wodoru, a więc sprawić, że fale radiowe wyemituje cała woda znajdująca się w organizmie człowieka. Zmiany chorobowe, w tym nowotwory, powodują zmianę zawartości wody w tkance, co od razu widać na obrazie rezonansu.

Powstanie aparatów, dzięki którym stało się możliwe powszechne stosowanie rezonansu magnetycznego, medycyna zawdzięcza uczonym, którzy – tak się złożyło – również zostali w tym roku uhonorowani Nagrodą Nobla, tyle że w dziedzinie fizyki. To badacze zjawiska nadprzewodnictwa. Polega ono na tym, że w niektórych materiałach prąd elektryczny nie napotyka oporu – zazwyczaj dzieje się to w bardzo niskich temperaturach. To właśnie nadprzewodniki umożliwiły zbudowanie niezwykle silnych magnesów, które są najważniejszymi elementami aparatów do rezonansu.

Drogie podglądanie

W zasadzie rezonans ma tylko jedną wadę – jest okropnie drogi. Nadprzewodnikowe magnesy wymagają chłodzenia ciekłym helem o temperaturze -269 stopni Celsjusza. Pacjenta umieszcza się wewnątrz takiego magnesu, a ponieważ większość osób nie przepada za zimnem, całość wymaga solidnej, próżniowej izolacji. Kosztowny jest też sprzęt komputerowy. Odebrane fale radiowe muszą zostać zinterpretowane – w rentgenie obraz powstaje na kliszy, a w rezonansie ogląda się go na ekranie komputera. Poza płaskimi zdjęciami tworzy się też trójwymiarowe obrazy poszczególnych organów. Neurolog przed operacją guza mózgu może go obejrzeć ze wszystkich stron i sprawdzić, jakie obszary znajdują się w pobliżu.

Rezonans okazał się tak atrakcyjną metodą, że naukowcy nie poprzestali na diagnozowaniu chorych. Rozochoceni badacze przeprowadzili na przykład eksperyment, podczas którego para odbywała we wnętrzu aparatu do rezonansu stosunek seksualny. Wyniki okazały się dość zaskakujące – między innymi ułożenie członka wewnątrz pochwy było zupełnie inne, niż spodziewali się naukowcy.

Ciekawym pomysłem stał się projekt Visible Human. Ciała kobiety i mężczyzny poddano skanowaniu rezonansem magnetycznym od palców nóg po czubki głów. Tak powstał model anatomiczny pokazujący wnętrze ludzkiego ciała. Uzyskane wyniki można (i naprawdę warto) obejrzeć w Internecie pod adresem www.nlm.nih.gov/research/visible.

Przyzwyczailiśmy się już, że komitet przyznający Nagrody Nobla nie śpieszy się z docenianiem osiągnięć naukowych. Tegoroczni laureaci czekali 30 lat. Paul C. Lauterbur ma dziś 74 lata, sir Peter Mansfield – 70. Dobrze, że doczekali tego zaszczytu – należało im się. ■

RMF FM

Konkurs fotograficzny Canon

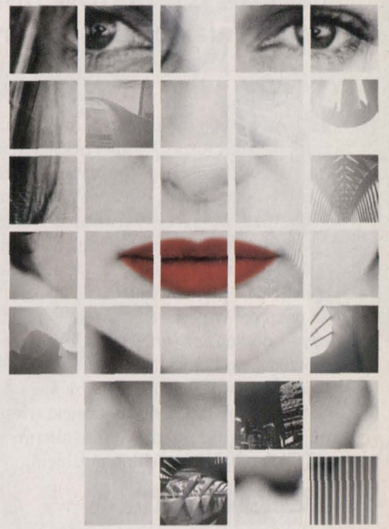

Zmniejsz dystans
między wyobraźnią a obrazem

KONKURS DLA AMATORÓW

BLIŻEJ MARZEŃ

KONKURS DLA PROFESJONALISTÓW

CODZIENNOŚĆ
PRZEKRACZANIE GRANIC

Dla wszystkich miłośników fotografii Canon przygotował nowy,ogólnopolski konkurs fotograficzny. W konkursie mogą brać udział zarówno amatorzy, jak i zawodowcy. Nagrodami są wysokiej jakości aparaty cyfrowe oraz fotorealistyczne drukarki Canon.

Konkurs trwa od września do końca listopada 2003 r.

Więcej informacji o konkursie szukaj na stronie
www.konkurs.canon.pl

Patroni medialni:

PRZEKRÓJ ENTER Voyage CITY

INTERIA.PL fotopolis.pl SwiatObrazu.pl

pozytyw wiedza i życie Brief

Sponsorzy:

ProfiLab VOLKSWAGEN BANK direct

DigitINFO.pl TAM TAM

KINO LAB

you can
Canon

Plastik czy korek? Oto kilka naukowych faktów dotyczących zatykania butelki z winem

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

To miało być doskonałe wino. Butelka bordeaux, którą dostałeś kilka lat temu od przyjaciela, spokojnie czekała na odpowiednią okazję. Wreszcie uznałeś, że lepszej już nie będzie. Z namaszczeniem wyciągałeś piękny, długi korek ozdobiony herbem i rocznikiem. Delikatne pyknięcie i... pierwsze ostrzeżenie – koniec korka przeszedł wilgocią. Potem było już tylko gorzej – „doskonałe" wino cuchnęło niczym rozmoczona, stęchła tektura, którą ktoś za długo trzymał w piwnicy. Skończyło w zlewie.

Tak oto znalazłeś się na froncie trwającej od lat wojny między miłośnikami win a TCA, czyli 2,4,6-trichloroanizolem.

Zabójca win

2,4,6-trichloroanizol to związek, który powstaje, gdy butelka zostanie zatkana źle przygotowanym korkiem. Jednym z etapów przerabiania kory dębów rosnących w Portugalii, Hiszpanii i północnej Afryce na zatyczki jest chlorowanie, które zabija pleśń i rozjaśnia materiał. Gdy producent nie wypłucze należycie chemikaliów, te w zetknięciu z trunkiem nadadzą mu nieznośny zapach i posmak.

Ocenia się, że takie nieszczęście spotyka od 2 do 10 procent wszystkich win zamykanych naturalnym korkiem. Najbardziej ubolewają nad tym producenci – ich straty sięgają rocznie ponad 2,5 miliarda euro.

Problem w tym, że praktycznie nie da się rozpoznać, czy w zamkniętej butelce nie pojawił się paskudny TCA. Okazuje się to dopiero na stole, gdy rozochocony klient otwiera butelkę upragnionego trunku. Jeżeli wino kosztowało 20 złotych, nikt nie będzie rwał włosów z głowy. Jednak każdy, kto zapłacił 10 razy tyle, z pewnością pofatyguje się do sprzedawcy i dobitnie da wyraz niezadowoleniu.

Powstają wprawdzie „elektroniczne nosy", które mają wywęszyć TCA przez zamkniętą butelkę jeszcze u producenta, ale to wciąż pieśń przyszłości – urządzenia znajdują się w fazie testów, a ich cena odstrasza większość potencjalnych nabywców.

Idzie nowe

Zatem producenci zdecydowali się popełnić rzecz zdaniem koneserów straszną. Zastąpili korki naturalne plastikowymi. Pogardliwie nazywa się je „zatyczkami", bo przecież jak można nadać dumne miano korka termoplastycznemu elastomerowi.

Choć winni puryści nie posiadają się z oburzenia, producentom humory bardzo się poprawiły. W tej chwili około pięciu procent butelek zatyka się plastikiem, jednak ta technologia stale zdobywa nowe rynki. Początkowo używali jej głównie przychylni nowinkom Australijczycy i Amerykanie, jednak ostatnio po cichu zaczynają przekonywać się do niej nawet konserwatywni Francuzi.

Fakty mówią same za siebie – w winie zatkanym plastikiem nie pojawia się TCA, bo nie ma skąd. Taka zatyczka nie kruszy się też i nie urywa przy nieumiejętnym otwieraniu. Poza tym jest tańsza i można ją wyprodukować w niemal dowolnym kolorze – na rynku dostępne są korki różowe, niebieskie, czerwone czy fioletowe, ale największym powodzeniem cieszą się te, które imitują naturalny korek.

Stare się broni

O co więc chodzi konserwatystom? Zarzutów jest wiele. Podstawowy to pogwałcenie tradycji – tu nie ma co dyskutować, można tylko przypomnieć, że w średniowieczu flaszki z winem zatykano kawałkiem szmaty nasączonej olejem. Za to zgodzić się trzeba, że plastikowy korek, w przeciwieństwie do naturalnego, nie dopuszcza do wina powietrza – trunek nie może „oddychać". To sprawia, że plastikiem zamyka się głównie butelki z popularnymi winami przeznaczonymi do szybkiego spożycia. Te, które powinny jeszcze dojrzeć w butelce, lepiej czują się pod klasycznym zamknięciem. Pozostają kwestie estetyczne.

– Nie lubię tej szarosinej masy, która sterczy na końcu korkociągu – mówi Marek Bieńczyk, nasz redakcyjny znawca win. – A poza tym nie da się podrobić dźwięku wydawanego przez prawdziwy korek. Jestem gotów poświęcić te pięć procent win dla zachowania tradycji.

Sprawa budzi tym więcej emocji, że nie każdy jest w stanie wyczuć, czy wino jest zepsute. Są oczywiście ewidentne przypadki, jednak zazwyczaj wino psuje się powoli – bywa, że nawet fachowcy nie są zgodni, czy dana butelka ma właściwy smak.

– Zdarzyło się, że na jednej z degustacji doskonały gatunek szampana silnie smakował pieczarkami – opowiada Marek Bieńczyk. – Właściciele winnicy twierdzili, że tak być powinno, degustatorom wydawało się to podejrzane. Dopiero niezależny ekspert potwierdził nasze obawy.

Prace nad plastikowym korkiem trwają – wkrótce powinien nauczyć się oddychać, a może nawet wydawać dźwięk miły uchu konesera. Jeżeli to się uda, za kilka lat tradycyjny korek będzie tym, czym dziś wieczne pióro – elegancką, choć staromodną oznaką luksusu.

PIOTR STANISŁAWSKI

CHROŃ SWOJĄ SKÓRĘ
NOWY KREM O POTRÓJNYM DZIAŁANIU

OPATENTOWANA TECHNOLOGIA TLENOWA

> NOWATORSKA RECEPTURA NAWILŻA SKÓRĘ PRZEZ CAŁY DZIEŃ
> FILTRY UV CHRONIĄ SKÓRĘ PRZED DZIAŁANIEM CZYNNIKÓW ZEWNĘTRZNYCH
> OPATENTOWANA TECHNOLOGIA TLENOWA WSPOMAGA ODDYCHANIE SKÓRY TWARZY

adidas
ACTIVESKINCARE

DBA O MĘSKĄ TWARZ. SKUTECZNIE.

Produkty dostępne w autoryzowanych sklepach drogeryjnych ze znakiem: COTY PLATINUM CLUB

Coty Inc., adidas Licensee.

Inspektor Gadżet raportuje

[od rzeczy]

Dla zimnolubnych

Jeśli jesienny rozruch kaloryferów zmieni twoje mieszkanie w tropik, spraw sobie kołnierz chłodzący. Wystarczy napełnić zbiorniczek wodą, a maleńki wentylator rozpyli na twoją szyję i twarz chłodną mgiełkę. Kołnierz pasuje na większość szyj, z wodą i baterią paluszkiem waży 397 gramów. Ma dwa stopnie chłodzenia.

Około 270 złotych
www.gadgetshop.com

[odjazd]

Ale szybko!

Studyjny model sportowego AUDI nie bez kozery nosi przydomek Le Mans – tak nazywa się jeden z najbardziej wymagających wyścigów. Pięciolitrowy silnik o dziesięciu cylindrach dokarmiają dwie turbosprężarki, dlatego Le Mans może poszczycić się olbrzymią mocą 610 koni mechanicznych. Do „setki" przyśpiesza w 3,7 sekundy, a po 10,8 sekundy wskazówka na zegarze pokazuje 200 kilometrów na godzinę. Jedyna wada bolidu to bagażnik, który ma pojemność zaledwie stu litrów. Cena jest jeszcze nieznana.
www.audi.com

[techno]

Gofrownica stereo

Urządzenie oznaczone symbolem ZS-X3CP należy do sportowej linii S2 z serii Sony Style. Kryje w sobie cyfrowe radio, odtwarzacz CD zdolny odczytać płyty z plikami MP3 i głośniki wspomagane funkcją Mega Bass. Apetyczna – przypominająca nieco opiekacz do gofrów – obudowa ma wygodny uchwyt i jest odporna na zalanie.
999 złotych
www.sony.pl

[design]

Do owinięcia...

...wokół palca, ułożenia w fantazyjny wzór albo napis. SPAGHETTI CANDLE kolorem przypomina makaron, więc pasuje do romantycznej kolacji z włoskim winem. 30 centymetrów tej jajecznej świecy pali się 40 minut.

Około 35 złotych za 30 sztuk
www.iwantoneofthose.co.uk

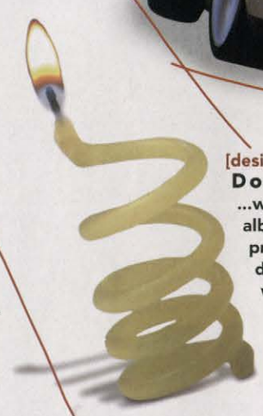

[pieniądze]

Siła kieszonkowego

Ten sympatyczny „SILVER SPACE KID" przekona twoje dziecko do systematycznego oszczędzania. Nie jest bezduszną skarbonką – sumuje oszczędności i wyświetla zawartość „banku" na małym ekranie. Można w nim zaprogramować wartość 10 różnych monet w zależności od ich wagi. Drugą pożyteczną funkcją srebrnego ludzika jest budzik.

Około 60 złotych
www.gadgetalert.com

[wyliczanka]

PIĘĆ SPOSOBÓW... JAK UNIKNĄĆ JESIENNEJ DEPRESJI

1. Przeczekaj jesień na półkuli południowej. Tam akurat budzi się wiosna, rychło więc zapomnisz o błocie i słocie, a usłyszysz śpiew ptaków, nacieszysz oczy zielenią traw i kolorami kwiatów. Wróć dopiero na Boże Narodzenie, odebrać prezenty spod choinki. Na wyprawę do Argentyny z dwumiesięcznym pobytem trzeba przeznaczyć minimum 20 tysięcy złotych.

2. Zaopatrz się w butlę podtlenku azotu – gazu rozweselającego stosowanego przez anestezjologów. W razie pogorszenia nastroju odkręć kurek i sztachnij się. Kilogram podtlenku to wydatek 22 złotych. **Butla –** 250 złotych.

3. Obejrzyj „Depresję gangstera" z Robertem De Niro. Zobaczysz, jak dzięki psychoterapii poradzić sobie z problemem, a do tego nieźle się uśmiejesz. Wypożyczenie kasety wideo: 4 złote. **Radzi sobie gangster, poradzisz sobie i ty.**

4. Nastrój się pogarsza, gdy w organizmie brakuje endorfin – substancji o działaniu euforycznym. Wydzielanie tych naturalnych narkotyków wspomaga na przykład jedzenie czekolady. Tabliczka dziennie od połowy października do połowy grudnia zrobi swoje. 180 złotych **za 60 tabliczek. Wybieraj różne smaki, unikniesz znudzenia.**

5. Jeśli żaden z powyższych sposobów nie pomógł, idź na wystawę malarstwa holenderskiego i na własne oczy przekonaj się, jak życie w depresji świetnie wpływa na rozwój talentu. Bilet do galerii 10 złotych.

W sumie na walkę z depresją przygotuj

20 466 **złotych.**

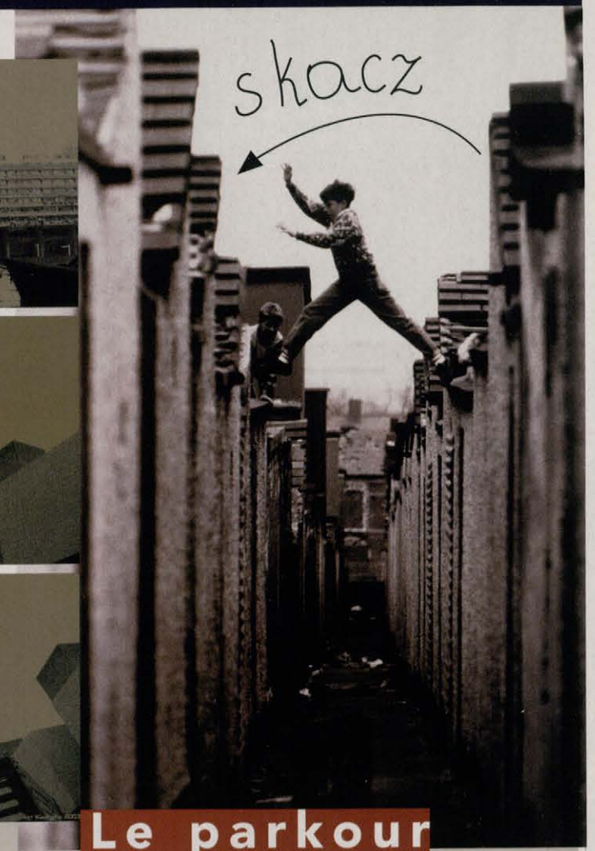

[pop moda]

Le parkour

Połączenie sztuk walki Wschodu, breakdance'u i sportów miejskich – tak wygląda nowe szaleństwo. Nazwa nie pozostawia wątpliwości: *le parkour* narodził się we Francji. Jeśli zobaczycie na wycieczce do Paryża młodych ludzi wspinających się po ścianach budynków, biegających po dachu i skaczących z jednego budynku na drugi bez zabezpieczeń – to zapewne jeden z klanów *le parkour*. Ich idea to: najkrótsza droga do celu zawsze wiedzie wzdłuż linii prostej.
– Zwykłe chodzenie to marnowanie możliwości – uważa Sebastien Foucan, jeden z ideologów *le parkour*. „Narysuj linię prostą na mapie twojego miasta, zacznij od punktu A i zmierzaj do B, nie zważaj przy tym na to, co spotkasz na swojej drodze (ogrodzenia, drzewa, domy itd.). Przeskakuj, wspinaj się, przebij się przez nie – niech pracuje twoja wyobraźnia".

Samuraj w stylu Sartre'a

Le parkour to nowa jakość. Zdaniem pisma „Rolling Stone" twórca dyscypliny 29-letni David Belle ma więcej z Sartre'a niż z bohatera serii „Jackass" z MTV, w której można obejrzeć młodych mężczyzn podejmujących różne absurdalne wyzwania. Ojciec Belle'a był w wojsku i to z jego doświadczeń wzięły się podstawy sportu. Nazwa pochodzi od francuskiego wyrażenia *parcours du combatant*, dosłownie: „droga wojenna".
Dyscyplina narodziła się na dachach francuskiego miasta Lisses, gdzie już na początku lat 90. Belle i jego kolega z podstawówki Sebastien Foucan trenowali biegi, a potem „skoki na bungee bez bungee". Do popularyzacji nowego sportu przyczynił się Luc Besson, który napisał do filmu „Yamakasi" scenariusz opowiadający historię paryskiego klanu „wolnych biegaczy" (tak można próbować tłumaczyć na polski *le parkour*).

Wypadki się zdarzają

Yamakasi są już w kilkunastu krajach, w tym Japonii i Rosji. Wciąż nie ma polskich grup (choć jedna z kanadyjskich nazywa się Polish Hammer) – być może luźna zabudowa naszych miast słabo się nadaje do parkouru.
Do skoków z budynku na budynek nie chcą stosować zabezpieczeń.
– Zniknęłoby poczucie ryzyka – tłumaczy Foucan. Są za to żelazne zasady, dzięki którym *le parkour* ma nie przyciągać uwagi policji: być uprzejmym wobec ludzi, nie tłuc im szyb, nie przeskakiwać przez cudze samochody, nie lądować w czyichś ogródkach.
Niestety, jest to dyscyplina, w której łatwo o urazy. Odnotowano też co najmniej dwa przypadki śmiertelne – po premierze „Yamakasi" dwóch Francuzów próbowało bez przygotowania powtórzyć wyczyny kaskaderów. Parkourowcy komentują zagrożenia z humorem. Mówią, że warto mieć przy sobie telefon komórkowy (wypadki się zdarzają), majtki na zmianę (cóż, wypadki się zdarzają!), słodkie żelki (dobre źródło energii) i gazetę lub książkę (wypadki się zdarzają, a w szpitalu warto mieć coś do poczytania).

Bartek Chaciński

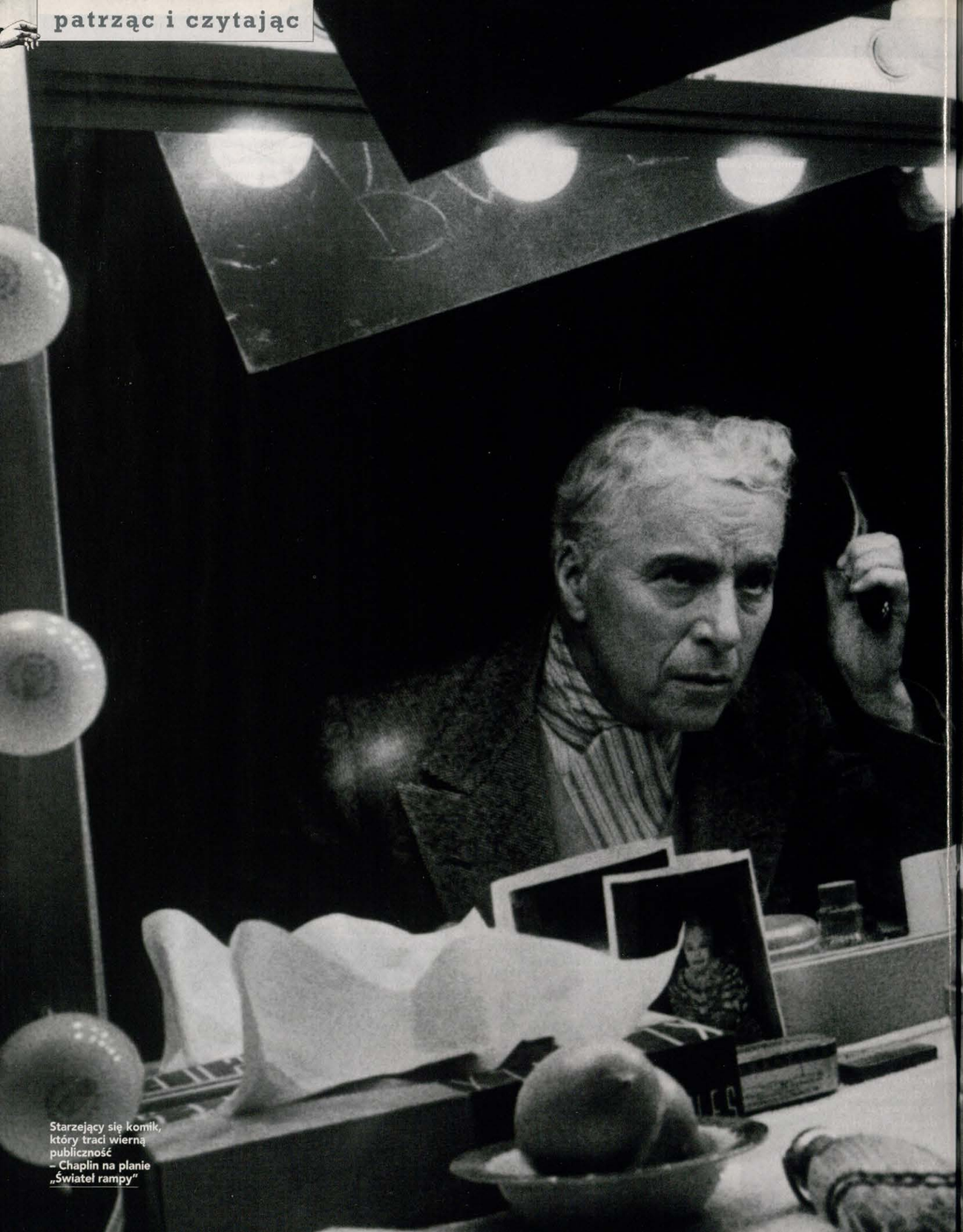

Starzejący się komik, który traci wierną publiczność – Chaplin na planie „Świateł rampy"

Fot. EUGENE W. SMITH/MAGNUM/EK PICTURES

Tytana Zmierzch

Małgorzata Sadowska

Całą starość **CHARLIE CHAPLIN** spędził w Szwajcarii. Odcięty od Hollywood, powoli zapominany, do ostatnich dni starał się cofnąć czas

Fot. JEROME EPSTEIN/CAMERA PRESS/BULLS

Chaplin zawsze faworyzował córki (tu z Geraldine i Victorią) i nigdy nie pogodził się z faktem, że go „zdradziły" – Geraldine, wyjeżdżając do Londynu, Victoria, wychodząc za mąż za cyrkowca

Widzowie wypowiedzieli Chaplinowi wojnę, bojkotując jego filmy – to był najdotkliwszy cios

Ostatnia droga Charliego Chaplina wcale nie była jego ostatnią drogą.

Doczesne szczątki wielkiego aktora spoczywają już od dwóch miesięcy na cmentarzu w szwajcarskim Cosier-sur-Vevey, gdy dwaj rabusie postanawiają zabrać je w jeszcze jedną podróż. Wykopują trumnę w deszczową noc z 1 na 2 marca 1978 r. Po przejechaniu 20 kilometrów zatrzymują się nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Skrzynię z ciałem Chaplina ukrywają w polu kukurydzy.

CHWILA SŁAWY

Policja wszczyna poszukiwania sprawców makabrycznego przestępstwa. Prasa snuje domysły, kto i w jakim celu ukradł Chaplina. Sataniści? Wielbiciele? A może antysemici, którzy nie chcieli Żyda (!) na katolickim cmentarzu? Tymczasem rabusie dzwonią do rodziny. Żądają 600 tysięcy franków szwajcarskich. – Mój mąż żyje w moim sercu. Nie obchodzi mnie, gdzie jest jego ciało – deklaruje Oona Chaplin. Ale na prośbę policji rozpoczyna negocjacje. Niezadowoleni z ich przebiegu bandyci grożą, że przestrzelą nogi najmłodszym dzieciom Chaplina. Dzieci jeżdżą do szkoły w policyjnej eskorcie.

Na szczęście szybko okazuje się, że porywacze to amatorzy, i to leniwi. Początkowo dzwonili z budek telefonicznych w całym kraju. Teraz tylko z Lozanny. W połowie maja Oona umawia się z nimi na kolejny telefon. Ustalonego dnia policjanci obstawiają wszystkie budki w Lozannie. Parę niewinnych osób przeżywa chwile grozy, gdy ktoś napada na nie w trakcie rozmowy, ale rabusie zostają schwytani. Są to 24-letni bezrobotny mechanik z Polski Roman Wardas i jego 38-letni kumpel, Bułgar Gantcho Ganew.

Oona jest nawet wzruszona, że wybrali na ukrycie zwłok tak piękne pole kukurydzy. Oczywiście nie ma to żadnego wpływu na wyrok: Wardas dostaje cztery i pół roku, Ganew – 18 miesięcy.

Trumna z ciałem Chaplina zostaje ponownie pochowana – tym razem w solidnym, zalanym betonem grobowcu. Wreszcie aktor może udać się na zasłużony odpoczynek.

Chociaż kto wie, czy Chaplina nie ucieszyłby ten chwilowy rozgłos. 25 lat spędzonych w Szwajcarii zwróciło mu prywatność, ale odebrało sławę.

WOJNA Z HOLLYWOOD

Szwajcaria stała się domem, a wreszcie miejscem ostatniego spoczynku Chaplina, właściwie przypadkiem. Przyjechał tu z Londynu zimą '52 roku, żeby w górach spędzić z rodziną Boże Narodzenie i przemyśleć swoją trudną sytuację. Rząd Stanów Zjednoczonych odmówił mu właśnie wizy powrotnej do USA. Opuszczając Amerykę na statku „Queen Elisabeth" (podróżował z rodziną na londyńską premierę „Świateł rampy"), spodziewał się, że już nie wróci, nie miał jednak sprecyzowanych planów na przyszłość.

W Stanach atmosfera wokół Chaplina zagęszczała się od dawna. Komisja parlamentarna do badania działalności antyamerykańskiej nękała go już od 10 lat oskarżeniami o komunistyczne sympatie (w czasach zimnej wojny był to zarzut najcięższy z możliwych). Wprawdzie przynależności do partii komunistycznej nigdy mu nie udowodniono, ale przecież Chaplin nie krył się z mocno lewicowymi poglądami i sympatią do ZSRR. Wielokrotnie wyrażał chęć poznania Lenina i Trockiego, a w czasie II wojny organizował pomoc dla radzieckich żołnierzy. ZSRR odwdzięczyło mu się po latach przyznaniem nagrody pokojowej.

Nic dziwnego, że dotychczasowy ulubieniec Ameryki stał się jej wrogiem numer jeden. Jego teczka w FBI liczyła ponad dwa tysiące stron. Był pod ciągłą obserwacją – trwającą nieprzerwanie aż do śmierci artysty. Wytykano mu, że nigdy nie przyjął obywatelstwa USA (pozostał przy brytyjskim), dzięki czemu między innymi uniknął powołania do wojska. Że w swoich filmach krytykuje system, na którym zarobił fortunę. Wreszcie, że niemoralnie się prowadzi. Dwie z jego czterech żon miały w dniu ślubu 16 lat, jedna 18, a różnica wieku między nim a ostatnią małżonką Ooną wynosiła 36 lat. Tuż po ślubie z panną Ooną O'Neill (córką dramaturga Eugene'a O'Neilla) jak spod ziemi wyrosła Joan Berry, twierdząc, że aktor jest ojcem jest dziecka. Badania krwi wykazały, że dziewczynka nie jest jego córką, ale w latach 40. nie był to żaden dowód i do momentu gdy „córka" ukończyła 21 lat, Chaplin płacił na nią 75 dolarów tygodniowo.

Zirytowany napaścią i eskalacją oskarżeń Chaplin opublikował artykuł „Wypowiadam wojnę Hollywood". Jednak to widzowie wypowiedzieli wojnę Trampowi, bojkotując jego filmy. To był dla Chaplina najdotkliwszy cios. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, opuścił Stany.

„Światła rampy" – film, z którym pojechał do Londynu – opowiadają o starzejącym się komiku, którego kariera chyli się ku upadkowi i który traci swoją publiczność. Najbliższe lata pokazały, że był to film proroczy.

WYSTRZAŁOWA POBUDKA

Charlie, Oona i czwórka ich dzieci zatrzymali się w hotelu w Lozannie. Świąteczny pobyt znacznie się przedłużał. Szwajcaria urzekła Chaplina. Polubił ją nie tylko za piękny widok z hotelowego okna, lecz także za spokój, który mu tu zaoferowano. Szwajcarzy szanowali prywatność 63-letniego geniusza. Nikt go nie nachodził, nie nękał, nie prześladował. Po kilku miesiącach życia na walizkach rodzina zdecydowała się kupić dom. Znaleźli wartą sto tysięcy dolarów piękną posiadłość Manoir de Ban w pobliżu Vevey, z ogromnym ogrodem, widokiem na góry i jezioro oraz 15 pokojami.

Ale sielanka nie trwała długo. Pewnego wiosennego poranka Chaplina obudziła kanonada. Następnego dnia znów było słychać strzały,

Fot. BETTMAN/CORBIS/FREE

Z Ameryką pogodził się po 20 latach. Podczas oscarowej ceremonii otrzymał najdłuższe i najgłośniejsze owacje w historii nagrody

i następnego, i następnego. Chaplin dostał szału. Okazało się, że w sąsiedztwie domu znajduje się... strzelnica. Rodzina kupiła posiadłość zimą, gdy strzelnica była zamknięta.

Na nic się zdały protesty, awantury i wreszcie próby znalezienia kompromisu. Aktor wściekał się, pisał listy, ale urzędnicy byli nieubłagani. Przez całe lata znosił więc poranne strzelaniny, ale póki starczyło mu sił, przeciwko nim protestował. Specjaliści od mierzenia poziomu decybeli byli w domu stałymi gośćmi.

– To było zaprzeczenie wszystkiego, co kojarzy się ze Szwajcarią: ciszy i spokoju – wspominała po latach córka Charliego Geraldine.

Chaplin nie dość, że nie wyprowadził się z Manoir de Ban, to spędził w szwajcarskim domu ostatnich 25 lat życia. Nigdy do tej pory nie mieszkał tak długo w jednym miejscu. Nigdy do tej pory nie spędził tyle czasu z rodziną, która zresztą powiększała się w szybkim tempie. Razem z rodzicami przyjechali ze Stanów Geraldine, Michael, Josephine i Victoria, a w szpitalu w Lozannie przyszli na świat kolejno Eugene, Jane, Anette-Emilie i Christopher. Ten ostatni urodził się, gdy Chaplin miał 73 lata.

NAJWIĘKSZY SADYSTA, JAKIEGO SPOTKAŁEM

Po tym, jak w 1953 roku obrażony na Stany Chaplin ostatecznie zerwał swoje przeszło 40-letnie związki z Ameryką (oddał amerykańskiemu konsulowi w Genewie swój paszport, obywatelstwa USA zrzekła się również Oona), podjął próbę dostosowania się do nowych warunków. Korzystając z książek Berlitza, zaczął naukę francuskiego. – Wstawał o piątej rano i wkuwał – opowiada Geraldine. – Powtarzał słówka i kompletnie nie mógł ich zapamiętać. Wściekał się, bo nie był przyzwyczajony, że coś mu nie wychodzi.

Mimo wieku nie zamierzał przejść na emeryturę, mnóstwo pracował, ale głównie skupiał się na przeszłości. Pisał wspomnienia, komponował muzykę do swoich starych filmów (nie znając nut!) i mnóstwo piosenek, z których większość do dziś nie ujrzała światła dziennego. Oczywiście chciał nadal kręcić filmy – komedie, tak jak dawniej. Pozbawiony luksusowych warunków z USA, gdzie miał własne studio i zaufanych współpracowników, zrobił „Króla w Nowym Jorku" (1957), zjadliwą krytykę Ameryki pełną osobistych aluzji, choć dotyczących nie tylko życia w USA. W jednej ze scen Chaplin siedzi w kinie i ogląda stylizowany na western film, w którym grupa mężczyzn strzela do siebie. Charlie i jego towarzysz ogłuszeni hałasem z godnością wychodzą z tej... strzelnicy.

10 lat później powstała „Hrabina z Hongkongu" z Marlonem Brando i Sophią Loren. Ostatni film Charliego Chaplina to zarazem pierwsza jego straszliwa porażka. Film wszedł na ekrany w tym samym roku co „Bonnie i Clyde" i „Absolwent". Dla widzów zafascynowanych nowym kinem Chaplin był archaiczny i nudny. On sam nigdy nie pogodził się z klęską, zwalając winę za niepowodzenie filmu na krytyków i „idiotów" dziennikarzy.

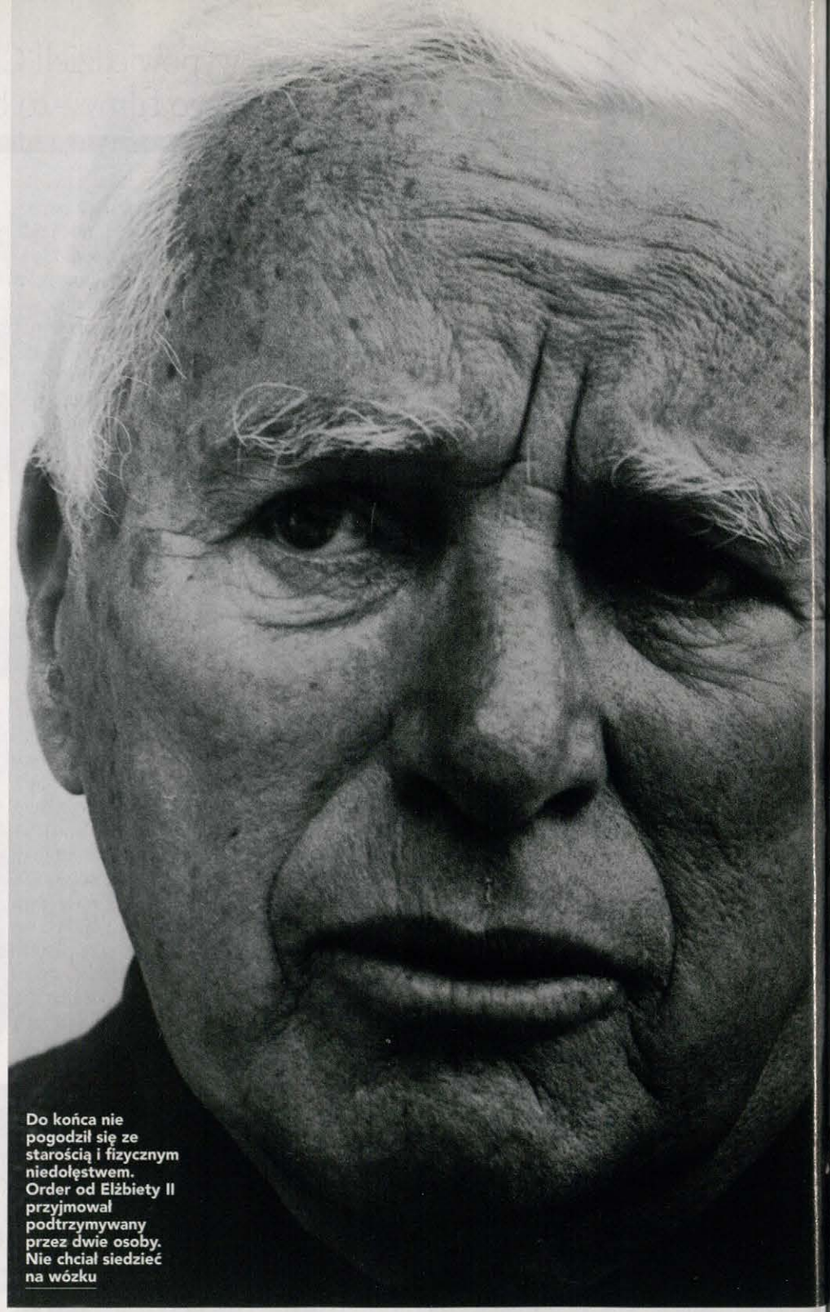

Do końca nie pogodził się ze starością i fizycznym niedołęstwem. Order od Elżbiety II przyjmował podtrzymywany przez dwie osoby. Nie chciał siedzieć na wózku

Praca na planie przebiegała fatalnie. Schorowany, dobiegający osiemdziesiątki Chaplin nie pamiętał scenariusza, bywał rozdrażniony. Nawrzeszczał na Brando, gdy ten któregoś dnia spóźnił się na plan. Brando dał mu 20 minut na przeprosiny, Chaplin przeprosił. Przyzwyczajony do grania głównych ról Charlie nie był zadowolony z tego, co robią Sophia Loren i Marlon Brando. Pokazywał im gest po geście. Najpierw odgrywał scenkę Sophii, potem Marlona. Wychowany na nowym, realistycznym aktorstwie Brando kompletnie nie rozumiał oczekiwań reżysera. Nieudolnie małpował jego ruchy i miny.

– Chaplin był chyba największym sadystą, jakiego kiedykolwiek spotkałem – podsumuje współpracę z geniuszem kina Marlon Brando. – Był egoistycznym tyranem i sknerą.

W „Hrabinie..." niewielką rólkę zagrał Sydney, syn Chaplina z poprzedniego małżeństwa.

Fot. SNOWDON/CAMERA PRESS/BULLS

– Chaplin traktował go ohydnie – wspomina Brando. – Nieustannie upokarzał przy wszystkich. Sydney powiedział, że Chaplin traktuje w ten sposób wszystkie swoje dzieci.

DLACZEGO NIE MOGŁEM PALIĆ TRAWY

Kończyły się lata 60., lata rewolucji obyczajowej, a dzieci Chaplina dorastały wychowywane w sposób staroświecki, surowo i restrykcyjnie. Od zawsze słyszały, że najważniejsza jest praca ojca, że mają być cicho. Dzieci nie mogły zapraszać rówieśników, bo Chaplin nie życzył sobie ich wizyt w Manoire de Ban.

Pierwsza przeciw domowym rygorom i dyktaturze starzejącego się geniusza zbuntowała się Geraldine, która wbrew woli ojca wyjechała do szkoły baletowej do Londynu. W jej ślady poszedł 16-letni Michael, który przysporzył rodzicom najwięcej zmartwień. Chciał być piosenkarzem, brał narkotyki, ożenił się bez zgody rodziców, miał dziecko, a wreszcie wystąpił do państwa o... zasiłek. Chaplinowie byli wstrząśnięci, Oona wystosowała oświadczenie do prasy, że syn powinien iść do pracy, a nie domagać się zasiłku. W końcu Michael dał się namówić sprytnym dziennikarzom na spisanie wspomnień o domu rodzinnym pod tytułem, który w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Nie mogłem palić trawy z trawnika mojego ojca". Mimo interwencji rodzinnego prawnika książkę wydano. Skruszony Michael zdołał jedynie nanieść w niej kilka zmian.

Chaplin zawsze faworyzował córki, a największe nadzieje pokładał w Victorii, którą uważał za wyjątkowo zdolną aktorkę. Specjalnie dla niej zaczął pisać scenariusz nigdy niezrealizowanego filmu „Freak". Miała to być opowieść o dziewczynce, która pewnego dnia budzi się ze skrzydłami. Oczywiście tymi samymi, w których Charlie 50 lat wcześniej grał w „Brzdącu".

Ale również Victoria sprawiła mu zawód, nie dość, że wyszła za mąż za artystę cyrkowego, to jeszcze sama postanowiła zostać cyrkówką. Dla Chaplina był to prawdziwy cios. Nie rozumiał, że dzieci chcą żyć własnym, a nie jego życiem, nie umiał z nimi rozmawiać. Gdy nie spełniały jego oczekiwań, po prostu się obrażał. Podczas jego i Oony wypadów do Londynu Oona potajemnie odwiedzała wyklętych przez ojca Geraldine i Michaela. Podobno Chaplin domyślał się, co robi żona podczas „zakupów", i przymykał na to oko. Tylko tak umiał wychowywać dzieci.

Coraz mniej osób odwiedzało Manoire de Ban, coraz mniej było hołdów – hucznie obchodzono jedynie okrągłe rocznice urodzin aktora.

Świat przypomniał sobie o Małym Trampie dopiero u schyłku jego życia. I otworzył wór z nagrodami. Zaczęło się od nagrody Erasmus (fundowanej przez holenderską księżniczkę Bernadettę, a wręczanej ludziom zasłużonym dla europejskiej kultury), której był jednym z dwóch laureatów. Przyjaciel Chaplina, aktor Peter Ustinov, wspomina, że Charlie nie miał pojęcia, kim jest ten drugi: – Nazywa się Burga. Nie, Bunga... Ignam Bunga... Już wiem: Ingmar Bergman! Czy to jakiś Norweg?

CIĄGLE SIĘ MNIE BOJĄ!

W latach 70. aktor otrzymał nagrody specjalne w Cannes i Wenecji, order od brytyjskiej królowej, a w 1972 roku Oscara za całokształt twórczości. Ameryka okazała skruchę i przepraszała. Chaplin po raz pierwszy od 20 lat odwiedził Stany. Odbierając statuetkę, rozpłakał się. Dostał najdłuższe owacje w historii Oscarów. W tym uroczystym zamieszaniu jakoś umknął fakt, że Amerykanie dali gościowi wizę tylko na... 10 dni. – Ciągle się mnie boją – zacierał ręce 83-letni Chaplin.

Nagrody miały podsumować jego dorobek, tymczasem on sam wciąż snuł plany na przyszłość. Choć był już bardzo słaby – jeździł na wózku – nie przestawał pracować. Nigdy nie pogodził się ze starością, z fizycznym niedołęstwem.

Niemal do końca nanosił poprawki w scenariuszu „Freaka". Lubił przeglądać swoją kolekcję pism z początku wieku, godzinami oglądał własne zdjęcia z przeszłości i w kółko czytał ulubioną książkę, „Olivera Twista" Dickensa. W końcu przeprosił się z nielubianym telewizorem i spędzał przed nim długie godziny. Od czasu do czasu oglądał swoje stare filmy z domowego projektora. Dwa lata przed śmiercią rozpoczął pracę nad książką „My Life in Pictures". Ale wtedy zaczęła zawodzić go doskonała dotąd pamięć i w książce jest sporo błędów – źle podpisane zdjęcia, pomyłki w obsadzie filmów.

Charlie Chaplin umarł w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia we śnie, a 27 grudnia 1977 r. wyruszył w swoją ostatnią podróż na cmentarz w Cosier-sur-Vevey.

To znaczy w przedostatnią.

MAŁGORZATA SADOWSKA

Cytaty pochodzą z: W. Dogson Bowman „Charlie Chaplin: His Life and Art"; „Charlie Chaplin: Forgotten Years", reż. Felice Zenoni; Marlon Brando i Robert Lindsey „Piosenki, które śpiewała mi matka".

24 października ukaże się w Polsce na DVD „Kolekcja filmów Charliego Chaplina" obejmująca 10 tytułów: „Światła rampy", „Dyktatora", „Dzisiejsze czasy", „Gorączkę złota", „Brzdąca", „Paryżankę", „Cyrk", „Światła wielkiego miasta", „Pana Verdoux", „Króla w Nowym Jorku", oraz filmy dokumentalne o Chaplinie i jego wpływie na największych twórców kina. Kolekcję wydają Warner Home Video i MK2.

Nazywa się Burga... Ignam Bunga... Już wiem: Ingmar Bergman! Czy to jakiś Norweg?

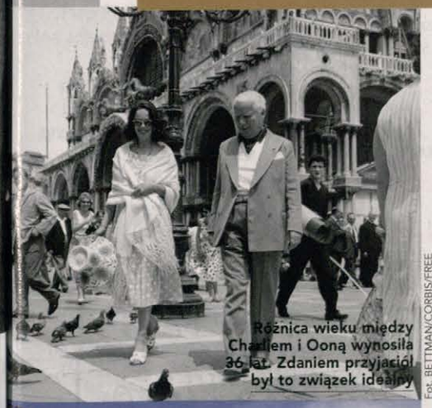

Różnica wieku między Charliem i Ooną wynosiła 36 lat. Zdaniem przyjaciół był to związek idealny

Fot. BETTMAN/CORBIS/FREE

Posiadłość Manoir de Ban. Dom Chaplina wkrótce zamieni się w muzeum

Fot. FABRICE COFFRINI/KEYSTONE/AP

Ciekawe, że z jedenaściorga potomków Chaplina (jedno zmarło wkrótce po urodzeniu), aż siedmioro próbowało zrobić karierę aktorską. Udało się tylko Geraldine.

Choć Michael przyznał, że życie z Chaplinem było życiem w cieniu wielkiej góry, dziś całe rodzeństwo bardzo dba o pozytywny wizerunek ojca i kontroluje wszystko, co dzieje się z jego spuścizną. W Manoire de Ban powstaje właśnie muzeum Charliego Chaplina, gdzie można będzie zobaczyć całe jego archiwum, oryginały arcydzieł i odnalezione przed kilku laty amatorskie filmy rodzinne. Muzeum zostanie otwarte w 2005 roku, do tego czasu Eugene i Michael będą musieli opuścić rodzinny dom, w którym dziś mieszkają.

Tymczasem Chaplin był coraz bardziej rozgoryczony: dzieci go rozczarowywały, „Hrabina z Hongkongu" zrobiła klapę, jego starych filmów już nie wyświetlano, a w kinach królowały produkcje, których nie rozumiał i nie lubił. Obejrzawszy „Powiększenie" Antonioniego, był zdegustowany, uznał ten film za nudny i zbyt wolny.

Nie wypieram się

W 41. numerze „P" ukazał się artykuł, w którym zamieszczono moje opinie na temat stosunku poznaniaków do sprawy byłego arcybiskupa Paetza. Żadnego z zamieszczonych w artykule zdań się nie wypieram, wszystkie zdania autoryzowała ze mną pani redaktor Joanna Gorzelińska. Mój niepokój i niezadowolenie budzi natomiast fakt, że moją pierwszą wypowiedź zamieszczono po informacji o ślubie córki byłego rektora mojego Uniwersytetu, Pana profesora doktora habilitowanego Stefana Jurgi. W wyniku tego niemiłego dla mnie zbiegu okoliczności czytelnik może odnieść wrażenie, że moje zdanie o bezkarności elit w Polsce odnosi się do tej właśnie sytuacji. Po pierwsze, nie było to moją intencją, bo wypowiadałem się ogólnie o sytuacji wokół sprawy arcybiskupa Paetza w moim mieście, a nie o konkretnym wydarzeniu, o którego zaistnieniu dowiedziałem się z artykułu. Po drugie, wynikać może z tego kontekstu, że komentowałem gotowy artykuł, co oczywiście nie miało miejsca. Po trzecie, umieszczenie mojego zdania o „bezkarności" w tym właśnie kontekście nie ma kompletnie sensu, bo słowo „bezkarność" dotyczy wymiaru prawnego, a nie udziału w uroczystościach rodzinnych czy kulturalnych. Proszę o zamieszczenie sprostowania dotyczącego tej wyjątkowo niemiłej dla mnie sprawy.

DR KRZYSZTOF PODEMSKI

Toruń żegna Lengrena

Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Zbigniewa Lengrena. Przez pół wieku związany był z „Przekrojem", a postać Profesora Filutka stała się jedną z ikon pisma. Zbigniew Lengren był torunianinem, tu się urodził, ukończył gimnazjum i studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Warto przypomnieć, że pierwowzorem Profesora Filutka był jeden z profesorów toruńskiej uczelni. Choć na zawsze wyjechał z Torunia, nigdy o nim nie zapomniał. Do końca z dumą podkreślał swoje korzenie, chętnie tu wracał, by choć na chwilę zanurzyć się w tej magicznej atmosferze miasta, w której dorastał. Należy do tych, dla których Toruń stał się perłą w życiorysie i którzy sami stali się perłą w historii miasta. Torunianie z żalem żegnają Zbigniewa Lengrena. Dziękujemy mu za wszystkie chwile radości, jakie mogliśmy przeżyć dzięki niemu. Chciałbym złożyć najserdeczniejsze wyrazy współczucia Rodzinie, Przyjaciołom i wszystkim dziennikarzom i pracownikom „Przekroju", którzy mieli szczęście zetknąć się ze Zbigniewem Lengrenem.

MICHAŁ ZALEWSKI,
prezydent miasta Torunia

Ooo! Ooo!

W związku z artykułem o praktykach flash mob komunikuję uprzejmie, że byłem poniekąd jednym z prekursorów tej interesującej zabawy. Otóż, podczas okupacji w Warszawie wraz z grupą kolegów z liceum Batorego prowokowaliśmy powstawanie na ulicach miasta tłumu w różnych ruchliwych punktach przez zatrzymywanie się i nieruchome wpatrywanie w jakiś fragment nieba. Od czasu do czasu wskazywaliśmy ręką w górę, mówiąc tylko: „Ooooo, oooo!...". Nawet kiedy sprawcy opuszczali zbiegowisko, idąc spokojnie do domu, na ich miejsce przychodzili inni, zainteresowani sytuacją na niebie. Mimo pewnej jednostajności tej formy flash mobu uważam tę jego odmianę za bardziej ekscytującą od klasycznej, nowoczesnej, z uwagi na panującą wtedy specyficzną niepewność chwili i ogólne warunki wojenne. Co ciekawsze, jakiś ślad tej naszej inicjatywy pozostał do dzisiaj; ciągle jeszcze tworzą się grupki ludzi wpatrujących się w niebo z nieznanego sobie powodu i wsłuchujących się w głos, który: „Oooooo, ooooo!...".

JANUSZ OSĘKA

LISTA LAUREATÓW KONKURSU „PRZEKROJU" I NOKII „FOTOGRAFIA TO TWOJA PASJA?"

Najlepsze zdjęcie ilustrujące hasło „Connecting People"

NAGRODA GŁÓWNA – KATEGORIA: AMATORZY
Półroczny staż u jednego z najlepszych polskich fotografów Jacka Poremby oraz roczna prenumerata „Przekroju":
Kama Rokicka, Wesoła

NAGRODA GŁÓWNA – KATEGORIA: PROFESJONALIŚCI
Sprzęt fotograficzny o wartości 12 200 złotych brutto oraz roczna prenumerata „Przekroju":
Marek Łącz, godło Mur, Wschowa

NAGRODY DODATKOWE
– telefon z wbudowanym aparatem fotograficznym firmy Nokia oraz półroczna prenumerata „Przekroju":

1. Cezary Gęsikowski, Bydgoszcz
2. Franciszek Mazur, Rzeszów
3. Mateusz Hołownia, Białystok
4. Tomasz Głowacki, Kraków
5. Łukasz Pawłowski, Warszawa
6. Beata Chmielewska, Toruń
7. Katarzyna Perlak, Bytom
8. Marcin Onufryjuk, Kolonia Dojlidy
9. Rafał Pankowski, Łódź
10. Maciej Zienkiewicz, godło Lisek, Warszawa

Jury obradowało w składzie: Jacek Poremba, Tomasz Sikora, Andrzej Świetlik, Andrzej Iwańczuk, Jacek Domiński, przedstawiciel „Przekroju" Tomasz Kniołek i przedstawiciel Nokia Mobilephones Katarzyna Kluk.

Czekamy na Państwa listy.
Nasz e-mail: **redakcja@przekroj.pl** Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.

16 października • 22 października 2003
tydzień

„Przekrój" wydaje polecenia kulturalne

KOBIETY ZA MIECZE

Sześć lat kazał czekać Quentin Tarantino na swój nowy film. Trudno się więc dziwić, że to jedna z najbardziej oczekiwanych premier roku. Jaki jest „Kill Bill"? Pomysłowy, ekscytujący, tani, śmieszny, płytki, pełen przemocy, ekstrawagancki – kłócą się krytycy. Po czym zgodnie donoszą: „Kill Bill" to przede wszystkim historia o kobietach. Wywindowana na szczyt przez „Pulp Fiction" Uma Thurman (na zdjęciu) gra tu rolę mściwej niszczycielki. Lucy Liu potwierdza renomę kinowej bogini seksu, a zapomnianą przez świat poważnych filmów posągową Daryl Hannah Tarantino odkrywa na nowo. W myśl nowej mody reżyser podzielił nakręcony materiał na dwie części. Pierwsza w polskich kinach już od piątku, druga – dopiero w lutym 2004 roku. Co mówi na temat pierwszej recenzent „Przekroju"? Odwróć stronę.

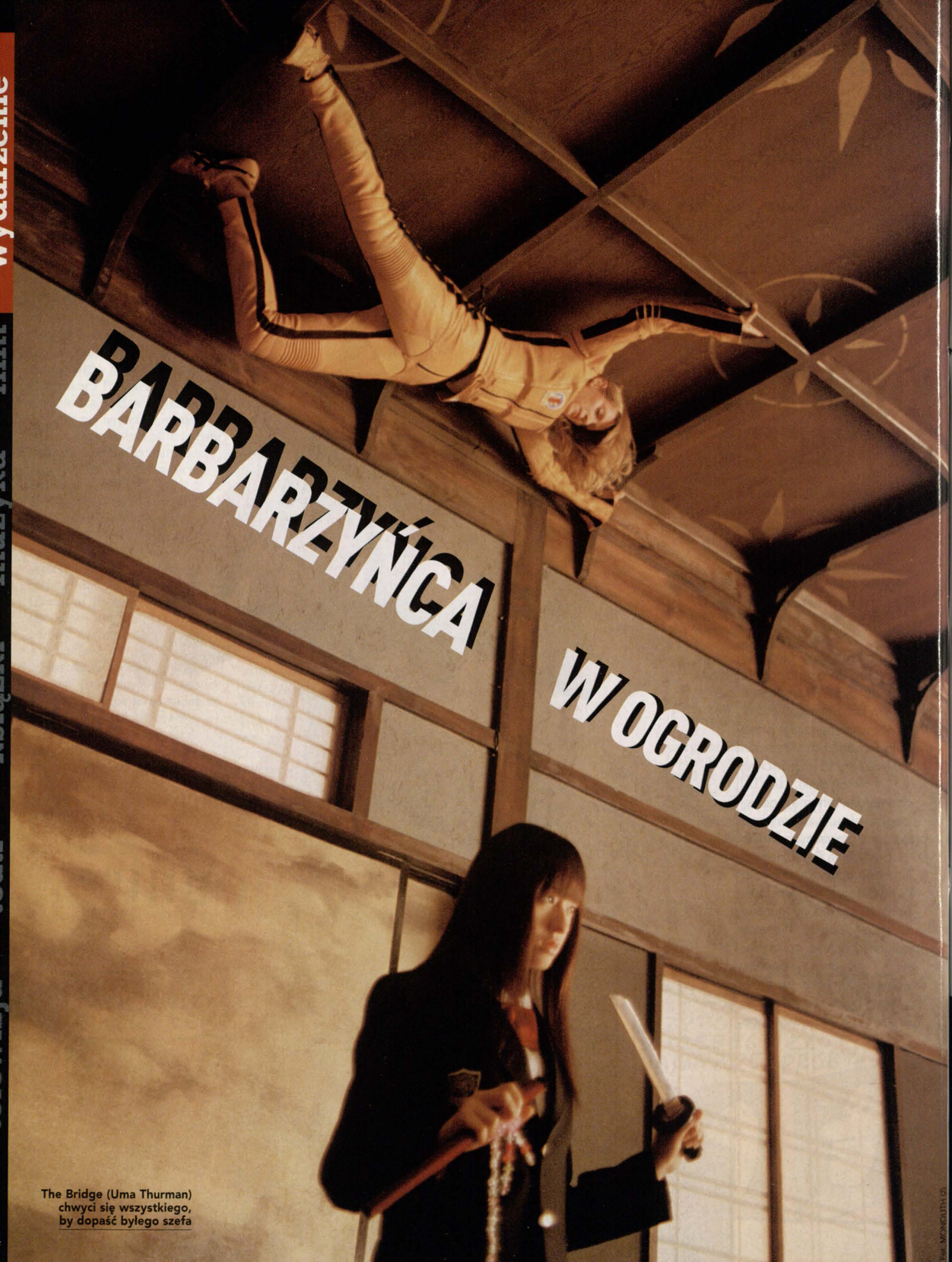

The Bridge (Uma Thurman) chwyci się wszystkiego, by dopaść byłego szefa

Chociaż filmy lepi z odpadów kultury, Tarantino ma wciąż dar wyobraźni. Dowód: „Kill Bill" – prosta fabuła, za to niezwykłe wykonanie

Psiakrew, ty skurwysynu! – usłyszała matka kilkuletniego Quentina Tarantino, który bawił się w pokoju obok. – Co powiedziałeś? – oburzyła się. – To nie ja – tłumaczył się przyszły reżyser „Pulp Fiction" i „Kill Bill". – To Spiderman mówił do Batmana.

Od tamtej chwili Quentin Tarantino nie zmienił się zbytnio. Nadal jest dzieckiem, tyle że przeterminowanym, które zabawy plastikowymi figurkami na dywanie zastąpiło zabawą ruchomymi obrazkami na taśmie filmowej. Ostatnia zabawa o nazwie „Kill Bill" jest niezwykle widowiskowa i – choć może to dziwne jak na rzecz, w której krew sika strumieniami – niepozbawiona wdzięku. Uległem jej chropowatemu urokowi chętnie, tak jak w dzieciństwie chętnie dawałem się oczarowywać historiom wymyślanym przez nadpobudliwych intelektualnie kolegów z placu zabaw. Wyobraźnia to w świecie ludzi niedorosłych dar najcenniejszy, a Quentin Tarantino – 40-latek, który ani myśli plac zabaw opuścić – został nią obdarowany wyjątkowo szczodrze.

Trzy talenty Tarantino

W „Kill Bill" próżno szukać siły emocjonalnej „Wściekłych psów" czy maestrii konstrukcyjnej „Pulp Fiction". Oś dramaturgiczna jest prosta jak myśl polityczna Samoobrony: płatna morderczyni The Bridge (Uma Thurman) w dniu własnego ślubu zostaje skatowana przez swojego szefa Billa (David Carradine) tudzież innych kilerów. Zapada w śpiączkę, z której – dzięki szczęśliwemu ukąszeniu przez komara – budzi się po latach z silnym pragnieniem zemsty. Tak silnym, że na nic innego nie ma w tym filmie miejsca: The Bridge przemieszcza się z miejsca na miejsce, robiąc kuku swoim niegdysiejszym prześladowcom.

Uczciwie trzeba powiedzieć, że dramaturgia w tym filmie jest żadna – wszystkie zasady scenariuszowe, jakie stara się od lat stosować amerykańskie kino (zaskakujące punkty zwrotne, mieszanie temp, widowiskowy finał), Tarantino wrzuca do kosza. Ale pozbawiając swój film tych nieusuwalnych – jak się zdawało – składników, reżyser daje niezwykle efektowne widowisko, którego sukces bierze się moim zdaniem z trzech jego zadziwiających talentów: a) recyklingowej wyobraźni, b) wielkiej wrażliwości plastycznej, c) umiejętności „organicznego" łączenia obrazu i muzyki.

Ulepiony z megakiczu

Recykling to odzyskiwanie ze śmieci wszystkiego, co może być ponownie wykorzystane. Lata całe naukowcy od ochrony środowiska próbują stworzyć genetycznie udoskonalone mikroorganizmy, które potrafiłyby zalewające świat śmiecie przeżuć na coś wartościowego. Zadziwiające, że nie ma jeszcze naukowców od ochrony kultury, w której zalew śmieci jest równie wielki co w naturze. Gdyby byli, powinni przebadać Quentina Tarantino, bo nikt tak jak on nie potrafi przerobić rozrywkowej pulpy klasy B na produkt mający smak i klasę.

„Kill Bill" ulepiony jest z megakiczu, schematycznych filmów o sztukach walki, pełnych „bang! bang!" komiksów, a przede wszystkim z telewizyjnej tandety serialowej. To wszystko jednak nie boli, ale wręcz przeciwnie – cieszy, bo wymieszane jest przez artystę niezwykle świadomego własnych poczynań, który swoje piety i dawidy rzeźbi nie w marmurze, lecz w odpadach. Taki surowiec, jakie czasy, zanim więc zaczniemy się żżymać na Tarantina za błahość i prostactwo jego poczynań, zastanówmy się, czy sami – oglądając słoneczne patrole i big brothery, czytając harlequiny i „Nie" – tej błahości i prostactwa u niego nie zamawialiśmy.

Pulpożerca

Istotne jest też, że Quentin Tarantino mówi w imieniu coraz liczniejszej grupy widzów, którzy w miejsce dotychczasowego backgroundu kulturowego (choćby podstawowego) mają background rozrywkowy (nierzadko na zaawansowanym poziomie). On sam jest taki. Kiedy miał 16 lat, porzucił szkołę na dobre. Jego edukacją i tak od dawna zajmowały się znacznie atrakcyjniejsze od szkoły kino i telewizja. Matka i ojczym zabierali go od dziecka do kina, bez względu na to, co puszczano. Jako ośmiolatek obejrzał „Porozmawiajmy o kobietach" i ku uciesze dorosłej widowni głośno pytał: – Mamo, co on chce zrobić? – kiedy bohater filmu namiętnym głosem mówił do bohaterki: „No, zróbmy to!". Rok później obejrzał „Uwolnienie", w którym napastnicy gwałcą uczestniczącego w spływie kajakarza, a później wszystkie filmy z Bruce'em Lee (których matka była miłośniczką), wszystkie części „Obcego", filmy Briana De Palmy (którego wielbił), Coppoli oraz setki, jeśli nie tysiące, mniej wartościowych rzeczy. Ogromnie dużo też czytał, ale niemal wyłącznie książki z gatunku *pulp fiction* (tanie powieści sensacyjne).

Wszystko to zajmowało jego wyobraźnię do tego stopnia, że już w pierwszej klasie szkoły podstawowej mówił, iż jego matką nie jest pielęgniarka Connie Zastoupil (po drugim mężu, tak zresztą przez lata Quentin się nazywał, zanim powrócił do nazwiska swojego biologicznego ojca), tylko Modesty Blaise (kobieca wersja Jamesa Bonda).

Dziś jako dziecko przekraczające smugę cienia Tarantino daje nam „Kill Bill" – swoją nową zabawkę, która nie tylko przywraca krwi tętniczej podstępnie odebrane przez krew żylną miejsce w światowym kinie, lecz także fantastycznie trzyma w napięciu, nie stawiając oglądaczom (bo już nawet nie widzom) najmniejszych wymagań. Ja ten dziecięcy wysiłek poparty talentem i radością tworzenia bardzo polubiłem, a kilka scen – choćby początkowy pojedynek na śmierć i życie dwóch kobiet przerwany przyjściem ze szkoły córki jednej z nich oraz samurajską walkę na śniegu (wygląda, jakby toczyła się w czarodziejskiej szklanej kuli) – zapamiętam jako jedne z lepszych, jakie ostatnio widziałem. A, proszę mi wierzyć, widziałem dużo.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

„KILL BILL", REŻ. QUENTIN TARANTINO, USA 2003, Monolith, premiera 17.10

Czytam
metropol
bo lubię wiedzieć, o czym się mówi
To się czyta w mieście!

Panie Kolski, na Boga, co pan ze mną robisz?!

JA NIE DOSTOJEWSKI!

Krzysztof Majchrzak zastanawia się, czy jest jeszcze bohaterem z Gombrowicza, czy już z Kolskiego

Oto list, który Witold Gombrowicz wystosował do Jana Jakuba Kolskiego w sprawie ekranizacji swojej „Pornografii"

„Pornografia", Reż. Jan Jakub Kolski, Polska 2003, Syrena, premiera 17.10

Gdyby Gombrowicz żył w naszych czasach, zostałby raczej reżyserem niż pisarzem. Do legendy przeszły opowieści o jego demiurgicznych pasjach, manipulowaniu ludźmi, prowokowaniu. Wystarczyła grupka admiratorów – natychmiast organizował grę, rozdawał role, sobie przydzielając funkcję „reżysera". Ale wtedy to pisarz, nie reżyser, był na szczycie drabiny społecznego splendoru. A Gombrowicz cenił tylko szczyty.

Co czułby, widząc dziś w kinie swoją „Pornografię"? Zazdrość? Może. Zachwyt, że kino aż tyle się nauczyło? Zapewne. Ale podejrzewam, że na film Kolskiego zareagowałby jak Lem na swoje filmowe „Solarisy", pisząc tak:

„Panie, na miły Bóg, co pan ze mną robisz!? Dlaczego mylisz mnie pan z moją literaturą? Dlatego że tu i ówdzie występuję jako Witold, a powieści zwykłem pisywać w pierwszej osobie? Gdybym ja chciał panu opowiadać o swoich sprawach tak, jak je sam czuję, to napisałbym pamiętnik jak jaka panienka! Ale ja potwornie się wstydzę! Swoich demonów, fascynacji, miłości, moich łez i cierpień. Ja nawet w swoich dziennikach byłem sztuczny i wymyślony. Pisałem je też jak literaturę, bo przez gardło i pióro by nie przeszło użalanie się nad sobą i światem. Ja tego nie umiem! I dlatego nie zostałem pisarzem psychologicznym, jak Stendhal, Conrad albo Dostojewski, tylko dziwacznym awangardzistą, który postaci swoich książek buduje ze sztucznego tworzywa, co nie boli, nie tęskni, nie wyznaje prawdziwej miłości ani nie umiera z żalu za ojczyzną. Moje postaci tylko grają ze sobą starą grę ludzkości, która nazywa się Jak Ja Ci Tak – To Ty Mi Tak.

A pan coś zrobił? Zbudowałeś pan nawet prawdopodobny świat: prowincjonalny dworek ziemiański, do którego w połowie drugiej wojny przyjeżdża z wizytą dwóch facetów w średnim wieku. Jeden całkiem zwykły i to niby mam być ja, Witold, za to drugi potwornie demoniczny. Wystarczyło, że ten »niby ja« go podpuści, a demony zrobią swoje, to znaczy przewrócą wszystko do góry nogami. Parę osób zginie, ktoś kogoś zdradzi... A w końcu ten Fryderyk... tu milknę, bo przecież nie będę opowiadał zakończenia.

Dopisałeś pan i filmowi, i Fryderykowi solidne dno psychologiczne, a wewnętrznego piekła, jakie ma w sobie F., nie powstydziłby się i Dostojewski. Ale już mówiłem – ja nie Dostojewski! Ja tak nie pisałem, bo nie umiem, bo się wstydzę!

Postaci z moich książek to psychiczne kaleki, zgoda. Poobcinałem im uczucia i pozamieniałem na koncepty, konstrukcje. Pan zrobił wiele, żeby ich z powrotem doczłowieczyć. Ale mnie się widzi, że albo Dostojewski, albo Gombrowicz. Już bym wolał, żeby pan zrobił film o mnie. Wprost. Niech pan grzebie we mnie i dogrzebie się tych demonów, które powsadzał pan do »Pornografii« w nadziei, że to właśnie moje prywatne demony, tak głęboko ukryte, że niewidoczne (bo przecież Fryderyk to też ja, nieprawdaż?). Ba, ja bym wolał, żeby to był film o tym nieszczęsnym pułkowniku Siemianie, który z bohatera partyzantki przeobraził się w trzęsącego portkami tchórza, aż go trzeba było zabić. To opowiedzieć! Tu byś pan miał temat jak z Dostojewskiego! No i z takim aktorem jak ten pański Frycz cuda można by zrobić.

Ale przepraszam: starał się pan, jak mógł. Jakież piękne zdjęcia! I każdą muchę słychać! I aktorzy mi się podobali! Ja tylko nie bardzo wiem, o czym miał być ten film. Bo w książce to wiem, o co mi chodziło. No ale stary już jestem i może po prostu, jak to mówicie, nie kumam".

DO DRUKU PODAŁ TADEUSZ NYCZEK

• PRZEMIANY

Fot. SYRENA

Wyjałowiona z treści mrożonka rodzimej produkcji

Reż. Łukasz Barczyk, Polska 2003, Syrena, premiera 10.10

Kinowy debiut Łukasza Barczyka, który błysnął niezłym filmem telewizyjnym „Patrzę na ciebie, Marysiu". Trzy siostry (Maja Ostaszewska, Katarzyna Herman, Aleksandra Konieczna) i ich matka (Maja Maj) gnieżdżą się w wiejskim domku. Są nieszczęśliwe i stłamszone aż do chwili, gdy w odwiedziny przyjeżdża narzeczony jednej z sióstr – „hipnotyzujący" samiec (Jacek Poniedziałek) – i gruntownie odmienia ten dom kobiet. Pomysł polegał na wypreparowaniu z rzeczywistości samych „znaczących" momentów, w których bohaterowie wyznają sobie coś ważnego, kłócą się o rzeczy fundamentalne itp. Nie wiemy za to, jak wygląda ich codzienność, jakie książki czytają, co lubią na śniadanie itd. Film zalatuje oziębłym fałszem i telenowelowym banałem, jak zawsze, gdy Artysta arbitralnie ofiarowuje Ludzkości ekstrakt Prawd o Życiu. Obawiam się, że Barczyk uległ wpływom nadętej i grafomańskiej twórczości polskiego dramaturga Ingmara Villqista (robił jego sztuki w telewizji). I wydumane psychodramy Villqista, i Barczykowe „Przemiany" to wyjałowione mrożonki rodzimej produkcji.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

MARCIN MACIEJOWSKI OBEJRZAŁ...

serial „Na Wspólnej"

Fot. BOGDAN KRĘŻEL

Do kina chodzę rzadko, bo nie mam za dużo czasu. Ostatnio byłem na „Nieodwracalnym" Gaspara Noe z Monicą Bellucci. Moja żona była wtedy w ciąży i dziecko strasznie kopało ją w brzuch w trakcie seansu. Ale w sobotę, przy obiedzie, lubię oglądać „Na Wspólnej". Podziwiałem rolę Dariusza Kordka. Szkoda, że już nie będzie występował w tym serialu [bohater Kordka, Krzysztof, to właściciel agencji modelek, który romansował z Kingą, kochanką Wiktora i Michała. Twórcy deklarują, że Krzysztof jeszcze może do serialu powrócić – przyp. red.]. Najczęściej nagrywam filmy z telewizji na wideo – ostatnio „Życie Carlita" i „Pogardę". Później oglądałem fragmenty i szkicowałem wybrane sceny. Tak powstają niektóre moje obrazy.

(DVD)

• ZŁAP MNIE, JEŚLI POTRAFISZ

Fot. CINETEXT/MEDIUM

Niezły film Spielberga i świetny przewodnik po pracy w Hollywood – od kuchni

Reż. Steven Spielberg, USA 2002, Universal

Pierwszą płytę zajmuje sam film – ponaddwugodzinne widowisko o nastoletnim oszuście, który wciela się w pilota, doktora, prawnika i fałszuje czeki na miliony dolarów. Tą rolą Leonardo DiCaprio wraca do formy, a na ekranie towarzyszą mu rewelacyjni Tom Hanks i Christopher Walken. Płyta druga to dokumentacja pracy na planie przeplatana prawdziwą historią Franka Abagnale'a juniora. „Złap mnie, jeśli potrafisz" powstało na podstawie jego autobiografii, a Frank spędzał na planie całe dnie, konsultując i wspomagając ekipę. Dowiemy się, jak powstawał scenariusz, muzyka, poznamy też pracę konsultanta FBI. – Jak agenci w latach 60. trzymali pistolet? – pyta go Spielberg. Jeśli odsączyć tradycyjne komplementy, które prawią sobie aktorzy, reżyser i autor zdjęć (Janusz Kamiński – siódmy raz w filmie Spielberga), mamy ciekawą i treściwą porcję hollywoodzkich realiów pracy.

KAMIL M. ŚMIAŁKOWSKI

Fot. BMG

MĄDROŚĆ PARYŻA

Muzyka Cesarii Evory ma intensywny posmak Francji. Więcej tej Francji niż Portugalii nawet, choć morna – ulubiony gatunek Evory – wywodzi się z pięknego szlachetnym smutkiem fado. Więcej niż Brazylii i Afryki, których granice wpływów obejmują Cabo Verde, ojczyznę Evory. I nie chodzi tylko o to, że właśnie we Francji Bosonoga Diwa nagrywa. Słychać tu mądrość czerpania radości ze spraw małych, w czym Francuzi są mistrzami świata. Morna bywa nazywana bluesem Atlantyku, bo solą tej muzyki jest uśmiech przez łzy. Od bluesa różni ją jednak większy dystans do karuzeli upadków i wzlotów. Śpiew Evory emanuje dojrzałością i spokojem, który wycisza lęki. „Voz D'Amor" to jedna z jej najpiękniejszych płyt.

OLAF SZEWCZYK

CESARIA EVORA
„VOZ D'AMOR",
BMG

KLUCZEM W ŁEB

Chciałbym polubić Patrycję, tak jak naiwnie polubiłem zespół jej ojca Grzegorza, gdy miałem dziewięć lat. Ale musiałbym mieć lat 90, żeby zapomnieć o płyciznach oferty panny Markowskiej, która z okładki, z groźnym wzrokiem, wielkim kluczem nasadowym w dłoniach na tle samochodowej felgi chce mi uświadomić, że to jej czas. Jako wokalistka wypada nieźle, a towarzyszący jej rockowi wyjadacze mogliby nagrać 10 takich płyt w miesiącu. Ale nie ma żadnego pomysłu na muzykę. Banał kompozytorski sprawia ból. Lektura tekstów też. Wolałbym już dostać tym kluczem przez łeb, niż słuchać dalej.

BARTEK CHACIŃSKI

PATRYCJA MARKOWSKA
„MÓJ CZAS",
Universal

Uwaga, rewelacja! Na rynek trafia zestaw 13 przebojów grupy **VOO VOO**. Przyszłych przebojów

NIECH ŻYJE MELODIA!

Muzykom Voo Voo udało się słowo „przebój" odrzeć z wszechobecnych

Recenzent ma świadomość, że słowo „przebój" obciążone jest niewąskim obciachem. Cóż jednak począć, gdy każda z zamieszczonych tu piosenek mogłaby z powodzeniem zawalczyć o całkiem wysokie miejsce na listach popularności?

Jeszcze niedawno Wojciech Waglewski, kierujący zespołem od 1986 roku, twierdził, że w muzyce nowe mogą być już tylko faktury, brzmienia, bo w rytmice, harmonii i melodii powstało właściwie wszystko. A jednak sam skomponował tematy, które urzekają melodiami właśnie, melodiami, które chce się nucić. Melodiami pasującymi do różnych stanów ducha – od dostojewszczyzny po krotochwilę.

– Współczesna muzyka klubowa poszukuje melodii na nowo – tłumaczy w rozmowie z „Przekrojem" Waglewski. – Muzyka w ogóle powraca do zabawiania ludzi, takie były korzenie jazzu i rocka. Dla nas też powrót do prostych foremek był bardzo ożywczym doświadczeniem.

Album od początku był pomyślany jako perełka. Waglewski dużo uwagi poświęcił tekstom, starając się nadać im jak najprostszą formę. Przy pracy nad efektem finalnym zespół, nie porzucając sobie właściwego terenu, korzystał pełnymi garściami z tradycji muzyki tanecznej – kalipso miesza się house'em, kubański son ze swingiem, reggae z transem. Zaskoczeniem może być bardzo wstrzemięźliwa gra Mateusza Pospieszalskiego, dotąd czołowego solisty grupy.

– Doszliśmy do wniosku, że kompromis jest konieczny. Solówki radują tylko muzyków, publiczność woli się bawić – mówi Waglewski.

Fot. JAROSŁAW DĄBROWSKI

polskiej muzyce aury obciachu

Powstała płyta piękna i ciepła. Ogromna w tym zasługa tytułowych kobiet, Urszuli Dudziak i Anny Marii Jopek, dzięki którym piosenki stały się pomostem pomiędzy czasami współczesnymi a epoką muzyki Krzysztofa Komedy czy wczesnego Serge'a Gainsbourga. Najtrudniej, jak twierdzi lider, było przekonać Urszulę, by nagrała piosenki z tekstem w konkretnym języku (po polsku). Zarówno jej własna przeurocza „Co ona ma", jak i wspólny z Waglewskim występ w „Kimkolwiek" przeszły jej oczekiwania.

Rzadka to umiejętność stworzyć muzykę ambitną i leciutką zarazem, wysmakowaną bez ocierania się o konfekcję.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

WYWIAD Z WOJCIECHEM WAGLEWSKIM S. 46.

VOO VOO „VOO VOO Z KOBIETAMI",
Sony

DIDŻEJ PANUFNIK

Fot. SONIC

Jego dziadek produkował doskonałe skrzypce, a ojciec, słynny Andrzej Panufnik, komponował od dziewiątego roku życia. **JEMA PANUFNIKA** nikt nie musiał gonić do muzyki. – Kiedy byłem mały, lubiłem chodzić z ojcem na próby – mówi „Przekrojowi". – Siadałem obok bębnów i patrzyłem, jak orkiestra wykonuje jego utwory. Tata pisał bardzo rytmiczne kompozycje, więc zainteresowałem się grą na perkusji.

34-letni Jem urodził się w Anglii, dokąd jego ojciec wyemigrował w latach 50. Od podstawówki grał z zespołami funkowymi, w President Groovestone na gitarze towarzyszył mu Simon Ratcliffe, późniejszy członek duetu Basement Jaxx. Muzyka na tyle go pochłonęła, że studia w dziedzinie grafiki poszły w odstawkę i zaczął grać z płyt na imprezach.

W połowie lat 90. poznał Justina Rushmore'a, który prowadził sklep z winylami i kafejkę Vinyl Addict. Założyli duet Soul Of Man, potem wytwórnię Finger Lickin, w której Justin zajął się sprawami organizacyjnymi, a Jem oprawą graficzną. – Dzięki temu udało mi się połączyć obydwie życiowe pasje: muzykę i grafikę – cieszy się Panufnik, który pracując nad grafiką, inspiruje się polskim plakatem. Jako didżej już po raz trzeci zagra w Polsce – 17 października w warszawskiej Piekarni, a dzień później w łódzkim klubie Blu.

JACEK SKOLIMOWSKI

POTRZĄSNĄŁ ANGLIĄ

Odwaga, jaką ostatnio pokazuje kapituła Mercury Music Prize, robi wrażenie. Znów schyliła czoło przed czarnymi brzmieniami rodem z najnędzniejszych zakątków południowego Londynu. To stamtąd pochodzi 18-letni Dizzee Rascal – pierwszy raper, a zarazem najmłodszy w historii artysta wyróżniony nagrodą brytyjskiej fonografii. Tam właśnie z gniewu i rozczarowania powstają takie albumy – misternie konstruowane przez kolorową mniejszość bomby zegarowe, gotowe, by potrząsnąć muzycznym Albionem z siłą gwiazd punk rocka. Nie oszukujmy się. Przebrnąć przez ten gejzer surowej muzyki stworzonej na bazie hip-hopu i elektroniki nie jest łatwo. Ale przejść obok niego obojętnie – jeszcze trudniej.

BARTEK WINCZEWSKI

DIZZEE RASCAL
„BOY IN DA CORNER",
XL

Fot. SONIC

PODWÓJNE UDERZENIE

Czarnymi rytmami zza oceanu flirtowała niejedna z naszych wokalistek, ale żadnej nie udało się dowieść, że soul po polsku może być czymś więcej niż mdłą kalką amerykańskich wzorców. Po latach wreszcie jest grupa zdolna odmienić ten stan rzeczy. Młodzi warszawiacy nawet nie próbują udawać, że nie nadstawiają uszu na soulową Amerykę. Słychać, że znane są im produkcje Erykah Badu, Jill Scott czy genialnych The Neptunes. Wiedzą, że współczesnemu R&B dobrze robi „żywe" granie i gościnne występy raperów (tu między innymi Tede i O.S.T.R.). Najważniejsze jednak, że Sistars mają na swoją twórczość pomysł, a ich droga do serc słuchaczy nie prowadzi na skróty przez popowe podwórko. Z utalentowanymi producentami i wokalnym duetem sióstr Natalii i Pauliny Przybysz w składzie odważnie i bez kompleksów wnoszą na naszą scenę rzadki powiew świeżości.

BARTEK WINCZEWSKI

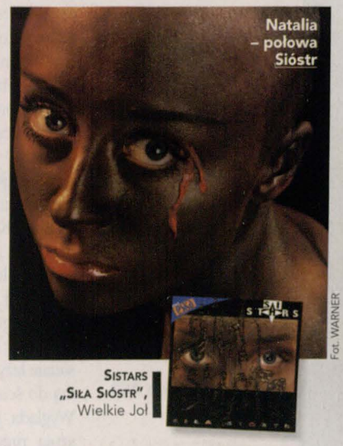

Fot. WARNER

SISTARS
„SIŁA SIÓSTR",
Wielkie Jol

trasy koncertowe Kayah: 16.10 Szczecin, hala SDS, 17.10 Berlin, Tränenpalast, 24.10 Toruń, Od Nowa, 25.10 Poznań, CK Zamek, 29.10 Rzeszów, klub Akademia, 30.10 Wrocław, Hala Ludowa Moscow Disco Festival (Roboty, Mass-Kotki): 16.10 Poznań, Subway, 17.10 Sopot, Sfinks, 18.10 Toruń, NRD, 19.10 Warszawa, Laboratorium

koncerty JVC Jazz Jamboree 2003, Warszawa, Sala Kongresowa PKiN: 17.10 Jimmy Smith Quintet, Erik Truffaz, Kuba Stankiewicz, 18.10 Don Byron, Manu Dibango, Adam Pierończyk, Hedvig Hanson, 19.10 The Saxophone Summit, Allan Holdsworth Group, Olo Walicki 17.10 Mały Szu – Łowicz, Dziupla 18.10 Paul Harris (Dirty Vegas) – Warszawa, Piekarnia

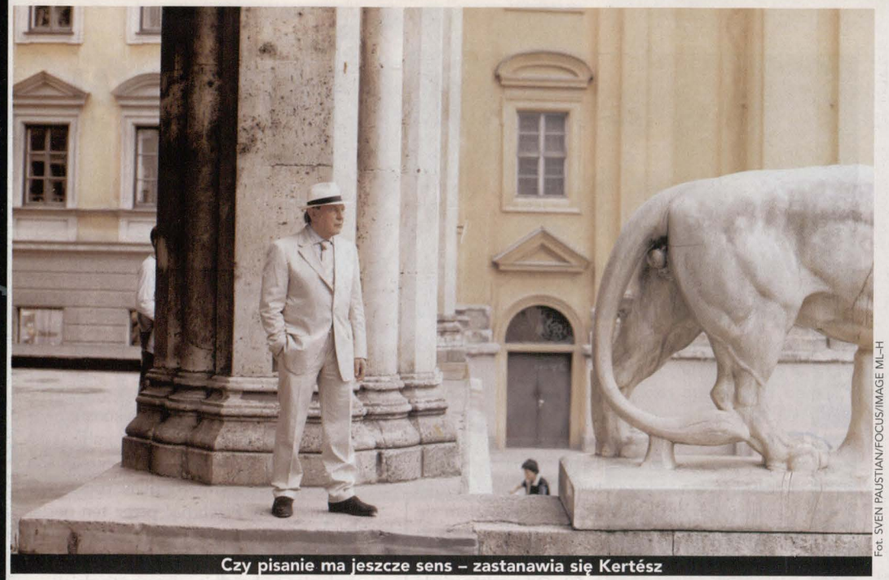

Czy pisanie ma jeszcze sens – zastanawia się Kertész

Fot. SVEN PAUSTIAN/FOCUS/IMAGE ML–H

ŻYCIE PO ŻYCIU

W nowej powieści ubiegłoroczny noblista wreszcie uśmierca głównego bohatera. Ale martwy jest tak naprawdę ktoś inny...

Pana B. – głównego bohatera „Likwidacji" – już znamy. W „Kadyszu za nienarodzone dziecko", trzeciej w kolejności książce ubiegłorocznego noblisty Imre Kertésza, ten pisarz i tłumacz jeszcze żył. Albo inaczej – był jeszcze aktywny. Ta aktywność to takie życie na niby. Oddychanie, poruszanie się, rozmawianie. W wypadku pana B. – alter ego samego Kertésza – trudno bowiem mówić o życiu. Wszystko, co robi, czyni tylko po to, aby pokazać wszem wobec, że życie po Auschwitz nie ma sensu. Urodził się w obozie śmierci. Jak w każdym zakładzie pracy tak i w Auschwitz panował kontrolowany bałagan. Pan B. ocalał – jak to się mówi – psim swędem.

W „Likwidacji" pan B. samobójstwo ma wreszcie za sobą. Uważny czytelnik trylogii Kertésza zapoczątkowanej genialnym „Losem utraconym" spodziewał się takiego obrotu sprawy. Pan B. już wcześniej sugerował, że życie to tylko kopanie grobu i oczekiwanie na zgon.

A więc koniec. Pan B. nie żyje. W zasadzie leży we własnym mieszkaniu twarzą do ściany, przykryty prześcieradłem. Wygląda, jakby spał. Po mieszkaniu buszują przyjaciele. Szczególnie aktywny jest jego wydawca, niejaki Keserű. Liczy, że to jemu uda się wydać dzieło genialne. Co z tego, że pan B. nie żyje? Jego Dzieło Życia na pewno jest gdzieś ukryte. Trzeba tylko poszukać. Jeśli Keserű je znajdzie, odpowie na podstawowe pytanie. Imre Kertész bał się je zadać: Czy życie ludzkie ma sens po Auschwitz? Pytał tak jak inni. Pierwszy w 1948 roku nie wytrzymał Theodor Adorno. Zapytał, czy sens ma jeszcze poezja. Emmanuel Levinas dociekał z kolei, po co jeszcze – po tragedii Auschwitz – nadawać jakikolwiek sens cierpieniu. Hans Jonas walnął z grubej rury: Czy po Auschwitz jest jeszcze miejsce na Boga?

Kertész nie pyta zatem o sens życia. Pyta o sens pisania. Po drodze jednak kluczy. Co innego uśmiercić swojego bohatera, co innego dać jednoznaczną odpowiedź. Każe więc odpowiedzieć na to pytanie swoim przyjaciołom. Przepraszam: przyjaciołom pana B. Poszukiwanie dzieła-odpowiedzi powoli zaczyna przypominać kryminał. Jeszcze chwila i Keserű okaże się Indianą Jonesem szukającym świętego Graala. Tymczasem w mieszkaniu truposza przybywa niespodziewanych gości. Atmosfera się zagęszcza. Tym bardziej że to, co się „teraz" dzieje, przewidział „kiedyś" pan B. Aż korci, żeby zadać pytanie Kertészowi: czy uśmiercając swojego bohatera, nie zbliża się niebezpiecznie do własnego losu?

MICHAŁ WÓJCIK

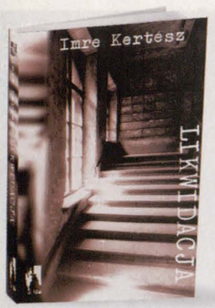

IMRE KERTÉSZ „LIKWIDACJA", PRZEŁ. ELŻBIETA SOBOLEWSKA, W.A.B., Warszawa 2003

POJEDYNKI O LITERATURĘ

Wszystko, co najciekawsze w literaturze, pojawi się w tym tygodniu w Warszawie na festiwalu Warszawa Pisarzy. Przy okazji pojawi się trójka znakomitych gości: Herta Müller, autorka wydanej niedawno powieści „Sercątko", Bora Cosić, autor „Roli mojej rodziny w rewolucji światowej",

Herta Müller

Fot. ULF ANDERSEN/GAMMA/BE&W

i Helga Hirsch – „Nie mam kaine buty. O ludziach między Odrą i Wisłą".

Müller, jedna z najważniejszych dziś pisarek niemieckich, w zeszłym roku była wymieniana wśród kandydatów do Nobla. Pochodzi z Rumunii, z której musiała wyjechać, gdy odmówiła współpracy z tajnymi służbami Securitate. Teraz mieszka w Berlinie, ale ciągle pisze o Rumunii pod rządami Ceaușescu.

Bora Cosić również mieszka w Berlinie, a uciekł z Jugosławii Miloszevicia. „To jedna z najzabawniejszych książek, jakie w życiu przeczytałem" – pisał jeden z recenzentów o „Roli mojej rodziny...". Ta powieść o powojennej Jugosławii z 1968 roku została objęta zakazem druku w wielu krajach bloku wschodniego. Za to w latach 90. zyskała światowy rozgłos. (JS)

Warszawa Pisarzy, 20–24.10, Zamek Ujazdowski w Warszawie

PLASTIKOWA KRÓLOWA

Książek o Barbie wychodzi cała masa, szkoda, że przetłumaczona została właśnie ta

MARY F. ROGERS „BARBIE JAKO IKONA KULTURY", PRZEŁ. EWA KLEKOT, Muza, Warszawa 2003

Zaczęło się w 1959 roku. Wtedy urodziła się pierwsza lalka Barbie. Na progu lat 60., epoki młodości, kontrkultury i konsumpcji. Dopiero w latach 80. stała się gwiazdą i ikoną świata konsumpcji, w którym wartością jest piękne, młode, sztuczne ciało. Barbie ma zadanie życiowe – posiadać coraz więcej rzeczy. To wszystko wiemy – i niewiele więcej się dowiemy z książki Mary F. Rogers. No, może jeszcze, że Barbie jest heteroseksualna i biała, chociaż „mniejszości seksualne i etniczne znajdą w postaci Barbie swój otwarty wyraz". To niejedyna sprzeczność. Zaraz okaże się, że pomysł na Barbie wyrasta z niechęci wobec odmienności. Ikona kultury opiera się na sprzecznościach – tłumaczy badaczka.

Jak na amerykańską popularną pracę naukową przystało, sporo tu emocji. „Łatwiej nam krytykować ikony kultury, niż walczyć z niesprawiedliwością" – głosi autorka. Tak, walczymy z nudą, która ogarnia przy czytaniu o lalce – ikonie naszych czasów.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

UDAJE IDIOTĘ?

„Najinteligentniejszy thriller roku" czyta się nieźle, ale z tą inteligencją to lekka przesada

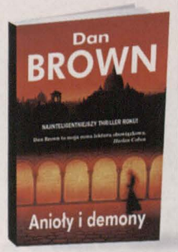

DAN BROWN „ANIOŁY I DEMONY", PRZEŁ. BOŻENA JÓŹWIAK, wyd. Albatros i Sonia Draga, Warszawa 2003

Czy może być inteligentna powieść opowiadająca o spisku zapomnianej sekty, która ma zamiar zniszczyć Watykan za pomocą wykradzionej z laboratorium antymaterii? A o tym właśnie traktuje książka „Anioły i demony". Na wyrost jest tu przywoływanie na okładce nazwiska Umberta Eco. Brown to przy nim boleśnie nieoczytany amerykański turysta, który braki w wiedzy przysłania kłamstewkami. Dlaczego więc warto sięgnąć po tę książkę (bo mimo wszystko ją polecam)? Dla ostatnich stu stron – tam autor nagle potrafi zaskoczyć. Początkowo czytałem „Anioły i demony" bardziej z obowiązku – chciałem dowiedzieć się, co potrafi człowiek, którego tegoroczna książka „Kod Leonarda da Vinci" utrzymała się przez kilkanaście tygodni na szczycie list bestsellerów. I już wiem – Brown w finale wrzucił wyższy bieg i zakończył „Anioły..." w stylu najlepszych powieści Ludluma czy Cobena.

Sięgnę po kolejne książki Browna, choć jestem przekonany, że Włosi zaśmiewali się z błędów równie mocno, jak my kilka lat temu, gdy w Polsce ukazała się manga „Aż do nieba" – przygodowy japoński komiks będący radosną biografią księcia Józefa Poniatowskiego.

KAMIL M. ŚMIAŁKOWSKI

Andrzej Chyra zamienia się w dybuka i wchodzi w Magdalenę Cielecką

Fot. STEFAN OKOŁOWICZ

DYBUK WYSZEDŁ Z WARLIKOWSKIEGO

Miało być wielkie wydarzenie. Wyszła kolorowa czytanka

„Dybuk" według Szymona Anskiego i Hanny Krall, scenariusz i reżyseria Krzysztof Warlikowski, scenografia Małgorzata Szczęśniak, teatr Rozmaitości w Warszawie

Tego „Dybuka" z góry i w ciemno zamówił festiwal w Awinionie. I gdyby nie znane już strajkowe perturbacje zakończone odwołaniem imprezy, tam właśnie latem odbyłaby się ta premiera. Teraz opóźnioną obejrzeliśmy na festiwalu Dialog we Wrocławiu. Sam fakt zamówienia świadczy o renomie, jaką Krzysztof Warlikowski zdobył już w międzynarodowym życiu teatralnym. Cóż, renoma ma jednak to do siebie, że wzmaga oczekiwania, a każda klęska staje się tym boleśniejsza. Czy jednak musiała być aż tak bolesna?

Piękne, ale puste

W ramki swojego znanego już dobrze teatru, ze świetlnymi cudami, jakie potrafi czynić tylko Felice Ross, z piękną, głęboką muzyką Pawła Mykietyna, Warlikowski włożył rdzeń fabularny klasycznej sztuki żydowskiego repertuaru.

Tę opowieść o skrzywdzonej duszy narzeczonego wdzierającej się po śmierci w ciało ukochanej i żądającej naprawienia win obrał przedtem starannie (choć nie do końca) z bogatej otoczki obyczajowej. Dodał krótkie, powściągliwe opowiadanie Hanny Krall o współczesnym Amerykaninie noszącym w sobie innego dybuka – duszę zabitego w getcie sześcioletniego brata. Na początek wstawił kilka znanych poetycko-mistycznych opowieści chasydzkich mówionych z proscenium wprost do publiczności. Niestety, na tym jego inwencja się wyczerpała. Nie znalazł żadnej wyrazistej metafory scenicznej spajającej te rozmaite przecież światy. Żadnego motoru napędzającego widowisko, uruchamiającego emocje.

Jak zagubione dziecko przy konsolecie Warlikowski zmieniał kolory reflektorów, bawił się komputerową animacją. Kazał aktorom rozbierać się do rosołu, trzeba czy nie trzeba, nie rozumiejąc, że znak ten, nadużyty i niewyposażony w wyraźny sens, budzi tylko niesmak. Fascynował się drugorzędnymi szczegółami (choćby zaproszoną gościnnie niemiecką aktorką z Izraela mówiącą najważniejszą modlitwę), pozwalając, żeby całość rozleciała się na kawałki. Niekiedy piękne, zazwyczaj jednak puste.

Aktorzy na słowo honoru

Reżyser nie potrafił pomóc aktorom, którzy – nawet tak sprawni jak Magdalena Cielecka czy Andrzej Chyra – wykładali się niczym nowicjusze, odgrywając tautologicznie to, co mieli w tekście. Aktor mówił, że zapłakał – i symulował płacz; mówił o swej złości – i podskakiwał obunóż. W scenie egzorcyzmów wykonawcy po prostu zapadli w bezruch na dłużące się dziesiątki sekund. Pewnie daliby słowo honoru, że pogrążyli się w natchnionych medytacjach. Słowo honoru to jednak argument mało dla widzów przekonujący.

Bezradność inscenizacyjna pogrzebała szansę postawienia nieczęsto formułowanych dziś pytań: o odpowiedzialność za życie własne i cudze, o winy i ich rozliczanie w wymiarze doczesnym i w wymiarze wiecznym, o wiarę nie powierzchowną, lecz stawiającą wyzwania, o duchowy bagaż, jaki się niesie przez życie.

Inscenizator deklarował w licznych wywiadach, że na świat chasydzkich mistyków patrzy przez doświadczenie nadchodzącej eksterminacji, że przeszłość ukazuje w jej widmowym, „dybukowym" wymiarze życia po życiu. Niestety, cała ta problematyka pozostała w domniemaniu. Nawet gorzej: niezborność widowiska naraziła ją na los prawdziwie dramatyczny – banalizację. Dotknęło to szczególnie opowiadania Hanny Krall; poruszająca suchość i powściągliwość opisu zmieniła się w czytankę, szlachetną, wzniosłą – i oczywistą.

Bliżej myśli?

Niepowodzenie tej premiery nie odbiera, rzecz jasna, wartości poprzednim pracom Warlikowskiego: ani „Oczyszczonym", czyli mądrej i właśnie metaforyzującej (!) teatralnej lekturze sztuki Sarah Kane, ani oryginalnej „Burzy". Dobrze byłoby jednak, gdyby skłoniło twórcę do pewnej pokory. Może nie warto kończyć wypowiedzi dla „Tygodnika Powszechnego" buńczucznym zdaniem: „Dzisiejszy teatr jest bliżej myśli niż kiedykolwiek", w sytuacji gdy taki „Dybuk" wywołuje refleksje raczej biegunowo przeciwne.

JACEK SIERADZKI

STANISŁAW JERZY HAMLET

Swoje dyrektorowanie w Narodowym zaczął Grzegorzewski „Nocą listopadową". Zamyka też Wyspiańskim. Tym razem nie sztuką, ale niezwykłym studium o „Hamlecie" z 1905 roku

„Hamlet" według Stanisława Wyspiańskiego, adaptacja, reżyseria i scenografia Jerzy Grzegorzewski, Teatr Narodowy w Warszawie

Bohaterem tekstu Wyspiańskiego jest tekst tragedii Szekspira i jej tytułowy bohater. Pierwsze dwa zdania studium wszystko wyjaśniają: „Około świąt Bożego Narodzenia przyszedł do mnie pan Kamiński i oświadczył, że chce grać Hamleta i że chce porozmawiać o Hamlecie. O Hamlecie myślę aż nazbyt często i z przyjemnością mogę porozmawiać o Hamlecie". Potem następuje sto kilkadziesiąt stron błyskotliwej analizy tekstu sztuki, okoliczności jej powstania, a także szereg bardzo osobistych myśli o samym jej autorze.

Spektakl Grzegorzewskiego tylko po części odnosi się do tych tematów. Tak naprawdę bohaterem jest Wyspiański, który czasem staje się Hamletem, a czasem Jerzym Grzegorzewskim. Wyrywa się z łóżka, jeszcze nie chce się poddać wyniszczającej chorobie. Krząta się przy nim żona, postać w tekstowym oryginale najzupełniej nieobecna. Podobnie jak trzy krążące po scenie niewiasty, dziwacznie odziane, raz będące krakowskimi damami, raz Szekspirowskimi wiedźmami choćby z „Makbeta".

Jest to spektakl o pomieszaniu teatru z życiem i pomieszaniu różnych teatrów, starego z nowoczesnym, bezmyślnego z inteligentnym. Gdyby Grzegorzewski zrobił tego „Hamleta" kilka lat temu, powiedziano by zapewne, że to kolejna wersja jego obsesji: pokazywania społeczeństwa grającego tak zły teatr, przy którym teatr rzeczywisty okazuje się oazą prawdy i sensu. Teraz w tym pożegnalnym spektaklu dominuje ton goryczy rozstania – czy tylko z Narodowym? Czy z teatrem w ogóle? Wiadomo, że Grzegorzewski sam jest chory i jego wewnętrzne rozmowy z teatrem stają się wyznaniem bardzo osobistym.

Przedstawienie, jak to u Grzegorzewskiego, ma momenty jasne i mroczne. Tych ostatnich nawet nie trzeba starać się obejmować rozumem. Igor Przegrodzki, który już dawno pożegnał się z siedemdziesiątką, gra aktora Kamińskiego, tego, co to przyszedł do Wyspiańskiego, by wytłumaczył mu „Hamleta". Prawdziwy Kamiński mógł sobie wyobrażać zagranie Hamleta, bo nie miał jeszcze wtedy czterdziestki, co i tak byłoby na granicy ryzyka. Przegrodzki to czysta fantazja teatralna, ale to właśnie są cudne szaleństwa Grzegorzewskiego. Tego Hamleta-Wyspiańskiego chorego na dobry teatr, na prawdę o ludziach i świecie. Hamleta, który przegrywał z ludźmi, ale wygrał ze sztuką.

HANNA MALICZEWSKA

Wojciech Malajkat w rewelacyjnej potrójnej roli – tu z żoną Wyspiańską

Fot. STEFAN OKOŁOWICZ

24 października
zmruż oczy

Opracowała Małgorzata Sadowska

Zagap się!

Każdy przeciw każdemu i Bóg przeciw wszystkim – oto ulubione motto Herzoga. PIĄTEK, TVP1, 12.45

CZWARTEK

PASJA WEDŁUG KSIĘDZA JERZEGO

Dokument przygotowany z myślą o 25-leciu pontyfikatu Jana Pawła II i zawierający unikalne materiały filmowe dotyczące Papieża. Ich autorem, a zarazem bohaterem filmu, jest ksiądz Jerzy Rasiak, który już od lat 60., używając starej rosyjskiej kamery, dokumentował życie Kościoła w Polsce. W latach 70. skierował obiektyw na kardynała Wojtyłę i filmował go w różnych miejscach i sytuacjach przez wiele lat.

REŻ. LESZEK WASIUTA

TVP2, 21.00

PIĄTEK

ZAGADKA KASPARA HAUSERA

Dramat, film oparty na prawdziwej historii. W 1828 roku Norymberga była świadkiem pojawienia się niezwykłej ludzkiej istoty, 17-letniego chłopca, który prawie nie umiał mówić ani chodzić. Nazwany później Kasparem Hauserem młodzieniec był od urodzenia trzymany w całkowitej izolacji od świata i ludzi. Kaspara zagrał ulubiony aktor Herzoga Bruno S., syn prostytutki, mężczyzna pod wieloma względami podobny do Hausera: większość życia spędził w przytułkach, domach poprawczych i więzieniach, bez kontaktu z „normalnym" życiem, co – paradoksalnie – pozwoliło mu zachować dziecięcą prostotę i niewinność.

REŻ. WERNER HERZOG

TVP1, 12.45

MÓJ CHŁOPAK SIĘ ŻENI

Komedia romantyczna, w której Julia Roberts wreszcie nie gra słodkiego dziewczątka. Jej bohaterka, gdy dowiaduje się, że narzeczony sprzed lat właśnie się żeni, dochodzi do wniosku, że to jednak mężczyzna jej życia. Nakręca intrygę mającą skłonić ukochanego do porzucenia przyszłej małżonki (Cameron Diaz!). Obie rywalki to kobiety z charakterem i trudno zrozumieć, dlaczego tak im zależy na nudnym facecie. Jedyny wart uwagi mężczyzna w tym filmie to Rupert Everett – gej na ekranie i w prawdziwym życiu.

REŻ. P.J. HOGAN

TVP1, 20.15

SOBOTA

KOSMICZNI KOWBOJE

Science fiction. Clint Eastwood po raz kolejny w podwójnej roli reżysera i aktora spełnia swoje marzenie o zrobieniu westernu w kosmosie. Razem z innymi specjalistami NASA ratuje świat przed kosmiczną katastrofą. Zepsuty stary satelita radziecki wycelował w Ziemię. Niby rutynowa akcja. Kolejne bohaterskie wyzwanie. Tylko że ostatnie miało miejsce... ponad 40 lat temu. Ale tacy oldboye, jak Clint Eastwood, Tommy Lee Jones, Donald Sutherland i James Garner nie zawodzą. Rozrywka w typowo amerykańskim stylu. Zestaw obowiązkowy do oglądania to: BigMac, cola i duże frytki.

REŻ. CLINT EASTWOOD

TVN, 21.25

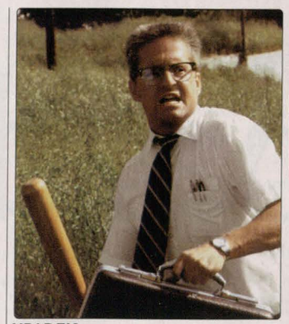

UPADEK

Thriller. Mocny film. Cios w twarz amerykańskiego mitu o równouprawnieniu rasowym, sprawiedliwości, swobodzie obywatelskiej i praworządności. Człowiek doprowadzony do kompletnego załamania nerwowego, zwolniony z pracy, rozwiedziony z żoną zaczyna wariować, stojąc w korku ulicznym. Porzuca samochód i uzbrojony w kij baseballowy wyrusza w miasto. Staje się niebezpieczny dla otoczenia. Jedna z najlepszych ról Michaela Douglasa i jak zwykle wielki Robert Duvall. Znakomity film o stresie.

REŻ. JOEL SCHUMACHER

POLSAT, 23.00

NIEDZIELA

TAK CZY NIE

Pierwszy odcinek serialu kryminalnego, jakiego jeszcze w Polsce nie było, serialu interaktywnego. Co to oznacza? Ano to, że widzowie mogą prowadzić własne śledztwo, korzystając z podpowiedzi na stronie internetowej serialu. Co tydzień możemy też rozwiązać kończącą każdy odcinek zagadkę i wygrać nagrodę. Poza kryminalnym jest tu jeszcze wątek obyczajowy, a główną rolę w filmie Bugajskiego gra Bogusław Linda. I, niestety, nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby domyślić się, że gwiazdy kina raczej nie zaczynają, ale kończą w telewizyjnych serialach.

REŻ. RYSZARD BUGAJSKI

TVP1, 20.25

PONIEDZIAŁEK

WSZYSTKO O MOJEJ MATCE

Dramat. Czy też raczej – jak sam reżyser określa ten gatunek – Almodramat, czyli taki melodramat w nawiasach. Trochę na krawędzi kiczu, intelektualnej ironii, zgryźliwego poczucia humoru. Reżyser nazwał go „studium o zdolności kobiet do udawania". Zdecydowanie antyszowinistyczny, zdominowany przez kobiety. Po tragicznej śmierci syna pod kołami samochodu matka odnajduje jego ostatnie zapiski. Pragnie odszukać ojca, którego jej syn nigdy nie poznał.

Wprawdzie, jak to u Almodovara, w filmie roi się od skrajnie ekscentrycznych postaci (młoda zakonnica w ciąży chora na HIV; uzależniona od heroiny aktorka, połowiczny transseksualista itp.), ale „Wszystko o mojej matce" nie jest filmem o dziwakach najrozmaitszego sortu, ale o nas wszystkich. Czy nam się to podoba, czy nie.

REŻ. PEDRO ALMODÓVAR

TVP1, 22.30

WIECZORY EKSTREMALNYCH PRZYGÓD

Dokumenty o ludziach, którzy najlepiej czują się pozostawieni sami sobie na pustyni, wśród górskich szczytów, na oceanie, na biegunie. Filmy o podróżnikach samotnikach i ich wyczynach będziemy w Planete oglądać przez trzy dni. Cykl rozpocznie się opowieścią o czterech ludziach, którzy na wielbłądach postanowili przemierzyć starożytny jedwabny szlak, czyli trasę z Chin do Turcji liczącą... 11 tysięcy kilometrów.

Ach, jak to miło, polegując na łóżeczku i popijając herbatkę, patrzeć, jak inni marzną, mokną i cierpią rozliczne niewygody...

PLANETE, POCZĄTEK 19.45

GODZINY SZCZYTU

Komedia sensacyjna. Detektyw Lee (Jackie Chan), duma policji Hongkongu, nieustraszony mistrz wschodnich sztuk walk, i policjant z Los Angeles (Chris Tucker) szukają 11-letniej córki chińskiego konsula porwanej przez tajemniczą mafię. Wybuchowy duet stawia na głowie całe miasto. Duża porcja dobrego, azjatyckiego lania plus gimnastyczne popisy małomównego Chana połączone z zabójczym (ale tylko dla wielbicieli) dowcipem Tuckera.

97 minut niezłej zabawy w godzinach telewizyjnego szczytu.

REŻ. BRET RATTNER

POLSAT, 21.45

WTOREK

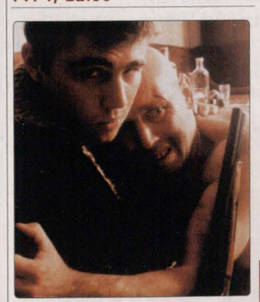

BRAT

Sensacyjny. Największy hit rosyjskiego kina, film, który na idola młodych Rosjan wykreował młodziutkiego Siergieja Bodrowa juniora, tego samego, który będąc u szczytu kariery, zginął w górach Kaukazu razem z całą ekipą filmową. Ich szczątków do dziś nie odnaleziono.

„Brat" opowiada o gangsterskiej Rosji, mafii i zawodowych mordercach. Bohater Bodrowa, idąc w ślady starszego brata, też zaciąga się do petersburskiej mafii, ale jest bandytą nietypowym, bo kieruje się wyłącznie szlachetnymi pobudkami. Jak większość hitów i ten doczekał się kontynuacji.

REŻ. ALEKSIEJ BAŁABANOW

TVP1, 00.05

META

Obyczajowy. Dwóch starych kumpli spotyka się na dworcu w małym miasteczku: jeden właśnie stracił pracę i martwi się o los żony i dwójki dzieci, drugi zaś szuka dachu nad głową. Od słowa do słowa, bezrobotny wynajmuje bezdomnemu pokój. Biedaczysko nawet nie przypuszcza, jakie ściąga na siebie kłopoty. Nowy lokator okazuje się... hazardzistą i podstępnym organizatorem nielegalnej gry w „trzy karty" na okolicznych targowiskach.

Zrealizowany na podstawie scenariusza samego Marka Nowakowskiego film Krauzego to prawdziwa „perła z lamusa" (powstał ponad 20 lat temu!) – przy czym „lamus" oznacza coś zupełnie innego, niż sądzi dziś młodzież.

REŻ. ANTONI KRAUZE

TVP2, 22.40

ŚRODA

STALKER

Science fiction, „film o istnieniu Boga w człowieku i utracie duchowości z powodu zawierzenia fałszywej wiedzy" – jak napisał o „Stalkerze" sam Tarkowski. Swoich bohaterów wędrujących do zakazanej Zony reżyser umieścił w świecie totalnie zdewastowanym, przypominającym miejsce jakiejś straszliwej katastrofy ekologicznej. Po latach uznano, że była to prorocza wizja Czarnobyla.

„Stalker" powstawał w straszliwych mękach, same zdjęcia trwały ponad dwa lata. Ogromną część nakręconego już materiału trzeba było powtarzać, bo taśma została zniszczona w laboratorium. Tarkowski miesiącami zmagał się z tępymi urzędnikami Mosfilmu, pijanymi aktorami, nieudolnymi technikami i sprzętem. Zmienił część ekipy. Przeszedł zawał.

Mosfilm potępił niski poziom artystyczny filmu. Ale świat uznał „Stalkera" za arcydzieło.

REŻ. ANDRIEJ TARKOWSKI

ALE KINO!, 20.00

PATRZĘ NA CIEBIE, MARYSIU

Dramat. Łukasz Barczyk, który debiutował tym filmem, pokazał to, co w życiu najtrudniejsze – codzienność. Marysia i Michał są razem od dwóch lat. Ona (świetna rola Mai Ostaszewskiej, prywatnie partnerki życiowej reżysera), studentka, zachodząc w ciążę, chce małżeństwa. On, młody psychiatra, boi się stabilizacji. Ma problemy ze sobą i pacjentami. Piękna opowieść o miłości i depresji, słabości zwykłych ludzi.

REŻ. ŁUKASZ BARCZYK

POLONIA, 21.05

PRZEKRÓJ
Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL
E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsztub
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk
DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy
SEKRETARZE REDAKCJI:
Marcin Baran, Magda Gędziorowska, Maria Świetlik (zastępca)
ASYSTENTKA:
Anna Romotowska
KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska
WYDARZENIA:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Joanna Gorzelińska, Filip Łobodziński, Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Max Suski, Maciej Tyśnicki, Paweł Wieczorek, Michał Wójcik
NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Jan Stradowski, Piotr Stanisławski
ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn, Małgorzata Laska, Agata Loth, Maciej Moruś, Krzysztof Zakrzewski
PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniołek (szef), Marcin Kapica, Marcin Kędryna, Olga Pilśniak, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)
KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej, Dariusz Janiszewski
ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
PRODUKCJA:
Agencja Poligraf – Maciej Kowalski
PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)
REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor
SEKRETARIAT:
Iwona Chmielewska
EDIPRESSE POLSKA
WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA SA,
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01
PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała
WICEPREZES:
Krystyna Kaszuba
WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Ewa Niezbecka
DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit
PUBLIC RELATIONS:
Krystyna Zowczak-Jastrzębska, Marcin Fedisz
DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ":
Iwona Zabielska-Stadnik
DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Marta Sztanka
BIURO REKLAMY:
Aleksandra Trojnar – dyrektor, Anna Orłowska – zastępca dyrektora, Artur Dudek, Jagna Federowicz, Maciej Grelik, Bartek Kłuczny, Anna Maślińska
ul. Wiejska 12a, II p., 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 584-295, -297, -311, -584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 98
DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA – NOVAPRESS 90 G, PRODUCENT – STORA ENSO
ŚRODEK – GALERIE ONE 65 G, PRODUCENT – M-REAL
PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@EDIPRESSE.PL
PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31, FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32
NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAKS/TEL. +46-8-6639963
ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

Dziennik z krainy

PAZŁOTKA

DOROTA MASŁOWSKA

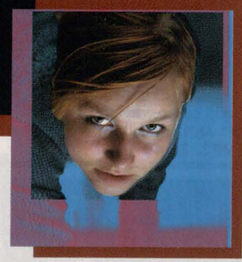

Fot. BOGDAN KRĘŻEL

Nagroda czytelników

W niedzielę było rozdanie nagród NIKE i myślę, że przeżyłam coś jak oficjalne uroczyste zakończenie swojego obecnego życia. Jedno, co teraz mogę, to zacząć powolutku przyszywać z powrotem metki i ceny do swoich zagranicznych ubrań, popakować je z powrotem do siatek, wypluć te nadmierne ilości egzotycznego mięsa, które zjadłam za pieniądze podatników, i pojechać do Wejherowa, zostać spokojną i stateczną bibliotekarką, szczęśliwą ze swoich dzieci i statecznego, uczciwego męża. Spokojnie trawić swoje tłuste i słodkie jak wielki tort wspomnienia, schować sobie na później rękę, w którą całowali mnie bohaterowie moich podręczników licealnych.

Gdybym wiedziała, że moje nieszczęsne marzenia zmaterializują się w tak rozbudowany sposób, to nie wiem, czy miałabym czelność się na nie zdecydować. Najpierw Biuro Ochrony Rządu poddało mnie starannej selekcji na okoliczność pochodzenia arabskiego i materiałów wybuchowych w torebce, potem okazało się, że przeszłam ją pozytywnie, co już było komplementem. Najpierw wszyscy zauważyli, że przefarbowałam włosy, potem żony elit szczypały mnie w policzki i wkładały mi palce w dołeczki, i dociekały, czy to po mamie, czy tacie, czy po innych przodkach, i dbały, żebym dobrze wszystko pogryzła.

Nieraz, przechodząc, widziałam w lustrze swoją nową, gruntownie namalowaną, jednolicie białą twarz, piękną i ozdobną jak kaszubski talerz. Czy możemy pani zrobić z narzeczonym zdjęcie portretowe do rubryki towarzyskiej i dlaczego nie?

Wielki duch wzajemnej miłości i gratulacji unosił się wszędzie, a jego źródło pulsowało w kąciku z nigdy niekończącym się darmowym alkoholem.

Wzajemnym uściskom i pocałunkom nie było końca, grała orkiestra i przez całe życie będę już miała o czym myśleć, z którym popularnym politykiem najlepiej mi się obłapiało, i przez całe życie będę pluć sobie w brodę, że nie zdążyłam przytulić się do serca prezydentowi i premierowi.

Atmosfera była bardzo swobodna, wręcz hipisowska. Pani Żona profesora W. nakłaniała mnie, by tytułować go pierdolonym rusofilem, podrywali mnie naprzemiennie Longin Pastusiak z Kazimierzem Kutzem, a narzeczony wiernie podpowiadał mi, z kim się właśnie ściskam, sama nigdy bym się nie zorientowała. Kto nie wymieni okolicznościowych pieszczot z wicemarszałkiem, musiałabym chyba być głupia. Kto nie pójdzie poocierać się o Leszka Kołakowskiego i pościskać mu ręki, i pozować z nim do jednych zdjęć. Próbowaliśmy pertraktować nawet z panią Joanną Siedlecką co do mojej biografii, ale ona skromnie odmówiła, że ona to raczej tylko o trupach. Przyjechałam do domu wymięta jak w krzakach, z niedobitkami charakteryzacji na kołnierzyku i smugami kateringu wokół ust, odciskami niezliczonych warg na policzkach i dłoniach, z telefonem zatkanym od gratulacji i wyrazów żalu, gróźb i czułości i właściwie nie wiem, co jeszcze mogłabym w życiu przeżyć, nie mogę się zdecydować, o czym teraz zacząć marzyć. ■

www.przekroj.pl/maslowska

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Dla

Kiedyś stało po tym, **dla** czego – dziś zawsze przed, zapowiadając. Nie „togodla", tylko „dlatego". Pokazuje, że kto albo coś jest celem, albo punktem odniesienia. **Dla** mnie to dość wyraźne, ale to dlatego, że najpierw to myślę, potem piszę. **Dla** tego, kto najpierw czyta, nie musi takie być. A ja w końcu **dla** niego piszę. **Dla** ciebie. Oprócz tego mogę **dla** żartów, **dla** śmiechu, a nawet (przepraszam) **dla** jaj – wtedy bardziej **dla** siebie niż **dla** ciebie. A już najbardziej **dla** siebie, kiedy **dla** świętego spokoju, bo rzecz jasna **dla** mojego.

Kiedy mówię, **dla** czego coś robię, a i dlaczego, jakoś się tłumaczę. Przed tobą się tłumaczę, **dla** twojej wiedzy. Podaję powód, **dla** którego to robię. Kiedy mówię o innych, wyjaśniam. Bo pewnie wiem, **dla** jakich powodów czy celów coś się dzieje. Dawniej mówiono tak w ogóle o przyczynach, że na przykład ktoś **dla** wielkich deszczów został w domu. Albo **dla** zmęczenia. Jakbym dziś tak mówił, można by pomyśleć, że to po to, żeby deszcze były.

Łączy się więc raczej z czymś dobrym. Żeby coś dobrego było. Dlatego robię wiele **dla** lepszego trawienia, **dla** bezpieczeństwa, **dla** przyjemności czy w ogóle **dla** dobra ogółu. Poświęcam się, staram, żeby. **Dla** wszystkich. **Dla** was. **Dla** ciebie. Doceń.

Albo tylko **dla** lepszych gości. Wtedy „**dla**" ogranicza: mówiąc **dla** kogo, mówię, **dla** kogo nie. To **dla** dorosłych. **Dla** wtajemniczonych. Nie **dla** ciebie. Nie **dla** psa kiełbasa.

Jak coś nie **dla** mnie, mogę się martwić. Ale nie muszę, bo „**dla**" jest nie tylko **dla** chcących. **Dla** jasności dodam, **dla** tych, **dla** których to niejasne (nie **dla** ciebie więc), że myślę tu o rzeczach trudnych **dla** siebie i przykrych.

Jak **dla** mnie, wystarczy. Dlatego już kończę. ■

www.przekroj.pl/bralczyk

TOPOR

ARCHIWUM „P"

Dziennik z placu

INWALIDÓW

ZBIGNIEW MENTZEL

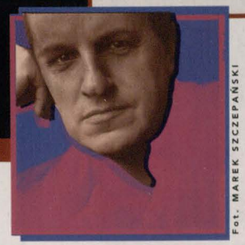

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Chamski kolor

Estetyka może być pomocna w życiu / nie należy zaniedbywać nauki o pięknie" – pisał Zbigniew Herbert w słynnym wierszu pod tytułem „Potęga smaku". „Zanim zgłosimy akces trzeba pilnie badać / kształt architektury rytm bębnów i piszczałek / kolory oficjalne...". Kolory! Właśnie, dzisiaj chciałbym o kolorach.

Od dłuższego już czasu, za każdym razem, kiedy w Programie Pierwszym Telewizji Polskiej oglądam „Wiadomości" albo inny nadawany na żywo program, nie mogę pozbyć się wrażenia, że obraz, który do mnie dociera, ma w sobie – jako o b r a z – coś niebywale wprost ordynarnego. Wrażenie takie spowodowane jest męczącą jaskrawością kolorów i coraz bardziej się ostatnio nasila. Z początku sądziłem, że to z moim tylko telewizorem dzieje się coś niedobrego, być może któryś z domowników dobrał się do pilota i przestroił obraz, dodając czerwieni i wzmacniając kontrast. A jednak nie, wystarczy przecież, żebym zmienił kanał (choćby na Dwójkę, nie wspominając już o TVN 24), a zmienia się i obraz: kolory łagodnieją, przestają razić oczy.

Wincenty Grajewski, jeden z najbardziej inteligentnych nauczycieli, z jakimi zetknąłem się, studiując na Uniwersytecie Warszawskim, zauważył kiedyś, że chociaż banalna piosenka każe nam „żyć kolorowo", powinniśmy wiedzieć, że życie jest zasadniczo „szare", co więcej: musi być szare, jeśli ma trwać. Eksplozja koloru groziłaby w końcu pogrążeniem się w ciemności, w śmierci, kolory bowiem są energią zużywającą się w rozbłysku, a życie to oszczędność. Spoglądam z niepokojem na swoje zdjęcie do niniejszej rubryki: czy kolory, które dodała mi redakcja, są wystarczająco stonowane, a więc oszczędne? Mam nadzieję, że tak.

Wpływ kolorów na psychikę człowieka od dawna zaprząta wybitne umysły, a współcześnie całe sztaby specjalistów z największych na świecie firm głowią się nad tajemnicą koloru, który pobudzałby zmysły, ale ich nie męczył. Goethe w „Nauce o barwach" (nad dziełem tym autor „Fausta" pracował 18 lat i uważał je za największe osiągnięcie swego życia) pisał, że o ile ludzie wykształceni stronią na ogół od kolorów, a zwłaszcza od „kolorowości" (wrażenie kolorowości powstaje wówczas, gdy zestawione zostaną ze sobą kolory o najwyższej energii, przy czym zestawieniu temu brak będzie harmonijnej równowagi), o tyle ludzie związani z naturą, narody niecywilizowane oraz dzieci wykazują duże upodobanie do barw o podwyższonej energii, szczególnie do barwy żółtoczerwonej.

Krzycząca czerwień, w której skąpane jest studio „Wiadomości", rozprasza uwagę widzów i zdaje się być zaprzeczeniem obiektywizmu informacyjnego. Patrząc na ten irytująco chamski kolor, wyczuwając ogrom energii, jaką nadaremno spala, nabieram podejrzenia, że im bardziej telewizja publiczna stara się być żywa, tym szybciej obumiera. ■

www.przekroj.pl/mentzel

JOLKA nr 42

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

F7 – C6 – E10 – A12 – G1 – I6 – B13 / A6 – J9 – D1 – G11 – D9 / L12 – H10 – J2 – D5 – M10.

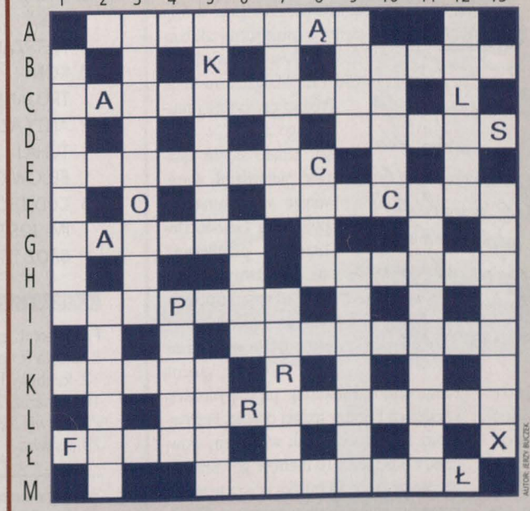

AUTOR: JERZY BRALCZYK

ROZWIĄZANIE JOLKI NR 39:
PANIENKI Z BARDZO DOBRYCH DOMÓW
(tytuł piosenki z repertuaru Haliny Kunickiej).

Rzędami: lotnisko, drzewo, glazurnik, slalom, pokrzywka, Piast, szewc, hutnictwo, wytwór, dowolność, krańce, kwadryga.

Kolumnami: pastwisko, otello, kleptoman, nadzór, zachód, szorty, urobek, wójt, odcisk, nioska, klapki, cenzor, rebeliant, wyścig, potomstwo.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 37 nagrody wylosowali: Bożena Kiełtyka, Jemielnica; Patrycja Kita, Dąbrowa Tarnowska; Jadwiga Kuczyńska, Warszawa; Maria Mielcarek, Poznań; Joanna Maria Oyrzanowska, Kraków. **Gratulujemy!**

WYRAZY 10-LITEROWE:
- biznes z królową w dziupli
- ot, od Zapaty chwaty

WYRAZY 9-LITEROWE:
- wykręcasz i wszystko wiesz
- płciowy w garniturze

WYRAZY 8-LITEROWE:
- w atlasie Donizettiego
- Terpsychora robi furorę
- formacja dla par
- referencje Wellingtona
- tłumił za reżimu
- wzrok wpada w szok

WYRAZY 7-LITEROWE:
- śmigła sąsiadka zza szyby
- koniec kolekcjonera
- sztaluga mięśni
- ciek psich smutków

WYRAZY 6-LITEROWE:
- bogini pięknego widoku...
- wspaniałego pustkowia
- czekoladka dla mikologa
- jeden uznał, że się nie przyda, a drugi wykorzystał w samolocie
- pozostałość po wałku
- przebój lombardu
- złego Greka czeka

WYRAZY 5-LITEROWE:
- święty strzeżony
- Łukasz, Paweł lub palia
- turysta Chaplinowskiej szkoły
- gdzie się nandu nagoni
- biedermeierowska bandana
- pod koniec Ewangelii zastąpił kadzidło i złoto

WYRAZY 4-LITEROWE:
- głupia w dzień
- mitsubishi Dzikiego Zachodu
- otwór gębowy sonaty
- maszynowy na planie miasta

WINNY

BIEŃCZYK

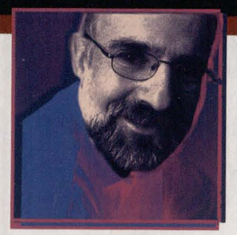

MAREK BIEŃCZYK

Baranek paschalny

Niedawno pisałem o kobiecie jako o czołowym konsumencie wina, gdyż więcej go od mężczyzny kupuje i więcej z niego ma. Nie chciałbym zbliżać do siebie kwestii płci i wina, za warte funta kłaków uważam dzielenie win na „męskie" i „żeńskie", jednak wspomniany fakt socjologiczny jest godzien wzmianki, a nawet poparcia. Podobnie jak ten inny, informujący, że w ciągu ostatniej dekady liczba winiarskich posiadłości znajdujących się w rękach damskich wzrosła z 14 do 24 procent, a wśród absolwentów studiów enologicznych już niemal co drugi jest nią, czyli kobietą. Wiele lat temu rozmawiałem z bordoską winogrodniczką. Skarżyła się na ogólne lekceważenie i wręcz na kultywowanie przez środowisko winiarzy średniowiecznych zabobonów, które przez stulecia niewiele straciły ze swej idiotycznej skuteczności. Na przykład przekonania, że od obecności w piwnicy kobiety, zwłaszcza dotkniętej miesięcznymi bólami, wino kwaśnieje. Dzisiaj wino przestaje jakoś kwaśnieć, a wiele enolożek należy do światowej czołówki. My też mamy kobietę od gron, Agnieszkę Wyrobek, która z sukcesami robiła wino w Nowej Zelandii i jest najbardziej znanym polskim winemakerem.

Ściągawka dla parlamentarzystów: tak wygląda etykietka Château Margaux. W Polsce po cenach nierealnych

Najsłynniejszą winną kobietą świata jest Corinne Mentzelopoulos. W tym roku wykupiła z rąk włoskiego rodu Agnellich Château Margaux, którego do tej pory była zarządcą. Zapłaciła 350 milionów euro i stała się właścicielką jednego z pięciu *premiers grand cru classés*, piątki nieśmiertelnych win, których nazw uczą się już na kursach nasi parlamentarzyści, aby umieć się zachować przy brukselskich stołach i podtrzymywać konwersację (bo o czym tu innym rozmawiać?). Pięć nazw to dużo, nazwę Château Margaux trzeba zapamiętać w pierwszej kolejności. Istnieje słynne powiedzenie (autorstwa Pierre'a Daca), wedle którego wino stołowe jest tym wobec Château Margaux, czym czarna owca wobec baranka paschalnego. Dobre do cytowania są też słowa skierowane do pani Mentzelopoulos przez jednego z jej sąsiadów, właściciela bardzo dobrego *château*: „Madame, dzieli nas tylko rów, ale za to jaki!".

Madame, córka greckich emigrantów, urodziła się w Paryżu w 1953 roku. Studiowała literaturę, jak każdy młody człowiek lubiła czytać Sartre'a, jak rzadko który wielbiła Pascala. Nie chciała pracować w firmie ojca, który dorobił się milionów. Gdy zmarł, zaczęła pomnażać jego dorobek, Pascalowi na pohybel. W roku 1980 podjęła pracę w Château Margaux. Zrosła się z tym miejscem tak bardzo, że wszyscy wiedzieli: Château Margaux to ona. Prędzej czy później musiała go zdobyć w całości. Udało się to załatwić pieniędzmi, zostawiając w pokonanym polu Billa Gatesa. Dobrze, że pieniędzmi, w przeciwnym razie zadziałałaby trucizna, skryty sztylet lub mięśnie Tytanów. Madame jest bowiem groźną Herą, czujną Kasandrą, piękną Afrodytą i szalejącą Furią w jednej osobie. Przynajmniej tak ją widzę. Jak widziałem wówczas, z odległości 10 metrów, gdy przebiegła otoczona nagłą pustką i ciszą przez salę targów winiarskich w Bordeaux. Dzieliło nas tylko 10 metrów, ale za to jakich!

Nawet nie marzy mi się, że któregoś dnia posadzi mnie w fotelu naprzeciw, obejrzy zachłannie wizytówkę, pochwali krawat i naleje wina. Na tym świecie muszą istnieć rzeczy niedostępne. Na przykład Château Margaux. ■

www.przekroj.pl/bienczyk

KRZYŻÓWKA nr 42

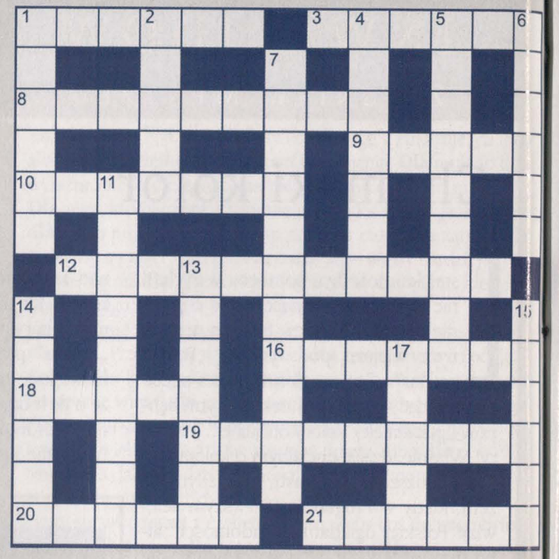

POZIOMO:

1. Z PALCEM W ZUPIE
3. SIŁA MAZOWIECKIEGO
8. NIEPTAK
9. PAKA PIETRZAKA
10. KOŃ TROJAŃSKI
12. ANTY-AZJA TUHAJBEJOWICZ
16. CUD TECHNIKI IM. JOSIPA BROZ TITO
18. NA UKOS POLA
19. SIĘ RAADUJĄ
20. ZWIS SAMOOBRONNY
21. ZŁOTA JEST WIĘZIENIEM

PIONOWO:

1. PRZED TELEWIZOREM
2. PODRĘCZNA BAZA DANYCH
4. CIEMNA STRONA MOCY
5. ZIELONE SZCZĘŚCIE
6. ZDRADZA GOŚCIA
7. TRZYMA FAZĘ W RYZACH
11. Z PRASĄ
13. ELEGANCKIE GORYLE
14. CHŁOPCZYK DO ŁÓŻKA
15. WARCZY PO KLAPSIE
17. OFIARA KONIA

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 39

Poziomo: 4. cebula 7. źródło 8. oferta 9. ignorant 10. kuchnia 12. rzeka 14. pięść 16. dynamit 20. elektryk 21. ludwik 22. kobyła 23. ustawa

Pionowo: 1. dźwięk 2. północ 3. podanie 4. cnota 5. bielizna 6. lutnik 11. huśtawka 13. żyletka 15. impuls 17. Murzyn 18. Teksas 19. beksa

Za poprawne rozwiązanie **krzyżówki nr 37** nagrody wylosowali: Katarzyna Datoń, Olkusz; Marta Królik, Żary; Krzysztof Pietrzak, Kalisz; Maciej Pohl, Reda; Zofia Sawicka, Trzcianka. Gratulujemy!

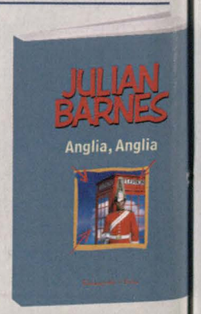

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 26 października (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Juliana Barnesa „Anglia, Anglia" (Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój", ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 42 lub Krzyżówka 42.

KULINARNE

PIÓRO POLSKI

Kuchnia katalońska

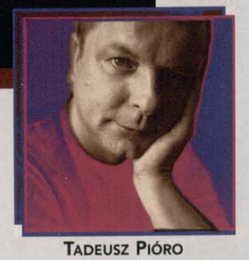

TADEUSZ PIÓRO

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)

Szaleństwa grzybowego sezonu

Jadąc niedawno do Barcelony, obawiałem się, że powrót do warszawskiej rzeczywistości może być trudny. Miałem na myśli różnice najbardziej oczywiste – styl życia śródziemnomorskiej metropolii, morskie krajobrazy, swobodną elegancję ulic i mieszkańców tego wspaniałego miasta. Lecz powrót był trudny z całkiem innego powodu. Zakochałem się w katalońskiej kuchni i do tej pory boleśnie przeżywam rozstanie.

Pod wieloma względami kuchnia katalońska stanowi spełnienie moich marzeń o kuchni doskonałej – prostej i zarazem finezyjnej, mocno osadzonej w tradycji i skłonnej do innowacji, opartej na produktach najwyższej jakości uprawianych bądź poławianych lokalnie. Lecz to ogólniki, które zapewne mogłyby określać także kuchnię islandzką.

Chodzi o to, jakie to produkty – jędrne, słodkie bakłażany i pomidory, niezrównane oliwki i sardele, świeże, dziko żyjące ryby i skorupiaki, leśne grzyby i ptactwo z pól, obezwładniające swoją doskonałością melony i brzoskwinie. Dążenie do perfekcji jest chyba czymś normalnym dla katalońskich kucharzy i restauratorów, zaś właściwy takiej ambicji nacisk na dopasowanie karty dań do pory roku sprawia, że je się tylko to, na co akurat mamy sezon. A ponieważ sezon mamy na grzyby, chciałbym Państwu przedstawić kilka katalońskich sposobów przyrządzania borowików, maślaków i opieńków.

Na początek – smażone borowiki, które można podać jako przystawkę lub akompaniament do dziczyzny bądź drobiu. Robimy ciasto z 250 gramów mąki, ćwierci litra mleka, dwóch roztrzepanych jaj, łyżki oliwy, torebki suchych drożdży rozpuszczonych w czterech łyżkach ciepłej wody, dwóch drobno posiekanych ząbków czosnku, łyżki posiekanej natki pietruszki i szczypty majeranku. Pół kilograma borowików kroimy na średniej wielkości kawałki, a jeśli są małe, zostawiamy je w całości. Zanurzamy w cieście i smażymy na głębokim oleju, aż będą brązowozłote. Odcedzamy na ręcznikach papierowych i podajemy z ulubionym winem. Miłośnikom niekonwencjonalnych połączeń polecam do smażonych prawdziwków katalońskie wino musujące.

Następnie – zupa grzybowa. Najlepiej użyć kilku odmian grzybów, na przykład opieńków, maślaków i podgrzybków – w sumie kilogram. W 12 łyżkach oliwy podsmażamy dwie posiekane cebule tak długo, aż zaczną się karmelizować. Niech ściemnieją, lecz niech się nie przypalą. Dodajemy dwa obrane, wypestkowane i pokrojone w kostkę pomidory oraz dwa posiekane ząbki czosnku. Podsmażamy, aż cały płyn wyparuje. Dodajemy pokrojone grzyby i dalej podsmażamy na małym ogniu, aż wypuszczą soki. Dolewamy litr mocnego wywaru wołowego lub cielęcego, doprowadzamy do wrzenia i gotujemy na małym ogniu jeszcze kwadrans. Do każdego talerza wkładamy grzankę z wiejskiego chleba i zalewamy ją zupą.

Wreszcie to, co najprostsze i najlepsze, czyli grzyby z rusztu. Ulubionym moim połączeniem są borowiki z przepiórkami pieczonymi na ruszcie, lecz równie dobrze można podawać tak przyrządzone grzyby z samym tylko chlebem. I bardzo dobrym winem. Pieczemy wyłącznie kapelusze, nóżki przeznaczając na zupę. Smarujemy je oliwą, a po upieczeniu posypujemy solą i pieprzem. Niewiele jest lepszych rzeczy na świecie. ■

www.przekroj.pl/pioro

MACIEJOWSKI *ĆWIERĆ STRONY GRATIS*

© MARCIN MACIEJOWSKI/GALERIA RASTER

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

tego pragną kobiety

LIMERYKI Z OKOLIC

Afryki

Barbara Stenka

Konsekwentna dziewica z Pabianic
swego męża ciągle miała za nic.
W ósmym roku pożycia
rzekła: „Wychodź z ukrycia!",
do małżonka, co mieszkał za drzwiami.

Stary wampir z obrzeży Darłowa
nie mógł w żyłę zębami wcelować.
Aż ukrwiona matrona
rzekła zniecierpliwiona:
„Weź pan kąsaj lub stąd się wyprowadź!"

Z folderu reklamowego rakiety Kolumb
broń dyplomatyczna – eliminuje oficerów
przeciwnika bez rozlewu krwi.

Krzysztof Płyta

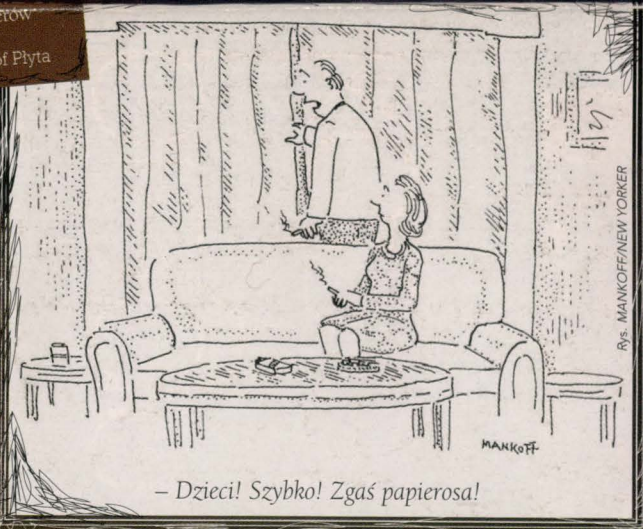

Rys. MANKOFF/NEW YORKER

– Dzieci! Szybko! Zgaś papierosa!

Rys. MAREK RACZKOWSKI

Z głowy...
Krzysztofa Bilicy

Ech, dusze
ciał niebieskich
są już automatycznie
w niebie.

nadesłane

Pozytyw

„Gazeta Wyborcza" nr 172, wydanie wrocławskie, pisze o wystawie fotografii stolicy Dolnego Śląska:
„Najstarsze zdjęcia pochodzą z 1700 roku".
Idealny eksponat na przyszłe Expo?
(Nadesłała M.S. z Wrocławia)

Drzewa dbają o linię

Jeśli rzecz dotyczy wielkiej akacji odchudzania, to autorką musi być Joasia Lapsus...
(Wycinek z „Przyjaciółki" nr 38 nadesłała Kinga Zbawska z Wyszogrodu)

BRZÓSKI HAIKU

Dariusz Brzóska Brzóskiewicz

Taniec

Wyginam nogi
W lewo
W prawo
A ta głupia i tak wciąż się na niego gapi

KINOteatrzyk

Przemka Jurka

Pokojówka na Manhattanie

TELENOWELA (ODCINEK PILOTAŻOWY)

Występują:
PIĘKNA POKOJÓWKA
PRZYSTOJNY ARYSTOKRATA

Miejsce:
hotel na Manhattanie, apartament prezydencki.

ARYSTOKRATA (*wyniośle*):
– Could you make me a cup of tea?

POKOJÓWKA (*do siebie, najczystszą polszczyzną*):
– Jasne... Przynieś, wynieś, pozamiataj. I nawet na człowieka nie spojrzy... Dobrze matka mówiła, trzeba było iść na fryzjerkę, zakład bym miała w Otwocku, ludzie by mnie szanowali... Zachciało mi się slawistyki i teraz mam...

ARYSTOKRATA:
– What did you say?

POKOJÓWKA:
– Nic!

(zanosi się płaczem, wybiega, wbiega w odcinku 231.)

THE END/KURTYNA

Rodzina Obłych GAŁĘZIE

Pan Obły kupuje od ulicznego sprzedawcy kilka rozłożystych gałęzi bez liści. Wstawione do pokoju wyglądają bardzo oryginalnie. Pani Obła ciągle opowiada o gałęziach koleżankom z pracy, a pan Obły codziennie robi gałęziom zdjęcia. Jedynie syn Obły od nich stroni.
– Popatrz tylko na nie – przekonują go rodzice.
Syn Obły patrzy. Powoli rodzi się w nim coś, nad czym nie panuje. Podchodzi do gałęzi i je czule obejmuje.

Patryk Pająk

Rys. PAULUS MAZUR

Bohaterowie są zmęczeni

Grzegorz Bukała

Te dziewczyny, którym kiedyś kosmos
lekką ręką rzucałeś do stóp,
nie pojawią się już żadną wiosną,
żadnych zmysłów nie pomieszają już.
Tym bardziej że nic do pomieszania
prócz wapna w ostygłej czemuś krwi,
a kosmos tak groteskowo zmalał
zamknięty w ustawnym M-3.

Beczki soli pożarte i co?
Zero żalu, żadnych złudzeń!
Jako tako w tym życiu nam szło
– leciuteńko, jak po grudzie.
Wichry czasu hulają, że hoo!
A nam spokojnie, nic nie wieje.
Z kompromisów skleciliśmy schron
i nie zaskoczą nas płoche nadzieje
ani trwożny dzwon.

Tamte sprawy, które kiedyś były
– everesty wydeptanych dróg,
drogowskazy, co nas tak mamiły,
już za nami, nie powalą z nóg.
A nogi, o dziwo, nadal służą?!
Się stoi, się ma swój styl, się jest!
Aż stanie stało się nam podróżą,
szaloną włóczęgą – po kres.

W kwestii marzeń, co je każdy roił,
Też jest jasność (pomroczna czy cóś?).
Kiedy kosmos się ma w przedpokoju,
gwiazdy błyszczą nie bardziej niż gwóźdź.
Niepokoje jak laczki wygodne
drzemią w kącie, nie pora, by iść.
W czas relaksu sny bez snów pogodne,
nikt dla jaj nie zawoła: „Mehr licht!".